

A stack of several copies of the magazine 'ODNOWA'. The top cover features a man in a dark suit standing in a doorway, looking out at a bright blue sky with white clouds. The title 'ODNOWA' is printed in large, bold, white letters at the top of the cover.

ODNOWA

WSPIERAJ



CZASOPISMO DLA WIĘŹNIÓW

„OD NOWA”

OD NOWA

Numer 1 • Rok 2021 • ISSN: 2720-2321



Spis treści

Wywiady

- James Bishop • 10
Muniek Staszczyk • 52
Leszek Woźnica • 85
Leszek Marciniak • 97
Anna Stranz • 102
Piotr • 110
Krzysztof Jędrzejewski • 126

Postaci

- Johnny Cash • 2
Bartolo Longo • 22
Gary Sinise • 42
Eric Clapton • 74
Anthony Hopkins • 92
Matt Talbot • 94
Al Capone • 120

Sztuka

- Kazimierz Pawłowski • 107
Marek Nowaczewski • 125

Historie • Świadcstwa

- Serce dzieci więźniów • 26
Tylko jemu kot pozwalał • 32
się głaskać
Na wozie pełnym gnoju ... • 44
Odkryłam prawdziwą wolność • 48
Utracona kontrola nad życiem • 66
Wszystko mi wolno • 76
lecz nie wszystko przynosi korzyść

Porady

- Dwanaście kroków • 73
Jak odbudować relacje z rodziną • 116
Praca po więzieniu • 122

Modlitwa

- Medytacja chrześcijańska • 14
Modlitwa Jezusowa • 18
Różaniec • 36
Rozważania różańcowe • 40
Nowenna pompejańska • 50

OD NOWA – rocznik dla więźniów
ISSN: 2720-2321

Redaktor naczelny: Marek Woś

Adres redakcji:
Skrytka pocztowa nr 50, ul. Grochowska 79
60-953 Poznań 38

Wydawca:
Fundacja Królowej Różańca Świętego
NIP 7792415009 Regon 302485268

Kontakt:
www.odnowa.edu.pl
info@odnowa.edu.pl
Telefon: 720 123 183

Numer konta (darowizny i zamówienia):
87 7065 0002 0651 8035 8904 0001

Fotografie: archiwum redakcji, o ile nie wskazano inaczej.

Projekt, skład, korekta: Marek Woś

Redakcja zastrzega sobie prawo do przechowywania,
zmiany i skracania nadesłanych tekstów.

Nakład: 5000 egzemplarzy

„Dlaczego on się zadaje z takimi ludźmi?!”

To pytanie padło z ust uczonych w Piśmie, gdy do Jezusa przychodzili ludzie znani ze złego życia. Wtedy On im opowiedział o zaginionej owcy: „Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zgubioną, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu.”

„Przecież to nielogiczne” – powiedział mi znajomy w ZK. „Zostawić 99 owiec gdzieś na piasku, bez wody, narażone na dzikie zwierzęta. Machnąłby ręką na tę jedną. Nikt nie zauważyłby różnicy.”

No cóż. Tak działa miłość. Miłość nie jest logiczna. Nie jest wyrachowana. Każdy był kiedyś zakochany. – Przypomnij sobie to przemożne uczucie do tej jednej, jedynej osoby, wobec której nie liczył się nikt ani nic; za którą chciało się pójść na koniec świata; kiedy zdawało się, że jesteś w stanie przenosić góry. Więc... Czego innego moglibyśmy oczekiwać od Tego, który jest Miłością, jak nie pójścia za tą jedną owcą?

Każdy z nas na jakimś etapie życia jest tą zabłąkaną owcą. Cieszymy się! Nie jesteśmy sami, Ktoś nas szuka.

Dlaczego nowe czasopismo?

Powstała idea lecz nie było pieniędzy na jej realizację. To nie dzięki dotacjom czy urzędniczym zarządzeniom, lecz dzięki dobremu sercu 349 osób udało się przygotować pierwszy numer czasopisma „Od nowa”. Wierzę, że nie ostatni, jestem bowiem przekonany, że jest ono potrzebne. Mam nadzieję, że znajdziesz w nim coś dla siebie.

Czekam na Twoją opinię.

Marek Woś



**Ubieram się na czarno
dla biednych i skrzywdzonych
Żyjących w beznadziei,
gdzieś w dzielnicach gorszych.
Ubieram się tak dla więźnia,
który odkupił swe grzechy.
Jest ofiarą naszych czasów
więc wciąż siedzi zamknięty.**

MAN IN BLACK

**CALIFORNIA PRISON
FOLSOM
JOHNNY CASH**

8

1966

Przyjaciel więźniów

Johnny Cash. Legenda muzyki country. Śmiało można powiedzieć, że ulubieniec amerykańskich więźniów. Na początku kariery dorobił się opinii awanturnika, narkomana, alkoholika, kobieciarza. Czy zanim porzucił zło, kiedykolwiek trafił do więzienia?

Johnny Cash urodził się 26 lutego 1932 r. w Kinsland w stanie Arkansas w USA. Jego farmerska rodzina była tak biedna, że nie miała nawet własnej ziemi. Od piątego roku życia Johnny musiał pracować wraz z rodzeństwem na plantacjach bawełny. Bieda i wielki kryzys w latach 1929-33 na zawsze naznaczyły jego twórczość współczuciem dla najuboższych. Całe życie ubierał się także na czarno, aby zaznaczyć swój sprzeciw wobec nierówności społecznych i niesprawiedliwości.

Johnny od dziecka zdradzał muzyczny talent, miał wyjątkowy, barytonowy głos. Już w wieku 12 lat dobrze grał na gitarze i pisał piosenki. Był mocno związany ze starszym bratem i matką, ojciec niestety był przemocowy dla rodziny i nadużywał alkoholu. Wielkim szokiem i traumą dla Johnny'ego była tragiczna śmierć jego brata Jacka w 1944 r., kiedy piła mechaniczna przecięła Jacka prawie na pół, gdy dorabiał aby pomóc swojej biednej rodzinie. Johnny miał z tego powodu poczucie winy gdyż praca brata była niebezpieczna ale podjął się jej, czując się odpowiedzialnym za młodsze rodzeństwo. Johnny w czasie

kopania grobu brata sam wziął łopatę i pomagał grabarzowi. Do końca życia wspominał poświęcenie swojego brata.

Sytuacja rodziny Cashów poprawiła się po 1950 r., kiedy Johnny zaciągnął się do Sił Powietrznych wojsk amerykańskich. Tam też założył swój pierwszy zespół. Z wojska odszedł cztery lata później. Ożenił się z Vivien, stał ojcem czterech córek. Początkowo zarabiał jako obwoźny sprzedawca sprzętu AGD oraz spiker radiowy. Wieczorami grał ze swoim zespołem, nagrywał taśmy i próbował zaistnieć w świecie muzyki.

Z czasem dostał możliwość nagrania płyty w profesjonalnym studiu. Kariera muzyczna nabrała rozpędu. Nagrywał z największymi: Elvisem Presleyem, Bobem Dylanem, Willem Nelsonem, Sheryl Crow. Wraz z popularnością i sławą pojawiły się pokusy. Johnny popadł w uzależnienie od narkotyków i alkoholu.

Cash w więzieniu

Johnny od wczesnych lat działalności muzycznej grał w zakładach karnych. Występował za darmo, kilkakrotnie nagrywając albumy koncertowe.

Jednym z nich jest słynna *więzienna płyta* „Folsom Prison Blues” – od nazwy ciężkiego więzienia Folsom. Płyta okazała się wielkim sukcesem zdobywając pierwsze miejsca na listach przebojów.

Wielu zastanowi się, co było przyczyną, że nie bał się więźniów, lubił ich a co najważniejsze szczerze im współczuł. Johnny nigdy nie spędził dużo czasu jako więzień w zakładzie karnym (bo zaledwie kilka nocy), choć był siedem razy aresztowany. W latach 1959-1969 bywał zamykany za publiczne pijaństwo, jazdę pod wpływem, posiadanie narkotyków, kradzież kwiatów z prywatnej posesji.

Jego najgłośniejsze aresztowanie miało miejsce w El Paso w Teksasie w roku 1965. Cash przekroczył nielegalnie granicę z Meksykiem aby kupić tanią amfetaminę, od której był uzależniony. Zatrzymano go z „towarem” w bagażniku, za co otrzymał wyroki

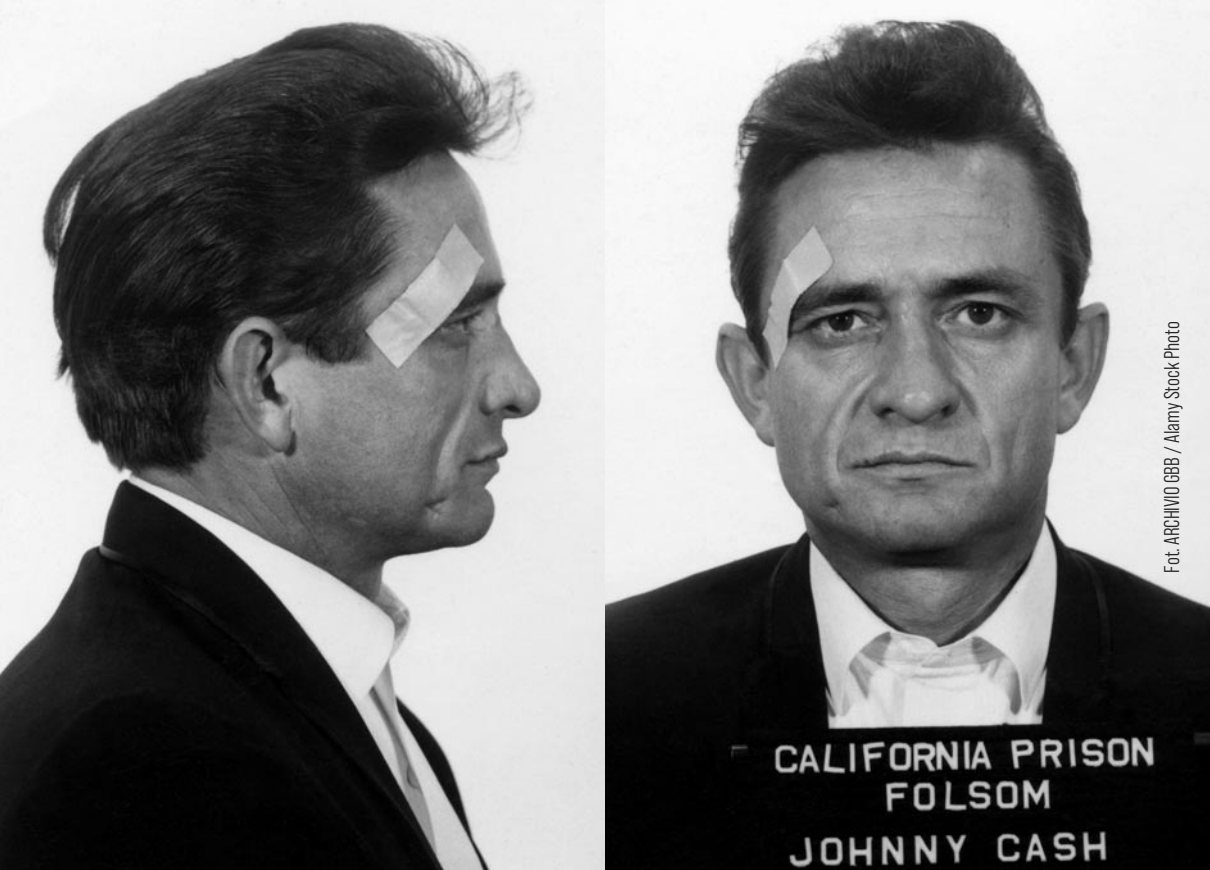
w zawieszeniu oraz grzywnę. Zdjęcie gwiazdora prowadzonego w kajdankach pojawiło się we wszystkich ówczesnych mediach.

Johnny nie był pokornym aresztantem. W więzieniu Starkville krzyczał i kopał w drzwi celi tak mocno, że złamał sobie palec u nogi. W pewnym areszcie, gdzie spędzał noc, dzielił celę z groźnym drwalem, który nie chciał uwierzyć, że siedzi z nim sam Johnny Cash. Piosenkarz musiał więc śpiewać swoje przeboje, aby uspokoić zastraszającego go współwięźnia, póki ten nie zasnął.

Nie tylko narkotyki i alkohol niszczyły jego karierę i relacje rodzinne (nastąpił rozwód z żoną) ale też napady szału, w trakcie których demolował pokoje hotelowe. Musiano także zabierać go ze sceny, kiedy w trakcie koncertu niszczył sprzęt muzyczny. Potrafił też wsiąść pijany do samochodu i specjal-

Koncert Johnny'ego Casha
w więzieniu Folsom





nie wjechać w ślup, wybijając sobie kilka zębów i łamiąc nos.

Jego życie było jak balansowanie na linie. Kwestią czasu było to, kiedy stanie się prawdziwym więźniem, a nie tylko *dochodzącym* na noc. Jednak Johnny podniósł się z upadku. Pomogła mu w tym druga żona, June Carter, piosenkarka, z którą występował, i z którą wziął ślub w 1968 roku. June pochodziła z pobożnej, protestanckiej rodziny i wierzyła, że tylko z Bożą pomocą Johnny może zmienić swoje życie. Pod jej wpływem piosenkarz zaczął wracać do swoich chrześcijańskich korzeni. Swoje nawrócenie potraktował tak poważnie, że zaczął studia teologiczne aby zostać pastorem. Udało mu się to osiągnąć pod koniec lat 70., kiedy jako pastor

udzielał ślubu swojej córce z pierwszego małżeństwa.

Droga ku trzeźwości nie była prosta. Zdarzyło mu się kilka nawrotów choroby, kiedy wracał do narkotyków i alkoholu. Podejmował wtedy terapię leczenia uzależnień.

Johnny zadebiutował także jako pisarz. W 1986 r. opublikował powieść „Człowiek w bieli” – fikcyjną relację z sześciu lat życia apostoła Pawła, w tym jego nawrócenie w drodze do Damaszku. Nietrudno dostrzec podobieństwo między Pawłem Faryzeuszem, który przyszedł do Chrystusa przez swoje dramatyczne nawrócenie ze ślepoty, a Cashem, który widział siebie wybawionego ze ślepoty przez Człowieka w bieli – Jezusa. Johnny, swoją wiarę

przekazywał także w piosenkach, nagrywając płyty poświęcone Bogu.

Cash był *adwokatem osadzonych*. Otwarcie mówił o potrzebie reform więziennictwa. Szczególnie niepokoiło go, że młodzi ludzie, którzy po raz pierwszy trafiają do zakładu karnego, są umieszczani w celach z zatwardziałymi kryminalistami. W tym czasie w Stanach Zjednoczonych nie było nikogo tak cenionego i lubianego, jak Cash, kto by poruszał ten trudny temat.

W 1972 roku na zaproszenie senatora Williama Brocka, zeznał przed senacką komisją do spraw wiezień o potrzebie traktowania zwolnionych więźniów jako normalnych obywateli i zaprzestania trzymania młodych osadzonych z długoletnimi przestępcami. Cash spotkał się nawet z samym prezydentem USA Richardem Nixonem, aby omówić

Johnny Cash będzie zapamiętany za swoją walkę o tych, o których walczyło niewielu.

sprawę reform w więzieniach. To, co głównie go motywowało, to właśnie jego wiara. Słowa Jezusa „Byłem w więzieniu, a przysłiście do mnie”. Nie były to tylko publiczne działania. Johnny regularnie korespondował z osadzonymi, odwiedzał pobliskie zakłady karne, aby zwyczajnie pożyć, pogadać i pograć w karty. Zabiegał o przedterminowe zwolnienia, pomagał w szukaniu pracy, a nawet bywał drużbą na ślubach byłych osadzonych.

Bestor Cram, reżyser filmu dokumentalnego „Johnny Cash w więzieniu Folsom” powiedział o nim, że: „będzie zapamiętany za swoją walkę o tych, o których walczyło niewielu. Nawet dzisiaj po latach, kiedy słuchamy Johnny’ego, to znamy go właśnie jako *przyjaciela więźniów*.”

Stanisława Gamrat

Fot. Wikimedia



Na spotkaniu z prezydentem Nixonem

FOLSOM PRISON BLUES

Słyszę jak nadjeżdża pociąg,
dudni gdy po szynach gna.
Słońca dawno nie widziałem,
jak dawno nie wiem sam.
Siedzę tu w więzieniu w Folsom,
a czas strasznie wlecze się.
Ten pociąg jedzie do San Antone,
a w nim nie ma mnie.

Kiedy byłem jeszcze dzieckiem
moja mama rzekła tak:
„Bądź zawsze dobrym chłopcem,
unikaj różnych drak”
Lecz zabiłem gościa w Reno
by zobaczyć jego śmierć.
Kiedy słyszę gwizd pociągu
płakać mi się chce.

W tym pociągu grube ryby
w restauracji obiad żrą.
Z filiżanek piją kawę
i cygara wielkie ćmią.
Ja wiedziałem co mnie czeka,
szybko stąd nie wyjdę, nie.
Tamci ludzie sobie jada,
a to dręczy mnie.

Gdybym mógł opuścić Folsom,
gdybym taki pociąg miał.
To pojechałbym daleko,
za horyzont chętnie zwiął.
Jak najdalej od więzienia,
gdzie czeka tylko żal i znój.
A jego gwizdek by przegonił
na zawsze smutek mój.

tłum. Jacek Folega



Fot. Wikicommons

MODLITWA JEZUSOWA

To jedna z najstarszych
i najprostszych modlitw,
praktykowana w różnych
nurtach chrześcijaństwa.

Jej słowa są wzięte wprost
z Nowego Testamentu:

„Jezusie, Synu Dawida,
ulituj się nade mną” (Łk 18,38)

lub

„Boże, miej litość dla mnie, grzesznika”
(Łk 18,13).

M E D Y T



A C J A

Szczególny rodzaj ciszy

James Bishop wychował się jako katolik, ale w młodości studiował inne wierzenia religijne, koncentrując się na medytacji. Pracował przez ponad dziesięć lat z oprogramowaniem sztucznej inteligencji. W więzieniu odkrył medytację benedyktyńską, która przyniosła mu upragniony spokój ducha.

Jak wyglądało Twoje życie przed nawróceniem?

Wychowywałem się w klasztorze, skąd zostałem adoptowany przez pewną katolicką rodzinę. Mam starszego brata oraz dwie młodsze siostry, którzy również są wychowankami tego samego klasztoru. Mieliśmy kochających rodziców; wszyscy zostaliśmy ochrzczeni oraz przystąpiliśmy do pierwszej komunii świętej. Sakrament bierzmowania otrzymałem w liceum.

Już od najmłodszych lat miałem problemy ze zdrowiem. Próbowano mnie leczyć za pomocą takich leków, jak Ritalin, Mellaril czy Tofranil. Odstawiłem je jednak w liceum. Czułem się znacznie lepiej, choć wciąż odczuwałem pewne dolegliwości.

Czym się zajmowałeś?

Po szkole średniej poszedłem na studia i zacząłem pić. Kiedy moja edukacja dobiegła końca, nie chciałem już więcej studiować, bo nie mogłem wtedy zagłębiać do kieliszka. Zacząłem więc pracować jako programista sztucznej inteli-

gencji. Radziłem sobie całkiem nieźle, tzn. byłem pijany przez większość czasu, ale jakoś funkcjonowałem.

Wieloletnie nadużywanie alkoholu doprowadziło mnie do popadnięcia w paranoję. W końcu zostałem aresztowany i wysłany do kalifornijskiego ośrodka leczenia uzależnień i więzienia stanowego w Corcoran.

Co pomyślałeś, kiedy usłyszałeś wyrok dwunastu lat?

Spodziewałem się takiego wyroku, ale mimo wszystko byłem trochę zszokowany. To takie dziwne uczucie kiedy jest się skazanym, poczucie beznadziei, braku kontroli.

Jak wygląda życie za kratami? Jak wyglądały Twoje relacje ze współosadzonymi?

Kiedy trafiłem do więzienia, na początku bardzo się bałem, ale po jakimś czasie udało mi się nawiązać relacje, „wpasować się” w towarzystwo. Dogaadywałem się z większością więźniów.

Także kapelan odwiedzał nasze cele, uczestniczyłem też w nabożeństwach



„Nieustannie zmagamy się z rozproszeniami, a rozproszenia są dobre, bo dają nam szansę powrotu do ciszy. Każdy z nas ich doświadcza. Medytacja bez rozproszeń to jak podnoszenie ciężarów bez ciężarów. Potrzebujemy ich, bo one przypominają nam żeby powrócić do ciszy.”

na terenie dziedzińca więziennego, które prowadzone były przez siostry zakonne. Od czasu do czasu odwiedzał nas również ksiądz. Raz nawet przyjechał do nas miejscowy biskup, co było bardzo mile.

Tata wysłał mi też brewiarz, dzięki czemu mogłem codziennie odmawiać liturgię godzin, która stała się dla mnie bardzo pomocną formą medytacji.

W więzieniu doszło do Twojego nawrócenia. Jakie były okoliczności Twojego osobistego spotkania z Jezusem?

Kiedy człowiek zostaje aresztowany po raz pierwszy, dowiaduje się czym jest lęk przed śmiercią, w końcu stajemy się najbardziej wierzący w najtrudniejszych chwilach życia. Wiedziałem, że nie jestem w stanie przejść przez to wszystko bez pomocy Boga.

Potrzebowałem Go. W ten sposób wróciłem do swoich katolickich korzeni.

Na początku miałem bardzo wiele pytań dotyczących wiary katolickiej, ponieważ nie wszystko było dla mnie jasne. Nie pamiętam nawet dokładnie tych zagadnień, ale wiem, że rozmawiałem o nich z kapłanem i wszystko mi wytłumaczył. Dostałem też od taty *Katechizm Kościoła katolickiego*, który rozwiązał wszelkie wątpliwości. Przeczytałem go od deski do deski.

Wiem, że wtedy poznałeś medytację chrześcijańską. Jak wyglądały Twoje pierwsze kroki w medytacji?

Kiedyś jeden z kapłanów zaprosił do nas dwóch wolontariuszy ze Światowej Wspólnoty Medytacji Chrześcijańskiej (ang. *The World Community for Christian Meditation* – skrót WCCM), którzy zaczęli nas wprowadzać w tematykę medytacji.

Medytacja to najłatwiejsza, a zarazem najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu robiłem. Jest prosta, ponieważ jej instrukcja jest banalna: usiądź i wycisz się. Z drugiej strony wiąże się ona z ogromnym trudem, ponieważ wyciszenie umysłu to heroiczny wysiłek.

Mimo tego powinien nam przyświecać zawsze jeden cel: nieustannie dążyć do poprawy, ponownie wejść w ciszę, która ćwiczy i uspokaja umysł.

W więzieniu bardzo trudno o wyciszenie.

W ciągu dnia są jednak dwa takie momenty, kiedy w całym zakładzie zapada głucha cisza. Ma to miejsce wtedy, gdy strażnicy przeprowadzają kontrole stanu liczebnego osadzonych i wszyscy muszą milczeć. Oczywiście zdarzało mi się też medytować w ogromnym zgiełku, ale po jakimś czasie stwierdziłem, że hałas to szczególny rodzaj ciszy.

Jeśli ktoś chciałby pójść drogą medytacji chrześcijańskiej, jakie dałbyś mu rady? Może podzielisz się swoją osobistą praktyką?

Moja rada brzmi: nigdy się nie poddawaj. Medytacja to nic innego jak

Zdarzało mi się też medytować w ogromnym zgiełku, ale po jakimś czasie stwierdziłem, że hałas to szczególny rodzaj ciszy.

ćwiczenie, które możemy powtarzać bez końca nie osiągając tak naprawdę żadnych konkretnych celów czy rezultatów. Nie ma czegoś takiego jak „ukończenie” medytacji.

Nieustannie zmagamy się z rozproszeniami, a rozproszenia są dobre, bo dają nam szanse powrotu do ciszy. Każdy z nas ich doświadcza. Medytacja bez rozproszeń to jak podnoszenie ciężarów bez ciężarów. Potrzebujemy ich, bo one przypominają nam żeby powrócić do ciszy.

Jak wygląda twoje życie po wyjściu z więzienia? Czy nie miałeś obaw, że po tak długim czasie nie odnajdziesz się w społeczeństwie?

To była walka. Społeczeństwo jest czasami niezbyt wyrozumiałe i bardzo trudno jest się do niego przystosować. Niektórzy mają dłuższą odsiadkę i jest im jeszcze trudniej. Myślę jednak, że wszystko jest do zrobienia, choć z pewnością istnieje potrzeba większej akceptacji ze strony drugiego człowieka.

Jak potoczyły się twoje dalsze losy? Jaką rolę pełnisz w Kościele?

Teraz po prostu medytuję. Miałem ostatnio problemy zdrowotne (w końcu się starzeję!), dlatego też musiałem nieco zwolnić z pracą i obowiązkami związanymi z WCCM.

Piszę do więźniów listy i dzielę się z nimi darem medytacji, który sam otrzymałem. Z reguły są oni bardzo

otwarcy. Wydaje mi się, że to, co początkowo przyciąga ich do tej formy modlitwy, to rodzaj ucieczki, chwilowe „wyjście” poza mury więzienia. Kilku więźniów, z którymi koresponduję, przebywa obecnie na zwolnieniu warunkowym i bardzo często dzieli się ze

mną owocami medytacji. Nawet najdrobniejsza zmiana w czymś życiu sprawia, że staję się szczęśliwszy.

Czy są jakieś słowa, myśl, przesłanie, zachęty, pociechy - jakie chciałbyś

dać osobom, które są w więzieniu i będą czytać ten wywiad?

Wraz z całą wspólnotą WCCM jestem do Waszej dyspozycji. Chcę powiedzieć tylko jedno: nie ustawajmy w medytacji! Owoce przychodzą powoli, ale przychodzą. Zapraszam do kontaktu (w języku angielskim):

James Bishop
7726 Calvin Ave.
Reseda, CA 91335
USA

Dziękuję za rozmowę!

Rozmawiał Marek Woś

Tłum. BW

**Światowa Wspólnota
Medytacji Chrześcijańskiej:**
www.wccm.org
Strona polska:
www.wccm.pl

Medytacja chrześcijańska – przez skupienie do Boga

Choć medytacja częściej jest kojarzona z buddyzmem lub hinduizmem, to w tradycji chrześcijańskiej jest także obecna od najdawniejszych czasów.

Medytacja (łac. *meditatio* – zagłębianie się w myślach, rozważanie, namysł) to z definicji praktyki polegające na ćwiczeniu umysłu lub wprowadzaniu się w odmienny stan świadomości dla uzyskania dobroczynnego skutku. Praktykowana jeszcze przez Ojców Kościoła, od wieków stanowi jedną z kontemplacyjnych form budowania relacji z Bogiem.

Bogactwo Kościoła jak tak ogromne, że każdy może w nim znaleźć odpowiednią ścieżkę modlitewną. Medytacja chrześcijańska jest formą spotkania z Bogiem, budowanie dojrzałości osobowości i więzi z Bogiem. Dzięki medytacji chrześcijańskiej, wchodzimy w taki stan, w którym pozwalamy Bogu, aby przemieniał nasze serce, otwierał nas na siebie samych. Dojrzała wiara nie wyklucza nauki, a także psychologii. Medytacja chrześcijańska tworzy miejsce, w którym spotyka się nauka i wiara, a przez to kształtuje się model osobowościowy, przemienia się nasze serce i dusza. Jednym słowem: wzrastamy.

Jak napisał Laurence Freeman OSB w książce *Medytacja chrześcijańska. Twoja codzienna praktyka*:

„Jako chrześcijanie medytujemy, bo wierzymy w Chrystusa Zmartwychwstałego, który nieustannie w nas żyje. Jako uczniowie Jezusa, naszego mistrza, zawieramy Mu, gdy nawołuje nas do zaparcia się siebie samego i pójścia za Nim do Królestwa Bożego, tak by «mieć uczestnictwo w życiu samego Boga».

To nasza wiara czyni naszą medytację medytacją chrześcijańską. Jest ona chrześcijańska, bo skupiona w ludzkiej świadomości Jezusa, w naszej najgłębszej istocie. Jako chrześcijanie zwykle medytujemy wraz z innymi chrześcijanami, a nasze życie jest kierowane i ubogacane przez Pismo Święte, sakramenty i różne formy służby bliźnim w miłości i miłosierdziu Ducha Świętego.

Podstawowa teologia medytacji jest teologią Ewangelii. Jezus przez swoje życie, śmierć i zmartwychwstanie otworzył nam drogę do Boga, przez zesłanie nam Ducha Świętego stał się naszą drogą i naszym przewodnikiem.

Jezus nie nauczał żadnej szczególnej metody modlitwy, możemy jednak spojrzeć poprzez to, co mówi w Kazaniu na Górze, że medytacja jest sposobem na znalezienie Go i podążanie za Nim. Medytacja chrześcijańska jest całkowicie zgodna z Jego nauką o modlitwie.”

Choć samo słowo „medytacja”, może początkowo sprawiać, że ta forma rozwoju będzie wskazywała na jakąś naukę sprzeczną z *Katechizmem Kościoła katolickiego*, to w tym przypadku jest zupełnie odwrotnie. Praktykowali ją święci, stosuje się ją w zakonach i innych wspólnotach katolickich.

Maranatha!

Ważna jest pozycja w jakiej się siada. Kiedy siada się na chwilę, to nie ma
znacze-

nia, jaką pozycję wybierzemy. Aby medytacja była udana, należy przyjąć wygodną pozycję siedzącą, taką aby można w niej było wytrzymać dłuższy czas. Postawa powinna być odpowiednia. Można np. usiąść na krześle z wyprostowanymi plecami, lub na poduszce ze skrzyżowanymi nogami.

Należy zacząć od uspokojenia oddechu, można zamknąć oczy. Oddech powinien stać się spokojny i regularny, a mięśnie rozluźnione.

W stanie, w którym gotowi jesteśmy do medytacji, nasze myśli przemykają przez umysł, ale nie zatrzymujemy się na nich. Pozwalamy im się pojawiać, ale nie skupiamy się na nich, nie podążamy za nimi. W medytacji ważne jest znalezienie spokoju.

Nie należy się kręcić, trzeba siedzieć spokojnie i pozwalać z każdym oddechem na większą relaksację ciała. To może nie być proste do osiągnięcia na początku, ale warto poświęcić czas na trening.

Dzięki medytacji chrześcijańskiej, wchodzimy w taki stan, w którym pozwalamy Bogu, aby przemieniał nasze serce, otwierał nas na siebie samych.

W medytacji ważna jest też postawa umysłu, która powinna być zrelaksowana i spokojna, tak samo jak postawa ciała. Niezbędne jest wewnętrzne nastawienie, które pozwoli na wyciszenie umysłu i osiągnięcie harmonijnego wewnętrznego spokoju. Ten element sprawia najwięcej problemu, ale praktyka zwykle przynosi odpowiednie owoce. W takim stanie błęgiego spokoju, relaksacji ciała i umysłu, spokojnie oddychając, jesteśmy gotowi na rozpoczęcie medytacji.

Warto też poświęcić chwilę na zrozumienie jak ważne w kwestii medytacji chrześcijańskiej jest milczenie. Cisza i milczenie to najlepszy wstęp do rozpoczęcia modlitwy. Warto zaprzestać rozmowy i wyciszyć się już w momencie, kiedy szukamy wygodnej pozycji do medytacji.

Kiedy już jesteśmy gotowi, możemy zamknąć oczy i zacząć powtarzać w ser-

cu słowo *Maranatha* to starożytna modlitwa aramejska, która znaczy: *Przyjdź Panie Jezu*. Wymawia się to słowo po prostu Ma-ra-na-tha.

„Przyjdź Panie Jezu!”

Wezwanie *Maranatha* powtarzamy, aby medytując zgłębiać wiarę w Chrystusa, przybliżać do Niego nasze serce. Wezwane to pomaga też radzić sobie z rozproszeniami. Naukowo udowodniono, że umysł człowieka potrzebuje w tym celu jakiegoś punktu skupienia, czegoś co nie pozwoli myślom na swobodne pojawianie się w głowie.

To jedno słowo nie tylko absorbować umysł, ale też będzie także wyrażeniem wiary żyjącej lub rodzącej się w sercach. Powtarzanie *Maranatha* jako swoistej „mantry” spowoduje, że nasz umysł będzie się stopniowo wyciszać. W ten sposób wejdziemy w stan medytacji.

Wybór wezwania

Wybór wezwania jest bardzo ważny, bo medytacja chrześcijańska musi odnosić się do Boga, być utrzymana w duchu poszukiwania Go. Jeśli pojawiają się jakieś pytania, na które trudno nam znaleźć odpowiedź, z pomocą przychodzi Duch Święty, który jest niezawodnym nauczycielem. Warto przed rozpoczęciem medytacji odbyć krótką modlitwę, w której poprosimy o wsparcie.

Maranatha to wezwanie polecane przez jednego z najsłynniejszych nauczycieli medytacji chrześcijańskiej, o. Johna Maina OSB. Można też używać do medytacji fragmentów Pisma Świętego, albo np. słowa „Abba”, czyli wezwania Ojca Niebieskiego. Ważne, aby to słowo było zaczerpnięte z tradycji chrześcijańskiej i zbliżało nas do Boga. *Maranatha* jest bardzo dobrym wybo-

rem również z punktu widzenia psychologii. Nie jest to słowo zaczerpnięte z języka polskiego, a więc nie kojarzy nam się z niczym związanym z naszym życiem codziennym. Nie sprawia, że zaczynamy myśleć o czymś innym.

Medytacja chrześcijańska niesie ze sobą wiele korzyści. Jako forma modlitwy połączonej z relaksacją, korzystnie wpływa na układ nerwowy, na kondycję emocjonalną, a także na rozwój duchowy. Osoby regularnie praktykujące ją stają się spokojniejsze, bardziej kreatywne, lepiej śpią, zaczynają widzieć świat w bardziej pozytywny sposób. Zamiast ulegać negatywnym nastrojom, zaczynają dostrzegać obfitość, jaką każdego z nas obdarza Pan Bóg. A co najważniejsze, jest to forma zbliżenia się z Tym, bez którego zwykły człowiek niczego dobrego zrobić nie może.

nk

Jak medytować?

Usiądź wygodnie.

Uspokój oddech.

Zamknij oczy.

Rozluźnij mięśnie.

Wycisz myśli.

Powtarzaj słowa:

Maranatha!

Przyjdź,

Panie Jezu!

Modlitwa Jezusowa. Spacer ku bliskości z Tym, który wszystko wybacz

Na ścieżce poszukiwania pokoju serca można próbować różnych form modlitwy. Jedną z najstarszych jest tzw. *Modlitwa Jezusowa*, czyli modlitwa kontemplacyjna, której forma jest prosta, ale sama jej praktyka koi duszę.

Jej praktyka powstała z inspiracji dziejami ukrzyżowanego złooczyńcy, celnika i żebraka, którzy wzywając imienia Jezusa odmienili swoje życie.

Czym jest modlitwa? – Modlitwa to forma tworzenia więzi z Bogiem, ale też okazja aby poprzez modlitwę serca, rozwinąć swoje życie duchowe. Tam, gdzie kończy się *myśl człowieka*, tam zaczyna się *myśl Boga*. Człowiek bez Boga niewiele może, a wszystko, co zdobywa nie trzymając się Bożej ścieżki, przychodzi mu z trudem. Kiedy zaczyna zawierzać Bogu swoje sprawy, sam zaczyna zauważać zmiany. Wystarczy spróbować, zaufać i z wiarą oddać Mu swoje problemy.

Warto dołożyć starań, aby żyć w łasce uświęcającej, dążyć do wyrzekania się grzechu.

Na czym polega Modlitwa Jezusowa?

Modlitwa ta narodziła się dawno temu z przekonania pierwszych chrześcijan o zbawczej mocy imienia Jezus. Poza tym, dużą inspirację stanowiły teksty z Pisma Świętego, które opowiadały o żebraku spod Jerycha, ukrzyżowanym złooczyńcy, celniku w świątyni i innych biblijnych postaciach, które nawróciły się i dostały łask Bożych ze względu na zaufanie Jezusowi. Ludzie w dawnych czasach dążyli też do *modlitwy nieustannej*, chcieli ciągle łączyć się z Bogiem

Praktyka *Modlitwy Jezusowej* jest bardzo prosta: powtarza się na głos bądź w myśli te same słowa, np. „Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną!” lub innej, podobnej formuły.

Święty biskup Teofan Pustelnik zaleca odmawiać wiernym świeckim 3 razy dziennie po 30 razy jedną z formuł, ale nie jest to konieczne. – Można odmawiać więcej lub mniej. Można odmawiać taką modlitwę w dowolnej chwili, nie ma potrzeby narzucać sobie niewygodnej systematyczności, choć można jeśli jest taka potrzeba.

Zalecane formy

Zalecane formy modlitwy to np.:

- „Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną” (*Mała Modlitwa Jezusowa*, VI wiek),
- „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznikiem” (*Duża Modlitwa Jezusowa*, VII wiek),
- „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, przez modlitwy Matki Bożej i wszystkich świętych, zmiłuj się nade mną grzesznikiem” (*Maryjna Modlitwa Jezusowa*),
- „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nad...” (*imię i nazwisko osoby żyjącej lub zmarłej*),
- „Boże, wejrzyj ku wspomnieniu memu, Panie, pośpiesz ku ratunkowi memu” (Ps 70,2; św. Jan Kasjan).

Aby najlepiej przejść taką modlitwę na początku, wystarczy ciche i spokojne miejsce, przestrzeń, w której można np. zamknąć oczy i po pro-

stu być. Oddychać i powtarzać te same słowa. Pan Bóg lubi kiedy działamy w wolności, dlatego do nas na-

Bez ciszy nie jest możliwy wewnętrzny rozwój człowieka. Dzięki niej, przestajemy się skupiać na bodźcach zewnętrznych, a zaczynamy słyszeć swoją duszę, inspiracje do działania

leży decyzja, ile czasu poświęcimy na taką modlitwę.

Warto jednak pamiętać, że w życiu duchowym nic nie dzieje się od razu. Dlatego potrzeba czasu i konsekwencji w mo-

dlitwie, aby zaczęły się dziać cuda na płaszczyźnie materialnej.

Dlaczego cisza jest ważna?

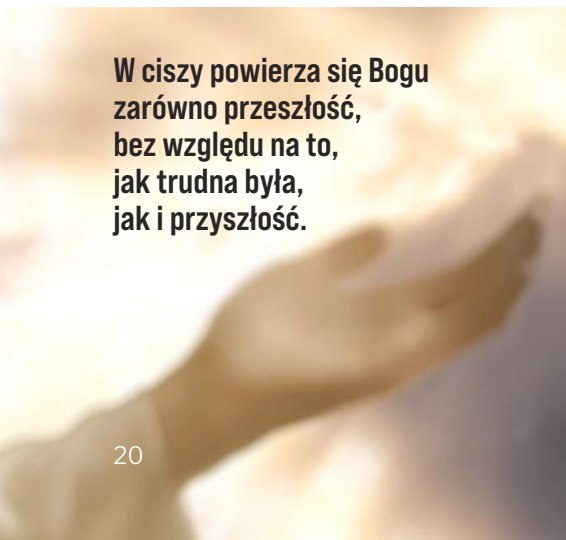
Modlitwa Jezusowa jest tak prosta i nie wymagająca żadnej wiedzy na tematy teologiczne, że można ją praktykować w każdej chwili i bez względu na to, gdzie się znajdujemy.

Fundamentem tej modlitwy jest jednak cisza. Kiedy przychodzimy na modlitwę, w naszych głowach wciąż kłębi się wiele myśli, często przez większość dnia nasze usta wypowiadają bardzo wiele słów, niekiedy zbyt wiele. Bez ciszy nie jest możliwy wewnętrzny rozwój człowieka. Dzięki niej, przestajemy się skupiać na bodźcach zewnętrznych, a zaczynamy słyszeć swoją duszę, inspiracje do działania. Uczymy się powoli rozeznawać, co jest Bożym natchnieniem, a co głosem naszego *ego*.

Chodzi jednak nie tylko o zewnętrzną ciszę, ale i o tę wewnętrzną. Uspokojenie rozbieganych myśli, poddanie się rytmowi modlitwy, daje bardzo korzystne efekty zarówno dla ducha, jak i ciała.

W ciszy powierza się Panu Bogu zarówno przeszłość, bez względu na to, jak trudna była, jak i przyszłość. Trwając w modlitwie w ciszy jesteśmy w teraźniejszości, oddając wszystko w ręce Tego, który kocha nas takimi, jakimi jesteśmy.

Nadrzędnym celem takiej modlitwy jest czuwanie i twórczy pokój serca zwane „hezychia”. To stan milczenia i ciszy, które zatrzymują nas w biegu i otwierają nasze serca. Aby zatopić się w milczeniu, trzeba uwolnić swój umysł od myśli, pragnień, planów, uczuć. Na tyle, a ile jest to możliwe. W hezychii najważniejsze jest uświadomienie sobie własnej kruchości i słabości. Uczucie wdzięczności za otaczający nas świat, przyrodę, wszystkiego co Pan Bóg stworzył, budzi w naszych sercach miłosierdzie wobec innych. Hezychia to stan, w którym człowiek staje się cały swoim jestestwem żywą modlitwą.



W ciszy powierza się Bogu zarówno przeszłość, bez względu na to, jak trudna była, jak i przyszłość.

Pochodzenie modlitwy

Modlitwa ta ma swoje korzenie w Kościele Wschodnim. Choć stała się popularna dopiero w XIX wieku, dzięki rosyjskojęzycznej książce zatytułowanej „Opowieści pielgrzyma”, to korzenie ma o wiele starsze. Sięga czasów apostołów, jedną z jej inspiracji był sam św. Paweł i jego nauczanie.


W czasach, kiedy tradycja Kościoła była wspólna dla wschodu i zachodu, w pierwszych wiekach po zmartwychwstaniu Chrystusa, wspólnoty chrześcijańskie dążyły z ogromnym zaangażowaniem do doskonałości godnej apostołów. Pod wpływem nauk św. Makarego Egipskiego i jego ucznia Egwariusza z Pontu, zaczęto praktykować właśnie taką medytacyjną modlitwę.

Pierwszymi miejscami, gdzie ją praktykowano były klasztory w Synaju i na górze Atos, a miało to miejsce już w IV wieku. Następnie praktyka ta rozpowszechniła się dzięki *Filokaliom*, czyli zbiorowi tekstów zredagowanych przez dwóch greckich mnichów. Zebrali je Nikodem Hagioryta i Makary z Koryntu, ale wydano po raz pierwszy dopiero w 1782 roku w Wenecji.

Jeszcze w XV wieku Nil Sorski przywiózł wiedzę o takiej modlitwie z góry Atos na Ruś, gdzie zaczęto ją praktykować. Następnie w 1793 r. św. Paisjusz Wielickowski przetłumaczył *Filokalia* na język cerkiewnosłowiański, pod nazwą *Dobrotolubije* (Добротолюбие), czyli „Opowieść pielgrzyma”. I tak *Modlitwa Jezusowa* znana jest do dziś.

nk

**„Ja, Jezus, posłałem mojego anioła,
by wam zaświadczyć o tym,
co dotyczy Kościołów.
Jam jest Odrośl i Potomstwo Dawida,
Gwiazda świecąca, poranna.
A Duch i Oblubienica mówią:
«Przyjdź!»
A kto słyszy, niech powie:
«Przyjdź!»»**



**I kto odczuwa pragnienie, niech przyjdzie,
kto chce, niech wody życia darmo zaczerpnie.
Mówi Ten, który o tym świadczy:
«Zaiste, przyjdę niebawem».
Amen. Przyjdź, Panie Jezu!”**

AP 22

Bartolo Longo.

Opiekun dzieci skazańców

To postać znana wielu czcicielom różańca i nie możemy go pominąć, kiedy chcemy poznać nowennę pompejańską. Bo to od tego człowieka rozpoczęło się dzieło szerzenia różańca z Pompejów na cały świat!

Bartolo Longo urodził się w 1841 r. we włoskiej, katolickiej rodzinie i kształcił się w kolegium pijarów. Jednak pod wpływem prądów epoki porzucił wiarę na rzecz pozytywistycznych poglądów, które w jego przypadku łączyły się z ateizmem, kultem rozumu, a także z antyklerykalizmem. Neapol, gdzie Bartolo doktoryzował się z prawa, był wylegarnią ruchów wrogich Kościołowi. Tam też zdobywał olbrzymią popularność spirytyzm, uważany wówczas za nową, oświeconą formę religii. Był to załęczek dzisiejszego ruchu New Age.

Młody Bartolo dał się zwieść tym fałszywym poglądom w przekonaniu, że odkrywa prawdziwą wiarę. Często uczestnictwo w seansach spirytystycznych, wypytywanie duchów o tajemnice świata nadprzyrodzonego, stało się elementem codziennego życia. Ta aktywność powodowała, że był wciągany coraz bardziej w wąski krąg czcicieli szatana.

Kulminacyjnym etapem tej działalności był mroczny rytuał, w którym Bartolo został wyświęcony na kapłana satanistycznej grupy. Po tym wydarze-

niu przez kilka dni trwał w dziwnym letargu, pełnym koszmarów. Mimo to nadal prowadził liczne antyklerykalne akcje, zebrania i teatrzyki, wieczorami zaś, jako medium, uczestniczył w seansach i spotkaniach sekty.

To nie mogło skończyć się dobrze. Bartolo zaczął zdradzać oznaki opętania i tracił kontrolę nad swoim życiem. Zwierzył się z tego stanu przyjacielowi z rodzinnego miasta, który był gorliwym katolikiem. Ten ostrzegł go, że trafi do domu dla obłąkanych. Adwokat wziął sobie te słowa do serca.



Bartolo Longo w okresie walki z Kościołem i zaangażowania w spirytyzm



Bartolo Longo z wychowankami,
dziećmi więźniów

Nawrócenie

Dzięki Bożej łasce i pomocy przyjaciół, dokonywał się stopniowy zwrot w duszy Bartola. I tak wojujący antyklerykał nawrócił się i z różańcem w dłoni, publicznie, wobec dawnych członków sekty, potępił swoje błędy i zachęcał ich do zawrócenia ze złej drogi.

Szatan jednak wciąż niepokoił młodego adwokata. Kilka lat po nawróceniu, kiedy w celu uporządkowania spraw administracyjnych Marianny de Fusco, swojej późniejszej żony, udał się do Pompejów, czuł tak silne przygnębienie, że był bliski samobójstwa. Powodem tego była myśl, którą sęczył w jego umysł zły duch, że kapłaństwo na służbę szatanowi, tak jak kapłaństwo Boże, jest wieczne. Stąd wynikał wniosek, że Bartolo jest skazany na potępienie...

Kiedy z tą upiorną myślą błąkał się po pompejańskich bezdrożach, kiedy

rozpacz zalała jego umysł, wtedy jak błysk z nieba przyszła myśl: „Kto szerzy różaniec, ten będzie ocalony!”

Ta obietnica, którą dała Maryja św. Dominikowi, w jednej chwili natchnęła Bartola do podjęcia dzieła propagowania modlitwy różańcowej w zdziczałej Dolinie Pompejańskiej, której mieszkańcy wyznawali dziwne wierzenia, łączące pogańskie przekonania z jakimiś resztkami chrześcijaństwa.

Dzieła miłosierdzia

Bartolo niemal od razu zaczął wcielać swoją obietnicę w życie. Chodząc od chaty do chaty uczył chłopów modlitwy. Z czasem zawiązał bractwo różańcowe i zainicjował misje. Do zakończenia rekolekcji był potrzebny obraz Matki Bożej Różańcowej. Znaleziony wizerunek był w opłakanym stanie. Malowidło niemal rozsypywało się

w rękach i tylko brak czasu na dalsze poszukiwania spowodował, że zostało ono przewiezione do Pompejów. Na domiar nieszczęść, woźnica nie wiedząc, co zawiera pakunek, przewiózł obraz na stercie obornika... Jednak to ten obraz po kilkukrotnej renowacji, po dziś dzień znajduje się w głównym ołtarzu pompejańskiego sanktuarium.

Także ten wspanał obiekt sakralny powstał dzięki wysiłkowi bł. Bartola. Zadanie zbudowania kościółka dla okolicznych mieszkańców powierzył mu biskup. Adwokat nie mógł zdawać sobie sprawy, że za tym poleceniem kryje się wielka misja, jaką zleciła mu sama Matka Boża. Nie mały kościółek, ale wspanała bazylika, która miała głosić chwałę Królowej Różańca, okazała się zamierzeniem niebios! Dodajmy, że budowa kościoła to ledwie część aktywności

ewangelizacyjnej, jakiej Bartolo Longo poświęcił całe swoje życie.

Założył liczne dzieła społeczne – szkoły, ochronkę dla sierot, dom wychowawczy dla dzieci więźniów, warsztaty, zakłady pracy. Te inicjatywy stały się świadectwem Bożego Miłosierdzia, chwały Maryi i opieki aniołów, które prowadziły Bartola przez liczne przeciwności. Wobec niebezpieczeństw, ataków złego ducha, jawnej wrogości nawet ze strony niektórych dostojników kościelnych, dzieła te rozkwitały i były wymownym znakiem Bożej łaski.

Wychowawca dzieci skazańców

„Jaka klasa ludzi jest najbardziej opuszczona? – Synowie przestępców kryminalnych. Nie są to sieroty, więc



nie mogą korzystać z zakładów dla sierot. A są traktowani gorzej niż sieroty, bo znienawidzeni z powodu przestępstw rodziców, niosą na sobie bez żadnej winy piętno niesławny, a mając wciąż przed oczami zbrodnię ojca, idą tą samą drogą”. – Tak pisał Bartolo Longo w czasopiśmie „Różaniec i Nowe Pompeje”.

Jak to się stało, że zajął się dziećmi więźniów? – Otóż pewnego dnia w 1885 r., kiedy zmierzch okrył uliczki, do Bartola podszedł jakiś człowiek. Zdradził, że ukrywa się z powodu zabójstwa dokonanego w samoobronie. Prosił o radę i modlitwę. Adwokat spokojnie wytłumaczył nieszczęśnikowi jego sytuację prawną i poradził, aby oddał się w ręce sprawiedliwości. „Ale co będzie z moją rodziną, którą mam na utrzymaniu?” – pytał uciekinier.

Bartolowi te słowa nie dawały spokoju. Wiedział, że nie spotka ich nic dobrego. Dzieci będą żyć w biedzie i z piętnem ojca mordercy, dopóki nie wyjdzie z więzienia. Może i same zejdą na przestępczą ścieżkę... Stad wziął się pomysł, aby obok domu dla sierot otworzyć dom dla dzieci więźniów. W maju 1892 roku przyjęto pierwszego syna więźnia, w ciągu pięciu lat była ich już setka!

Zaznaczmy, że wśród naukowców tej epoki panowało przekonanie, że dzieci przestępców są nosicielami jakiegoś zbrodniczego genu. Zdaniem naukowców, czegokolwiek by nie robić, synowie przestępców muszą pójść w ślady swoich ojców. Za jedyną możliwie skuteczną metodę wychowawczą

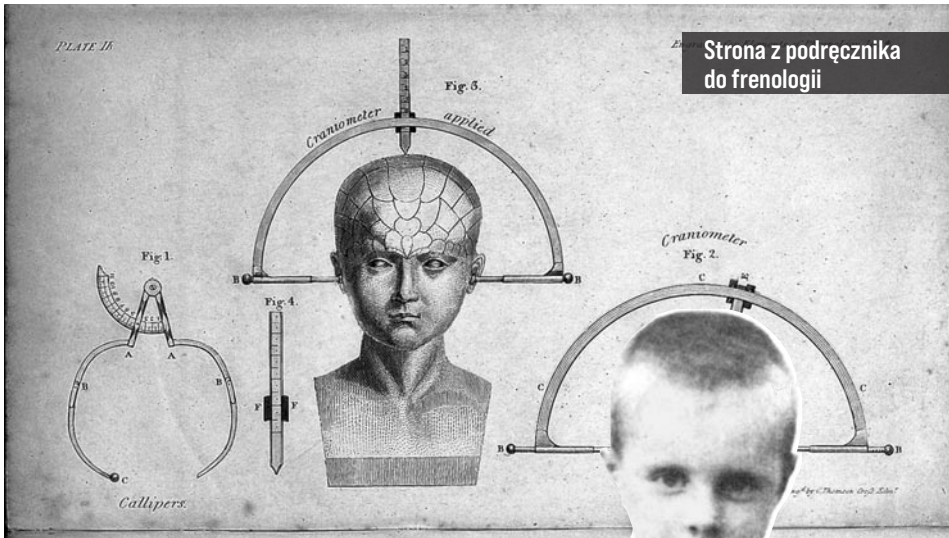


Bartolo Longo w wieku 60 lat

byli skłonni uznać pas i różgę. Propagatorzy nauk przyrodniczych mierzyli kształt głowy i z dziwną satysfakcją wskazywali wszelkie odchyły od estetycznej normy jako dowód złych skłonności. Zbyt niskie czoło, za szeroki nos, kształt podbródka – miały dowodzić przestępczej natury.

Kiedyś pewien doktor frenolog wizytujący placówkę Bartola przystanął przy jednym chłopcu. Przyjrzał się dziecku, zmierzył wzrokiem kształt głowy i szybko wydał osąd. „Ten chłopiec przedstawia typowe cechy trwałego zwyrodnienia. Spójrzcie na jego zęby, uszy, głowę, czoło... Wszystko to każe wnioskować, że jest dziedzicznym zbrodniarzem!”

Bartolo ledwo opanował śmiech. Chcąc oszczędzić doktorowi wstydu, wziął go na bok i wytłumaczył, że chłopiec znalazł się tam przypadkowo i jest... synem burmistrza!



Na przekór takim naukowcom stanął Bartolo Longo ze swoim programem wychowawczym opartym na zaufaniu, rozmowie, wybaczeniu, dawaniu wykształcenia i pracy.

Oczywiście, profesorowie krytykowali wszelkie pomysły edukowania synów więźniów. Skoro nawet w Ameryce nie wyszło, dlaczego miałyby się udać w Pompejach? Ale jednak działalność Domu wychowawczego Bartola Longa przyniosła wspaniałe owoce. Bo, jak pisał: „Moim mistrzem w wychowaniu nie są sławni pedagodzy i ich szkoły, ale sam Chrystus. Nie jestem przeciwnikiem nauki, ale tam gdzie nauka sprzeciwia się miłości, tam ja zostawiam naukę i idę za miłością. W wychowaniu trzymam się zasad Ewangelii. Mój sekret wychowawczy to praca i modlitwa.”

Marek Woś



Serce dzieci więźniów

Posępny dzień, dzień Wszystkich Świętych. W Dolinie Pompejańskiej padało cały tydzień, ale drugiego dnia spadł gęsty, jesienny deszcz. Był tak nudny i zniechęcający, że miało się siłę tylko na ziewanie i przygnębiające, beczynne leżenie.

Ludzie chodzili milcząco po ulicach, zamyśleni, z pochylonymi pod parasolami głowami. Ktoś, kto przywiązywał mniejszą wagę do opinii innych, założył już swój piękny płaszcz zimowy. Istotnie, było bardzo zimno.

Liście drzew, które od czasu do czasu spadały powoli na ziemię jeden po drugim, powodowały uczucie melancholii w duszy, sprawiały, że czuleś zimny dreszcz. Można więc było uwierzyć, że zima naprawdę przyszła dwa miesiące wcześniej. A był 2 listopada!

Dzieci więźniów, powracające z zakładów, owinięte w swoje czarne, przemoczone płaszczyki, wydawały mi się tego wieczoru mniej szczęśliwe niż zwykle. Cały wieczór spędziły w laboratoriach. Siedziały cicho i spokojnie w ławkach, oczekując na wielką śnieżycę. Ich serca wypełniał szacunek dla ćwierkających ptaszków, których gniazdko znajdowało się na suchych gałęziach wątlego drzewka.

Naraz w podwórzu zapanował zgielk, który później wzmagął się i wzmagął, aż osiągnął rozmiary awantury, a ponieważ drzewi, które prowadzą z podwórza do

atrium przytułku były otwarte, hałas rozległ się również w pokojach i korytarzach, wypełniając cały dom. Wstałem prędko, i będąc raczej źle usposobiony wobec naruszających spokój publiczny, pobiegłem szybko schodami w dół. Ach, jaka miła niespodzianka na mnie czekała! Jaka wzruszająca scena rozegrała się przede mną!

– Tam w chacie był biedny chłopiec! – zawołał Tyrolczyk Silvio Zenoniani. Miał twarz rozpromienioną, tak jak ktoś, kto wie, że zrobił coś dobrego. Pokazał mi obszarpanego chłopca, którego trzymał za rękę.

– Spójrzcie, jaki jest mokry. Słyszeliśmy, jak płakał. Nie chciał z nami przyjść.

– Dałem mu chleb, ponieważ był głodny – dodał inny.

– Dałem jeszcze kasztany – powiedział trzeci.

I rzeczywiście, ten biedny chłopiec, którego dźwigali prawie z ziemi, miał tylko jednego buta. Jego bosa stopa była cała zakrwawiona. Nie posiadał również czapki. Miał za to ręce pełne chleba i kasztanów, które mocno przyciskał do piersi. Ten nędznik naprawdę

wzbudzał współczucie! Czuł się zagubiony, o czym świadczyły wytrzeszczone, wciąż jeszcze pełne łez oczy. Poza tym musiał umierać z zimna, gdyż gwałtowne dreszcze wstrząsały wszystkimi częściami jego ciała.

Tym, dla których istotny jest wygląd zewnętrzny, opowiem w kilku słowach o naszym wędrownym młodzieńcu. Tak go będziemy bowiem odtąd nazywać. Ma on niskie czoło przysłonięte rozczochranymi włosami. Jego oczy przypominają oczy myszy. Policzki są brunatne. Na prawym widnieje olbrzymia, zakrwawiona blizna, która powstała wskutek oparzenia. Sięga ona aż do początku krótkiej i mocnej szyi.

Inną cechą charakterystyczną chłopca jest płaski nos z szerokimi nozdrzami. Uwagę zwracają też wygięte w prawo, nieregularne usta. Grymas ten jest efektem wspomnianego oparzenia. Wargi zaś, łączące się niczym pęk kwiatu, zdają się poszukiwać nosa.

Jak znalazł się w Dolinie Pompejańskiej? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym przedstawić jedną z tych wstrząsających historii, które

rozgrywają się w najniższych kręgach społecznych. Wolę jednak spuścić zasłonę milczenia na wszystko to, co mogłoby się wydać nieciekawe, i przejść od razu do sedna sprawy.

Z wypowiedzi małych dzieci więźniów oraz z informacji, które dotarły do mnie później, wynikało, że ten chłopak nie chce dłużej mieszkać ze swoją przyrodnią siostrą. Łatwo zresztą zrozumieć powody takiej decyzji. Matka jego bowiem od pięciu miesięcy przebywała w więzieniu. Ojciec natomiast został zabity przez swojego brata, kiedy ten był jeszcze mały. Biedaczysko wolał więc życie tułacza niż żebraczą miłość krewnych, którzy mu jeszcze zostali.

Przybył do Pompejów i tutaj próbował zarobić pieniądze, nosząc walizki podróżnych. Świadczył też drobne usługi dorózkarzom. Oni, niestety, często odpłacali mu klapsami.

W niedzielę wraz z dziećmi z Pompejów przychodził na naszą katechezę, aby nauczyć się czynić znak krzyża. Dotąd tego nie potrafił, mimo że miał już 14 lat. Podczas kilku wizyt w przytułku chłopiec otrzymał



od nas mundurki. Spał w pobliżu miasteczka Sant'Abbondio, na polach albo pod ławką. Był szczęśliwy, gdy mógł zaszyć się w stogach siana, w stodołach lub w jakichś przypadkiem otwartych stajniach.

– Dlaczego nie pozwalasz mu spać z nami? – mówili mi wiele razy chłopcy z szóstej drużyny.

– Także on jest synem więźnia ... – przekonywali.

Zawsze kiedy go widzieli, starali się, abym wysłuchał ich głosów. Nie mogłem oczywiście odpowiedzieć oschłym nie na tak serdeczne i usilne prośby, bo to na pewno by ich obraziło. Wahałem się więc, obiecywałem, zapewniałem ich, ale nie byłem w stanie go przyjąć do przytułku. Nasi chłopcy nie byli zadowoleni i starali się zaradzić temu, czemu ja nie podołałem.

Mimo to biedne łobuzy z wioski zrobiły w drzwiach dziurę. Przez nią dzieci więźniów podawały im chleb, którego odmawiały sobie w stołówce. Zauważyliśmy to, ale nie chcieliśmy nigdy pozbawić się wielkiej radości, jaką czerpaliśmy z widoku biedaków, dających jedzenie jeszcze biedniejszym od siebie.

Pod drzwiami, najczęściej w czasie śniadania i pory obiadowej, pojawiał się nasz chłopiec-wędrownik. Następnego dnia, kiedy dzieci jadły śniadanie, zza płotu wystawił głowę dobrze nam znany biedaczek. Pobiegli mu na spotkanie Austriak Zenoniani, później Arturo, a potem Tomassoni z Romagni. Wkrótce otoczyła go cała szósta drużyna, przynosząc mu chleb i zadając milion pytań.

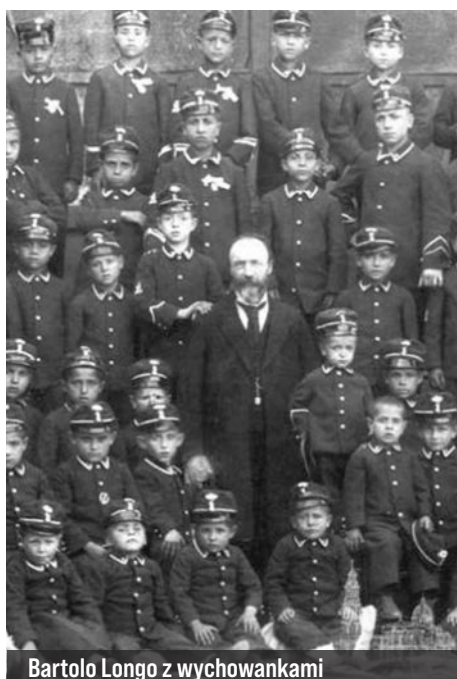
– Gdzie śpisz w nocy? – zapytał jeden.

– Tej nocy spałem tam – i wskazał na małą szopę zrobioną z kawałków drewna zdartych z płotu. Przeznaczona była dla baranka, na którego z utęsknieniem czekali. Moi podopieczni patrzyli zdziwieni i poruszeni ... Po chwili ciszy, chłopiec jedząc ostatni gryz chleba, dodał:

– Ale i tak przemaka ...

W tym momencie dał się słyszeć silny głos prefekta, który wzywał do zachowania porządku. Wszyscy rozeszli się więc jak gromada wróbli. Chłopiec-wędrownik wymknął się pomiędzy sztachtetami płotu i już go więcej tego dnia nie widziano.

W czasie poobiedniej przerwy można było zobaczyć wszystkich chłopców siłających się jak mrówki albo pszczoły



Bartolo Longo z wychowankami



Zespół muzyczny *La Banda*,
założony dla dzieci więźniów
w celu edukacji muzycznej

robotnice wokół szałas, który nazywali domkiem. Wydaje mi się, że ta jedynomyślność, ta zgoda, ten pośpiech, w jakim się uwijali były czymś niecodziennym. Wszystkim przyświecał jeden cel: chcieli przygotować miękkie łóża. Naprawiali również dach i boki szopy tak, by nie dostawały się do niej już więcej woda i wiatr.

Biedny chłopiec! Ach, musiałby posprzątać szopę na święta, gdyby miał w niej dłużej zagościć i sypiać w łóżku, które było bardziej odpowiednie dla baranka niż dla czternastolatka. Zdajcie sobie sprawę, że szałas ma rozmiary niewiele większe niż metr sześcienny.

Wszystko, o czym teraz opowiadam dzieje się pierwszego listopada. Tego dnia – jak już wspomniano – padało cały czas i było naprawdę zimno. Nasi chłopcy nie mogli kontynuować dzieła restauracji szałas, choć o tym myśleli.

Nie mieli też czasu, by zapewnić jedzenie swemu podopiecznemu, który cierpiał głód i chłód. Nie znalazłszy lepszego schronienia, udał się do szałas przeznaczony dla baranka. Miał nadzieję, że otrzyma od kogoś z przytułku choć kromkę chleba. Przebywał tam dwie długie godziny. Zapadły już ciemności. Widząc, że dzieci więźniów udały się do swoich sal i wszędzie zapanała cisza, zaczął szlochać. Jego nadzieje spełzły na niczym. Tę noc musiał spędzić głodny. Biedny chłopak!

Jednak Opatrzność czuwała nad nim. Z nieznanego mi powodu, prefekt zszedł właśnie na podwórze. W pewnym momencie wydało mu się, że usłyszał w oddali coś w rodzaju jęczenia. Zatrzymał się. Zaczęły mu drzeć nogi, serce szybciej biło w piersi. Co się stanie? Nastawia uszu... i jęki stają się coraz silniejsze! Oczywiście, ktoś tam jest

i płacze... Idzie jeszcze dwa kroki w przód i słyszy głośnie, rozdzierające szlochanie. Don Abbondio traci głowę. Boi się. Zostaje mu tylko tyle siły, by wziąć nogi za pas. Biegnie szybko do przytułku. Przypadek sprawił, że napotkał właśnie szóstą drużynę, która szła do spowiedzi.

– Tam jest ktoś, kto umiera – zawołał zdyszany. Jego oczy budziły strach.

– Och! To jest tamten chłopak! – powiedział Aurelio. Kiedy oni naradzali się, co zrobić, Silvio zrezygnował ze spowiedzi, porzucił drużynę i pobiegł do szałasu. Potknął się dwa razy i upadł na brzuch prosto w błoto. Nie dbał jednak o siebie. Nie odczuwał strachu, choć nie miał latarki. Myślał za to o biednym chłopcu. Trzymając mocno chleb, który przechowywał cały wieczór właśnie dla niego, dotarł do szałasu.

Świetnie, Silvio! Niech Bóg na zawsze zachowa twoje dobre serce.

Za dzielnym chłopcem pobiegło pięciu innych z jego gromady. Chociaż byli zaopatrzeni w latarki, a niektórzy także w kije, zdarzało się im upadać. Silvio zaś

wyciągnął tego biedaka za nogi na zewnątrz. Następnie towarzyszył mu w drodze do przytułku. Miłymi słowami dodawał chłopcu odwagi. Obiecywał, że komendant przytułku zaakceptuje go na zawsze.

Wszyscy chcieli go zobaczyć. Każdy miał coś, by mu ofiarować. W tym momencie wszedłem ja. Dzieci jednak wcale się nie uspokoiły.

Wręcz przeciwnie, powstało jeszcze większe zamieszanie. Wszyscy wstawiali się za odnalezionym chłopcem.

Wybuchła ogromna wrzawa. Nasi podopieczni przekrzykiwali się nawzajem. Nie skończyliby, gdybym nie obiecał im oficjalnie, że chłopiec zostanie razem z nimi w przytułku, przynajmniej na jakiś okres.

I teraz powiedzcie mi, że my marnujemy czas i pieniądze, wychowując biedne dzieci więźniów!

Powiedzcie mi, że ci chłopcy są z natury przestępcami!

Ach! Dajcie mi serca, takie jak ich, a ja dam wam ludzi uczciwych.



łt. Bartolo Longo



Mario i jego kot

Tylko jemu kot pozwalał się głaskać

Oto jedno z wielu wzruszających wspomnień bł. Bartola Longo. Poznajmy Maria, chłopca, który był świadkiem śmierci własnej matki, zamordowanej przez jego ojca...

historie, które opowiadał z takimi szczegółami i obojętnością, że wyprowadzał w pole swoich przełożonych.

Mario jako jedyny z chłopców nienawidził swojego ojca. Na własne oczy widział, jak zabił on jego matkę. Z tego powodu, jak zauważył Bartolo Longo, „nigdy nie przebaczał, a zemsta była mu rozkoszą. Odgrywał się zawsze, z wyrachowaniem, na zimno, a lubił już wcześniej dać do zrozumienia przeciwnikowi, że się zemści. Był prawie nieczuły na własne cierpienia, co psychiatrzy nazywają analgezią, i co ma też do wodzić, że ktoś z urodzenia ma nieczułość moralną, że nie rozróżnia dobra od zła”.

Któregoś dnia Bartolo zauważył pierwszy sygnał poprawy. Był już późny wieczór. Chłopcy jeszcze pracowali w drukarni, żeby dokończyć składanie książeczek. Dyrektor zwolnił ich z pracy

Mario Moscini trafił do zakładu wychowawczego w wieku siedmiu lat i po roku nie zdradzał żadnych oznak poprawy. Tak jak i inni został przez naukę zakwalifikowany jako przyszły zbrodniarz. Nie nawiązywał przyjaźni z resztą chłopców, ale, o dziwo, tylko jemu wałęsający się przy zakładzie wychowawczym kot pozwalał się głaskać i brać na ręce.

Sam też miał *koci charakter*, był złośliwy i chytry, uśmiechał się ironicznie i tylko z kotem chciał robić sobie zdjęcia. Był mistrzem kłamstwa, potrafił na poczekaniu wymyślać niestworzone

i poszli się bawić. Tylko najmłodszy z nich składał arkusze papieru. Po pewnym czasie dyrektor spytał, czy ktoś zechce zastąpić go na chwilę. Kiedy nikt się nie zgłosił, zapytał ponownie:

– Czy nikt nie ma litości nad najmłodszym kolegą? – Wtedy niespodziewanie zgłosił się Mario. Był to pierwszy zwiastun nadchodzącej przemiany.

Przez kolejny rok chłopiec przygotowywał się do Pierwszej Komunii. Bartolo opisał walkę, jaką stoczył Mario w dzień, kiedy miał przyjąć Pana Jezusa do swojego serca. Łaska Boża pomogła mu przemoć nienawiść, pozostał jednak jakiś wstręt do ojca. Sakramenty czyniły w nim stopniową przemianę, więc zawsze, kiedy ledwo mógł utrzymać swój trudny charakter na wodzy, szedł do spowiednika i przyjmował komunię. Zmienił się nie do poznania: z tyrańca wyrósł na obrońcę słabszych, pierwszy przebaczał i wstawiał się za kolegami u przełożonych.

W święto Matki Bożej Pompejańskiej Bartolo zachęcił go, by pomodlił się za ojca i napisał do niego list. Mario przystał na tę propozycję. Odpowiedź przyszła szybko. Ojciec był przekonany, że syn nie czuł do niego nic poza nienawiścią. Wiadomość od syna wlała w jego serce ogromną radość. Z wielkim żalem prosił o przebaczenie. Mario słuchał w milczeniu, jak Bartolo czyta list. Szybko zbladł, a z oczu popłynęły łzy.

– Tato, mój tatusiu! – zajączał. Zaraz razem ukłękli, modląc się za nieszczęśliwego ojca.

Kilka lat później, kiedy Mario szykował się do opuszczenia Domu wychowawczego, Bartolo napisał: „Przeglądałem sprawozdania z ostatnich lat. Mario Moscini był zawsze prymusem i sprawował się najlepiej ze wszystkich”.

Czy trzeba było większych dowodów skuteczności *Bożej szkoły* pod kierownictwem Bartola?

Marek Woś

Fragment z książki „Bartolo Longo.
Od kapłana szatana do apostoła różańca”

Dzieci w Domu bł. Bartola Longo
były kształcone fachu drukarskim



MODEL



I T W A

Ten sposób modlitwy, oparty na powtórzeniach, sięga starożytności. Mnisi korzystając z prostych liczydeł na sznurku, wielokrotnie powtarzali *Modlitwę Pańską*. Do niej z czasem doszły modlitwy na cześć Maryi: *Pozdrowienie anielskie* oraz *Pod Twoją obronę*.

Sposób odmawiania różańca utrwalił się dzięki św. Dominikowi (XII w.) oraz bł. Alanowi de Rupe (XV w.). W tych wiekach Pismo Święte było po łacinie, a niepiśmienni zazwyczaj korzystali z Biblii w obrazkach. Różańcowe rozmyślenia nad życiem Jezusa i Maryi były dla nich pierwszym krokiem w poznaniu Ewangelii.

Ponieważ cały różaniec składa się z 150. powtórzeń *Zdrowaś, Maryjo*, poprzez porównanie do 150 psalmów nazwano go *Psalterzem Maryi*. Sama nazwa „różaniec” nawiązuje natomiast do wieńca róż, które w postaci duchowych kwiatów, modląc się pragną Jej ofiarować.

Dzięki dominikanom różaniec rozpowszechnił się na całym świecie. Wielkiej siły misyjnej nadały mu objawienia Maryi: w Lourdes, Fatimie, La Salette, także w Gietrzwałdzie, gdzie zachęcała Ona do tej modlitwy.

Poznajmy więc...

RÓŻANIEC

Jak modlić się różańcem?

Kiedy w kościele trwa nabożeństwo różańcowe, obok siebie zasiadają profesor i gospodyni domowa, robotnik i nauczycielka. Różaniec – choć wydaje się prostą modlitwą – ma swoją wyjątkową głębię. W idealny sposób łączy modlitwę słowną z rozmyślaniami, kontemplację z ćwiczeniem wyobraźni, a do tego jest w całości oparty na Biblii.

Nabożeństwo różańcowe składa się z trzech części. Są to części radosne, bolesne oraz chwalebne. Jan Paweł II w 2002 r. dołączył do nich część czwartą: światła, która chronologicznie następuje po tajemnicach radosnych.

Z kolei każda część różańca liczy 5 tajemnic różańcowych. Każda tajemnica to tzw. dziesiątka różańca.

Kiedy słyszymy, że ktoś modli się na różańcu, może to oznaczać jedną tajemnicę (dziesiątkę), część (pięć tajemnic) albo nawet cały różaniec (15 lub 20 tajemnic).

Krok po kroku

Aby nauczyć się różańca krok po kroku, spójrzmy na obrazek. Widzimy krzyżyk i 59 ziaren splecionych sznurkiem lub łańcuszkiem. Tyle wystarczy, aby odmówić jedną część różańca (czyli 5 tajemnic/dziesiątek).

Każde ziarno to kolejna modlitwa. Modlitwę różańcową zaczynamy od

krzyżyka i *Składu Apostolskiego* („Wierzę w Boga...”). Na pierwszym ziarnie modlimy się *Modlitwą Pańską* („Ojcze nasz...”), następnie są trzy *Pozdrowienia anielskie* („Zdrowaś Maryjo...”) i *Doksologia mała* („Chwała Ojcu...”).

Są to modlitwy wstępne.

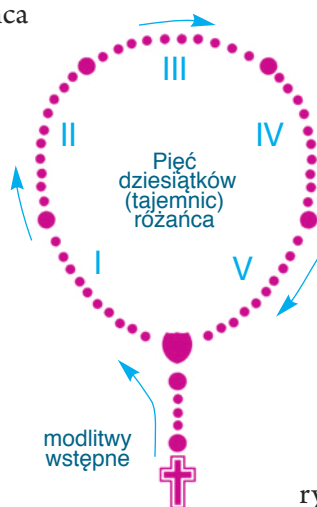
Następnie przechodzimy do *dziesiątek* różańcowych. Każdą z nich rozpoczynamy krótkim rozważaniem z Pisma Świętego, które wprowadza nas do danej tajemnicy różańca.

Każda dziesiątka składa się z jednego „Ojcze nasz”, następnie 10x „Zdrowaś, Maryjo” i na koniec jedno „Chwała Ojcu”.

Po każdej dziesiątce możemy dodać akt strzelisty do Jezusa albo do Maryi.

Modląc się, przechodzimy przez kolejne dziesiątki. Możemy odmówić ich dowolną ilość.

Na końcu różańca odmawiamy „Pod Twoją obronę...”.



Rozważania tajemnic to podstawa różańca

Jan Paweł II w *Liście o różańcu* pisał: „Różaniec, wychodząc z doświadczenia Maryi, jest modlitwą wyraźnie kontemplacyjną. Pozbawiony tego wymiaru, okazałby się wyzuty ze swej natury, jak podkreślał Paweł VI: « Jeśli brak kontemplacji, różaniec upodabnia się do ciała bez duszy i zachodzi niebezpieczeństwo, że odmawianie stanie się bezmyślnym powtarzaniem formuł, oraz że będzie w sprzeczności z upomnieniem Chrystusa, który powiedział: *Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani* (Mt 6,7).

Różaniec bowiem z natury swej wymaga odmawiania w rytmie spokojnej modlitwy i powolnej refleksji, by przez to modlący się łatwiej oddał się kontemplacji tajemnic życia Chrystusa, rozważanych jakby sercem Tej, która ze wszystkich była najbliższa Panu, i by

otwarte zostały niezglębione tych tajemnic bogactwa»”.

Jak rozważać tajemnice?

Kontemplując różaniec odnosimy się do wydarzeń biblijnych, które odcytujemy w Piśmie Świętym. Na modlitwie prosimy Boga, aby pozwolił nam poznać i przeżyć ich sens. Tajemnice różańca możemy także odnieść do własnego życia albo intencji, która nam przyświeca.

W modlitwie otwieramy się na działanie Ducha Świętego, prosząc go o zrozumienie tajemnic z życia Jezusa i Maryi oraz o takie ukształtowanie naszego sumienia, by było zdolne do przyjęcia łaski, o którą prosimy.

Zatem modląc się różańcem:

- wyciszamy nasze myśli, nie spieszymy się z modlitwami,
- rozmyślamy nad fragmentami Pisma Świętego,
- pozwalamy działać naszej wyobraźni, odnosząc tajemnice różańca do naszego życia i relacji z Bogiem.



Tajemnice różańcowe z odniesieniami do Biblii

Część pierwsza – Tajemnice radosne

1. Zwiastowanie Najświętszej Maryi Pannie Łk 1,26-38
2. Nawiedzenie Elżbiety Łk 1,39-45
3. Narodzenie Pana Jezusa Łk 2,1-7
4. Ofiarowanie Jezusa w świątyni Łk 2,22-38
5. Odnalezienie Jezusa w świątyni Łk 2,41-52

Część druga – Tajemnice światła

1. Chrzest Jezusa w Jordanie Łk 3,15-22
2. Objawienie się Jezusa w Kanie Galilejskiej J 2,1-11
3. Głoszenie królestwa Bożego i wzywaniem do nawrócenia Mt 4,23-25
4. Przemienienie Pańskie na górze Tabor Mt 17,1-8
5. Ustanowienie Eucharystii Mk 14,22-25

Część trzecia – Tajemnice bolesne

1. Modlitwa Jezusa w Ogrójcu Mk 14,32-42
2. Biczowanie Jezusa Mt 27,15-26
3. Cierniem ukoronowanie Pana Jezusa Mk 15,16-20
4. Dźwiganie przez Jezusa krzyża na Kalwarię Łk 23,26-32
5. Ukrzyżowanie i śmierć Jezusa J 19,25-30

Część czwarta – Tajemnice chwalebne

1. Zmartwychwstanie Jezusa J 20,1-18
2. Wniebowstąpienie Jezusa Łk 24,44-53
3. Zesłanie Ducha Świętego Dz 2,1-13
4. Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny Łk 1,46-56
5. Ukoronowanie Maryi na Królową nieba i ziemi Ap 12,1

Modlitwy różańca

Skład Apostolski

Wierzę w Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego Jedynego, Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego.

Narodził się z Marii Panny, umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowany, umarł i pogrzebion, zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał, wstąpił na niebiosa, siedzi po prawicy Boga, Ojca Wszechmogącego, stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, Świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny. Amen

Modlitwa Pańska

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje; przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi; chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wódz nas na pokuszenie; ale nas zbaw od złego. Amen.

Pozdrowienie anielskie

Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami, i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Doksologia mała

Chwała Ojcu, i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak była na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

Pod Twoją obronę

Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko, naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych, ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać, Panno chwalebna i błogosławiona.

O Pani nasza, Orędowniczko nasza, Pośredniczko nasza, Pocieszycielko nasza. Z Synem Swoim nas pojednaj, Synowi Swojemu nas polecaj, Swojemu Synowi nas oddawaj.

Akt strzelisty do Pana Jezusa

O mój Jezu, przebac nam nasze grzechy, zachowaj nas od ognia piekielnego, zaprowadź wszystkie dusze do nieba i dopomóż szczególnie tym, którzy najbardziej potrzebują Twojego miłosierdzia.

Akt strzelisty do Niepokalanej Maryi

O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy i za wszystkimi, którzy się do Ciebie nie uciekają, a zwłaszcza za nieprzyjaciółmi Kościoła Świętego i poleconymi Tobie. Amen.

mw

Fot. Freepik



Rozważania różańca

Rozmyślania o zawierzeniu siebie, bliskich, rodzin Jezusowi.

Tajemnice radosne

Tajemnica 1. Zwiastowanie

Oddajemy Ci na nowo nasze życie, by było według świętej Woli Bożej. W Twym Sercu ukryte jest szczęście dla każdego, kto będzie posłuszny Tobie i Twoim Słowom.

Tajemnica 2. Nawiedzenie

Oddajemy Ci nasze uczynki spełniane względem bliźnich, by miały w sobie miłość Twego Serca. W Twym Sercu ukryta jest siła dla każdego, kto chce się dzielić z innymi radością wiary i miłości.

Tajemnica 3. Narodzenie Jezusa

Oddajemy Ci dzieci narodzone i te jeszcze nienarodzone, by mogły przyjąć szczęśliwe na świat. W Twym Sercu ukryte jest życie dla każdego z nas, jako najcenniejszy dar.

Tajemnica 4. Ofiarowanie

Oddajemy Ci wszystko, co posiadamy, bo nic do nas nie należy. W Twym Sercu ukryte jest nasze codzienne ofiarowywanie się, by móc całkowicie i we wszystkim należeć do Ciebie, przez Maryję i św. Józefa.

Tajemnica 5. Odnalezienie

Oddajemy Ci nasze życiowe pogubienia, kiedy straciliśmy Ciebie z oczu. W Twym Sercu ukryte są skarby, które pozwalasz nam znaleźć i żyć nimi na co dzień.

Tajemnice światła

Tajemnica 1. Chrzest

Oddajemy Ci dzień naszego chrztu, aby w pełni żyć dziecięctwem Bożym. W Twym Sercu ukryta jest łaska odnawiająca nasze życie z wody i Ducha, byśmy zawsze byli Dziećmi Bożymi.

Tajemnica 2. Objawienie

Oddajemy Ci nasze małżeństwa, rodziny, wspólnoty i parafie, by zawsze i wszędzie objawiała się w nich Twoja chwała. W Twym Sercu ukryta jest prawdziwa radość, która ma się nam udzielać w codzienności.

Tajemnica 3. Głoszenie

Oddajemy Ci dzieło ewangelizacji, by głoszona była Prawda nad prawdami, która wzywa do nawrócenia. W Twym Sercu ukryta jest moc głoszenia Słowa i przemiany naszego życia na lepsze.

Tajemnica 4. Przemienienie

Oddajemy Ci naszą ziemską pielgrzymkę do wieczności, aby zakończyła się pomyślnie w chwale nieba. W Twym Sercu ukryte jest życie wieczne, które już tu, na ziemi, chce się nam udzielać.

Tajemnica 5. Eucharystia

Oddajemy Ci nasze przeżywanie Eucharystii, aby móc w skupieniu i w wierze jednoczyć się z Tobą. W Twym Sercu ukryta jest miłość eucharystyczna i ofiarna, dająca się nam, grzesznikom.

Tajemnice bolesne

Tajemnica 1. Modlitwa w Ogrójcu

Oddajemy Ci wszystkie nasze modlitwy, te udane i nieudane, te lekkie i te ciężkie, aby wszystkie były przyjęte przez Ciebie. W Twym Sercu ukryta jest prawdziwa rozmowa z Bogiem Ojcem, który dla nas chce jak najlepiej.

Tajemnica 2. Biczowanie Jezusa

Oddajemy Ci wszystkie nasze zranienia, te duchowe i cielesne, aby były schowane w Twoich świętych ranach. W Twym Sercu ukryta jest moc dla ran, które są nam zadawane w kontaktach z ludźmi.

Tajemnica 3. Ukoronowanie cieraniem

Oddajemy Ci całą nędzę naszego życia, nasz egoizm i pychę, które powodują, że Ty nie możesz w pełni panować. W Twym Sercu ukryta jest pokora, której tak bardzo potrzebujemy, aby dostać się do Twego Królestwa.

Tajemnica 4. Dźwiganie krzyża

Oddajemy Ci nasze dźwiganie krzyża, aby móc na tej drodze naśladować Ciebie. W Twym Sercu ukryta jest tajemnica cierpienia, które ma uświęcać człowieka, a nie potępiać.

Tajemnica 5. Ukrzyżowanie i śmierć Jezusa

Oddajemy Ci ostatnią godzinę naszego życia, aby móc z ufnością odejść z tego świata i nie iść na sąd, lecz ze śmierci przejść do życia, według Twej obietnicy. W Twym Sercu ukryte jest nasze umieranie.

Tajemnice chwalebne

Tajemnica 1. Zmartwychwstanie

Oddajemy Ci wszystkie nasze lęki i dni pełne niepokoju o jutro, bo Ty wszystko możesz! W Twym Sercu ukryte jest prawdziwe zwycięstwo, które ma stać się naszym udziałem.

Tajemnica 2. Wniebowstąpienie

Oddajemy Ci nasze pragnienia, a szczególnie te, które dotyczą życia wiecznego, aby móc przyjąć Dar Nieba. W Twym Sercu ukryte jest pragnienie zbawienia grzeszników, bo Ty płoniesz miłością do każdej duszy i chcesz dać wiekiustą nagrodę.

Tajemnica 3. Zesłanie Ducha

Oddajemy Ci nasze otwarte serca, które chcą doświadczać działania Ducha Świętego i te zamknięte, które boją się Ducha. W Twym Sercu ukryty jest Żywy Płomień Miłości, który chce nas rozpałać do prawdziwego życia chrześcijańskiego.

Tajemnica 4. Wniebowzięcie

Oddajemy Ci nasze serca, by przez zwycięskie i Niepokalane Serce Maryi mogły być na wieki zjednoczone z Twoim. W Twym Sercu ukryte jest wszystko, czego potrzebujemy do zbawienia.

Tajemnica 5. Ukoronowanie Maryi

Oddajemy Ci to wszystko, co jeszcze nie jest koronowane Twoją chwałą i uświęcone Twoją obecnością. W Twym Sercu ukryta jest korona chwały, przygotowana dla tych, którzy Ciebie miłują.

o. Krzysztof Piskorz OCD



Photo: Red Archives GmbH / Alamy Stock Photo

Różaniec Porucznika Dana

Gary Sinise, który w filmie „Forrest Gump” grał rolę Porucznika Dana, wspomina o pewnym nieprzypadkowym elemencie swojej aktorskiej charakteryzacji.

Zacznijmy od tego, że aktorowi bardzo zależało na tej roli. Wspomina: „Już wtedy od 10 lat zajmowałem się działaniami dla weteranów z Wietnamu.” Mówi: „Miałem szczęście, że dostałem tę rolę”.

Postać Porucznika Dana Taylora jest złożona i dramatyczna. To twardy i charyzmatyczny wojskowy, który dowodzi plutonem Forresta Gumpa. Nie znosi kompromisów. Kiedy w wybuchu traci obie nogi, załamuje się. Po wyjściu z wojska mieszka w obskurnej dzielnicy, zapijaczony, zapuszczony, zapomniany. Wtedy odnajduje go Forrest Gump i zabiera ze sobą, czyniąc z niego współnika w firmie poławiającej krewetki.

Jednym z atrybutów Porucznika Dana jest nieśmiertelnik. Kostiumograf filmu „Forrest Gump” przydzielił aktorowi cały zestaw, ale ten odłożył je na bok. Miał swój własny różaniec z nieśmiertelnikiem. Jaka była historia tego przedmiotu? – Otóż szwagier Sinise’a, Jack Treese, służył jako medyk polowy w Wietnamie. Nie był katolikiem, ale do nieśmiertelnika dołączył różaniec. Można powiedzieć, że szukając ochrony chwycił się każdego, duchowego sposobu. Po powrocie z wojny przekazał różaniec szwagrowi, a ten postanowił wykorzystać go w filmie.

Co ciekawe, Gary Sinise także nie był katolikiem. Wspomina: „W latach 90. przechodziliśmy z rodziną bardzo zły okres przez alkohol. Moja żona dopiero co zerwała z piciem i została katoliczką.” Swoje dzieci zapisali do szkoły katolickiej.

W tym czasie spojrzenie Sinise’a na wiarę uległo zmianie. Znalazł księdza, który przygotował go do sakramentów. W Wigilię 2010 roku aktor zaskoczył rodzinę niespodzianką. „Poprosiłem, by wszyscy ubrali się odświętnie. Jechaliśmy do restauracji, ale zatrzymałem się przed kościołem. Wtedy moja żona zapytała, co robimy i czy nie idziemy na obiad?”. Gary odparł, że zatrzymują się tylko na chwilę. Potem weszli do kościoła, gdzie czekała na nich niespodzianka. „Ksiądz bierzmował mnie w obecności mojej rodziny. Później poszliśmy na wspólny obiad”.

Po filmie „Forrest Gump” Sinise zaangażował się w stowarzyszeniu działającym na rzecz niepełnosprawnych weteranów. Założył fundację wspierającą strażaków oraz jako muzyk daje charytatywne koncerty dla żołnierzy.

Marek Woś



Na wozie pełnym gnoju...

Historia życia błogosławionego Bartola Longo to gotowy materiał na piękny film, a raczej nawet serial, pełny niezwykłych zwrotów akcji.

Wiele o nim dowiadujemy się z „Historii sanktuarium w Pompejach”. Czytając tę książkę nie sposób powstrzymać łzy wzruszenia. Chciałoby się rzec, że Bartolo miał wciąż pod górkę, lecz... czyż szczytów nie zdobywa się właśnie pokonując drogę w górę? Czyż do źródeł nie dotrzemy inaczej, jak płynąc pod prąd?

Bartolo Longo nie jest świętym z jak z kolorowego obrazka. Większość życia spędził w południowych Włoszech. W młodości był buntownikiem, walczącym z Kościołem, antyklerykałem, niezwykle mocno zaangażowanym w ruch spirytystyczny. To doprowadziło go do dramatycznego kryzysu i zawrócenia ze złej drogi. Jednak nawet po nawróceniu bił się z czarnymi myślami, które pchały go na skraj samobójstwa. Wtedy podjął decyzję, że za-

cznie pracę na rzecz ubogich rolników w Dolinie Pompejańskiej. Początkowo nie zamierzał czynić wielkich rzeczy - chciał po prostu ulżyć niedoli chłopów i poprawić ich byt materialny. Jednak dzięki wytrwałej pracy, przez kolejne lata powstawały szkoły, zakłady pracy, ochronki dla sierot, kościoły, urzędy... Przez pół wieku działalności Bartola Longo, w miejscu małej wioski powstało prężne miasteczko.

Punktem zwrotnym w dziejach Pompejów było przywiezienie obrazu różańcowego dla ubogich mieszkańców wsi. Przedstawia on Maryję z Jezusem, oraz świętych Dominika i Katarzynę, którzy otrzymują różańce. W kronikach zapisano, że wskutek dziwnego zbiegu okoliczności, obraz, który był w opłakanym stanie, został przywieziony do Pompejów na wozie pełnym końskiego gnoju. Tego malowidła początkowo

wstydzono się, było bowiem popękane i przeżarte przez robactwo. Jednak to ten właśnie obraz, po kilku odnowieniach, wisi po dziś dzień we wspaniałym sanktuarium, w głównym ołtarzu.

Natomiast fakt przywiezienia obrazu na oborniku jest odczytywany jako znak, że Maryja nie brzydzi się nikogo i nawet jeśli w sercach ludzi zalega gnój grzechu, zawsze jest ona gotowa nieść pomoc. Od tego czasu, 13 listopada, w rocznicę przywiezienia obrazu, jest on zdejmowany z ołtarza i każdy może podejść i pomodlić się przy nim krótką chwilę.

Z czasem wieść niezwykłych wydarzeniach, jakie miały miejsce w Pompejach, rozniosła się na wszystkie kontynenty. Już przed ponad wiekiem dotarła do Polski. Wizerunek Matki Bożej Pompejańskiej bardzo rozpowszechnił się w naszym kraju. Kopia obrazu wisi także w kaplicy przy Zakładzie Karnym w Grudziądzu, gdzie przebywa ponad 1100 osadzonych, w tym 800 kobiet.

Jest to największy żeński zakład karny w Polsce, który posiada też oddział dla matek z dziećmi.

Obraz namalowała jedna z osadzonych. Jest to ciekawa interpretacja obrazu Matki Bożej Pompejańskiej, jedyna w swoim rodzaju. Wizerunek został poświęcony 22 marca 2018 roku przez ks. bp. Wiesława Śmigła.

Co ciekawe, nadanie kaplicy wezwaniem Matki Bożej Pompejańskiej nie było jakąś odgórną inicjatywą. Jak powiedział nam ks. Wojciech Pyrzewski, kapelan, pomysł powołania Królowej Różańca Świętego z Pompejów na patronkę powstającej kaplicy wyszła od samych osadzonych, którzy modlili się nowenną pompejańską.

Udaliśmy się na uroczystość poświęcenia kaplicy. Spotkanie modlitwne rozpoczęło się wspólnym różańcem. Kilkadziesiąt osób – więźniowie, kapłani oraz straż – wspólnie odmówiło część różańca. Zauważmy, jak różaniec wspaniale łączy ludzi, bez względu na



Fot. Marek Mikielewicz



Obraz w kaplicy Grudziądzu

ich status społeczny! Biskup, strażnik więzienny, osadzony – choć różne są motywacje i intencje do modlitwy – wszyscy stają się *duchowym rodzeństwem* – dziećmi jednego Boga, a ich matką staje się Maryja!

Specjalny list na okazję poświęcenia obrazu wystosował ks. abp. Tommaso Caputo, Delegat Papieski w Pompejach. Zauważył on, że „Bartolo Longo, 29 maja 1892 r. założył Instytut dla Synów Więźniów, a 15 października 1922 r. także Instytut Córek Więźniów. W tamtym czasie powszechna myśl głosiła, że nic dobrego nie może pochodzić od dzieci więźniów. Longo okazał się autentycznym prorokiem swojego czasu, człowiekiem zdolnym do widzenia ponad teraźniejszość. Był przekonany, że dzięki miłości i troskliwej edukacji, można dać biednym chłopcom lepsze życie. Tak więc miał wielu podopiecznych, których liczba osiągnęła przez dziesięciolecie liczbę tysięcy. Pomyśl-

cie, że pierwsze z tych dzieci, Domenico Pullano, mały Kalabryczyk, syn mordercy imieniem Rosario, którego sam Longo przekonał, aby oddał się karze w więzieniu w Catanzaro, został księdzem i odprawił swoją pierwszą mszę właśnie w sanktuarium w Pompejach.”

„Nasza nadzieja – pisze dalej ks. abp. Caputo – która staje się pewnością w wierze, polega na tym, że więzienie w Grudziądzu, które samo w sobie jest miejscem cierpienia, może stać się miejscem duchowego odrodzenia. Jest to już prawdą dla kobiety, która namalowała na płótnie uroczy wizerunek Matki Bożej z Pompejów, i innych więźniów, którzy są prowadzeni przez ks. Wojciecha Pyrzewskiego, a którzy wspólnie modlą się Nowenną do Matki Bożej Różańcowej. I na pewno będzie tak dla wielu innych więźniów, którzy modląc się w kaplicy znajdują ulgę w godzinach smutku i rezygnacji.”

Ksiądz kapelan powiedział nam, że odmawia różaniec w nowej kaplicy po



Pierwsza msza święta w kaplicy pw. Matki Bożej Pompejańskiej



Wspólny różaniec

każdej mszy świętej. Sam zna różaniec od dziecka i zawsze był blisko niego. Co prawda nie znał nowenny pompejańskiej, ale mówi, że: „najwięcej można się nauczyć od tych, których się uczy. Wsłuchując się także w osadzonych, którzy mają różne historie, też się można wiele nauczyć. Choćby właśnie o nowennie pompejańskiej, o której dowiedziałem się od osadzonego, który ją odmawiał. I myślę, że także niektórzy osadzeni mogliby zawstydzić wielu porządnych ludzi na zewnątrz, że oni mają czas, chęci, przede wszystkim chęci, bo

to jest problem chęci do odmawiania modlitwy pompejańskiej, często już którejś z rzędu. A wielu ludzi na zewnątrz zasłania się tysiącami innych powodów. Zawsze tak jest: jak ktoś kocha, to szuka sposobu, a jak ktoś nie kocha, to szuka powodu.”

Kiedy odwiedziliśmy tego dnia odbyła się droga krzyżowa ulicami miasta, w której uczestniczyła także grupa osadzonych. Krzyż przechodził z rąk do rąk, między przedstawicielami różnych zawodów. To też znak dla nas, że cierpienie jest częścią życia każdego z nas. Jako dzieci Boga, razem niesiemy krzyż różnymi drogami życia, które jednak często się łączą i przecinają. Najważniejsze to jednak nie poddawać się i iść zawsze do przodu. Wspaniałą inspiracją do tego jest przykład Bartola Longo, który tak wiele osiągnął dzięki samozaparciu i zawierzeniu wszystkim swoich spraw Bogu.

Marek Woś

Droga krzyżowa ulicami miasta



Odkryłam prawdziwą wolność

Czytałam wiele książek o żywotach świętych, o niebie, o piekle i o czyśccu. Mogę śmiało stwierdzić, że będąc w zakładzie karnym, czułam się jak w czyśccu. Odczuwałam ciągły głód Boga, ciągłą tęsknotę za Nim, która rozdzierała duszę.

W moim życiu było za dużo „nawarzonego piwa”: okultyzm, karty tarota, New Age, prawo przyciągania, hazard, zdrady w małżeństwie, alkohol, awantury, bójki... Aż w końcu miarka się przebrała. Chciałam skończyć ze sobą i wtedy zaczęłam poszukiwać...

Chciałam się nawrócić, odbyłam spowiedź z całego życia, uczęszczałam na msze o uzdrowienie, nie wyobrażałam sobie niedzieli bez mszy świętej i komunii. Zły szalał. Każdy biznes, jaki otwierałam, okazywał się strzałem

w dziesiątkę, ale po pewnym czasie zaczęły się schody.

Postanowiłam odmówić nowennę pompejańską. Wtedy w ogóle nie umiałam odmawiać różańca, a co dopiero tak długa nowenna. Odmówiłam ją.

Potem trafiłam do więzienia w Grudziądzu, ale dzięki temu jeszcze bardziej pogłębiłam swoją wiarę. Mam kolejne sprawy w toku, które są zagrożone karą pozbawienia wolności, ale wiem, że z pomocą Matki Najświętszej nie trafię już do więzienia. Przewartościowałam całe życie, nie pędzę za niczym, za blichtrzem, za pieniędzmi, za uznaniem w oczach innych. Dzięki głębokiej modlitwie na nowennie pompejańskiej odkryłam, co to jest wolność, prawdziwa wolność, jaką daje nam Bóg.

Wszystko, czego pragnę, to duża rodzina. Mam już troje dzieci, ale pragnę jeszcze dwojga lub więcej, jak Bóg zechce. Mam kochającego męża i dzieci. Pragnę poczuć to ojcowskie prowadzenie przez Boga.

Niczego więcej nie pragnę od tego, aby poczuć Jego opiekę nade mną.

Agnieszka



OD NOWA

Jak zamówić nasze czasopismo?

Czasopismo „Od nowa” jest przeznaczone dla:

- osadzonych i aresztowanych oraz ich rodzin,
- personelu zakładów karnych i aresztów śledczych,
- duszpasterzy i stowarzyszeń więziennych.

Aby zamówić bezpłatne egzemplarze, należy napisać na adres: info@odnowa.edu.pl koniecznie podając:

- numer wydania naszego pisma (bieżący lub przyszły),
- liczbę zamawianych egzemplarzy,
- przeznaczenie.

Osadzeni mogą złożyć zamówienie telefonicznie pod nr tel. 720 123 183 oraz przesyłając talon, zachęcamy jednak do zamawiania przez bibliotekę albo wychowawcę.

Czasopismo może też otrzymać każdy chętny spoza ww. grupy za dowolną ofiarą na konto Fundacji.

Koszt jednego egzemplarza to ok. 7 zł + 8 zł wysyłka

Wpłata jest możliwa na konto: 87 7065 0002 0651 8035 8904 0001

Następnie prosimy o podanie adresu wysyłkowego,

pisząc na e-mail: info@odnowa.edu.pl

Redakcja

Jak modlić się nowenną pompejańską

Nowennę pompejańską napisał bł. Bartolo Longo w 1879 roku. Cierpiąc na nieuleczalną chorobę, pisał słowa tej nowenny przez obrazem Matki Bożej Pompejańskiej. Ostatniego dnia modlitw, wyzdrowiał.

W 1884 r. do Bartola Longo zgłosiła się młoda kobieta, córka ważnego wojskowego w Neapolu. Od lat cierpiała ona na ataki padaczki. Pochodziła z bogatej i wpływowej rodziny, która zapraszała najlepszych lekarzy. Jednak żaden nie potrafił jej pomóc.

Pewnego dnia Fortunatina miała wizję Maryi, która poleciła jej odmówić nowennę pompejańską: trzy razy prosząc i trzy razy dziękując. Pojedyncza nowenna trwa dziewięć dni, zatem cała nowenna pompejańska zajmuje 54 dni. I rzeczywiście, po tym czasie kobieta cudownie wyzdrowiała. Wtedy Maryja obiecała Fortunatinie, że ktokolwiek będzie się w ten sposób modlić, otrzyma łaski. Jej cudowne uzdrowienie było pierwszym cudem i potwierdzeniem obietnicy Maryi.

Po dziś dzień świat słyszy wiele wspaniałych świadectw dotyczących nowenny pompejańskiej, która jest też zwana *nowenną nie do odparcia*.

Jak odprawiać to nabożeństwo?

Nowenna pompejańska:

- składa się z sześciu dziewięciodniowych nowenn, czyli razem trwa 54 dni.
- Codziennie uczestnik nowenny odmawia 15 tajemnic różańca (radosne, bolesne, chwalebne). Można dodać tajemnice światła.
- Przez pierwsze 27 dni po różańcu dodajemy *modlitwę błagalną*, a przez ostatnie 27 dni – *modlitwę dziękczynną*.

A oto kolejność modlitw:

- 1 Najpierw odmów modlitwy początkowe różańca (*Wierzę, Ojcze nasz, 3× Zdrowaś Maryjo, Chwała*).
- 2 Następnie przedstaw intencję (jedna konkretna intencja na wszystkie dni nowenny), zaczynając słowami: *Ten różaniec odmawiam na Twoją cześć, Królowo Różańca Świętego w intencji...*
- 3 Przejdź do modlitwy różańcowej, rozważając 15 lub 20 tajemnic. Masz na to cały dzień. Sposób odmawiania tej modlitwy znajdziesz na str. 36.
- 4 Na koniec odmów poniższą modlitwę (błagalną lub dziękczynną).
- 5 Zakończ modlitwę trzykrotnym wezwaniem: *Królowo Różańca Świętego, módl się za nami!*

Modlitwa błagalna

Pomnij o miłosierna Panno Różańcowa z Pompejów, jako nigdy jeszcze nie słyszano, aby ktokolwiek z czcicieli Twoich, z różańcem Twoim, pomocy Twojej wzywający, miał być przez Ciebie opuszczony. Ach, nie gardź prośbą moją, o Matko Słowa Przedwiecznego, ale przez święty Twój różaniec i przez upodobanie, jakie okazujesz dla Twojej świątyni w Pompejach, wysłuchaj mnie dobrotliwie. Amen.

Modlitwa dziękczynna

Cóż Ci dać mogę, o Królowo pełna miłości? Moje całe życie poświęcam Tobie. Ile mi sił starczy, będę rozszerzać cześć Twoją, o Dziewico Różańca Świętego z Pompejów, bo gdy Twojej pomocy wezwałem, nawiedziła mnie łaska Boża. Wszędzie będę opowiadać o miłosierdziu, które mi wyświadczyłaś. O ile zdołam będę rozszerzać nabożeństwo różańca świętego, wszystkim głosić będę, jak dobrotliwie obeszłaś się ze mną, aby i niegodni, tak jak i ja grzesznicy, z zaufaniem do Ciebie się udawali. O, gdyby cały świat wiedział jak jesteś dobra, jaką masz litość nad cierpiącymi, wszystkie stworzenia uciekałyby się do Ciebie. Amen.

W tej podróży nikt się nie zawiedzie

**T.Love to spory kawałek historii polskiej muzyki.
Jeśli nie znasz tego zespołu, z pewnością słuchają go twoje dzieci.
Z Muńkiem Staszczykiem rozmawiamy o wierze i nawracaniu się.**

Cofnijmy się do 1994 roku i piosenki „Bóg”. Śpiewasz w niej „Tak bardzo chciałbym zostać kumplem twym”. To bardzo bezpośrednie i szczerze słowa. To prośba o zbudowanie relacji, prawie jak zawierzenie.


Myślę, że coś w tym jest, kiedy patrzę teraz z perspektywy czasu. Bo oczywiście to był 1994 rok i moje odejście od Boga. Nigdy nie było rozstania. Ja, chłopak z Częstochowy, przyjąłem wszystkie sakramenty, bierzmowanie zupełnie świadomie. A potem przyjechałem do Warszawy na studia. Zaczęło się nowe życie, rock and roll, hedonizm, zespół zaczął grać i być popularny. „Bóg” to był ostatni utwór na płytę. Była gotowa muzyka reggae, a nie było tekstu. Zespół był na gazie. Nasz basista, Paweł Nazimek, powiedział do mnie tak: „Napisz o Bogu”. Odpowiedziałem: „Co ty? Pogięło cię? O Bogu? Ja?”.

Minęło kilka tygodni i z tym tekstem się mierzyłem. Próbowałem z tego zrobić jakiś hip-hop, jakieś rapowanie ale wychodziło to tak, jakbym naśladował Kazika. Zawsze mam pomysły na teksty, a na tej piosence się zatrzymałem. Chyba nie było takiego kawałka,

nad którym bym się tak długo zatrzymał. Nie mogłem, wkurzony, nic napisać. Mówię: „Boże, jak? ...”

Była taka sytuacja, po jakiejś imprezie, kac. Żona wyszła z dziećmi na spacer. Córka miała rok, syn cztery latka. Mieszkaliśmy na Żoliborzu, w bloku. Moja żona jest warszawianką i wychowała się w tej dzielnicy. Takie podwórka gomułkowskie, więc wszyscy się znali. Taki piękny dzień, pogodny, ludzie spacerowali z dziećmi. A ja jak zombie siedzę, patrzę przez okno. Myślę „co ja w tym życiu swoim robię? Gram rock and rolla, ale żona wyszła z dziećmi. Dlaczego ja z nią nie jestem, tylko siedzę gdzieś, na jakimś kacu, piję wodę, bo mnie suszy”. Taki smutek mnie dopadł, poczułem się samotny. I mówię: „Boże, tak bardzo chciałbym zostać kumplem twym”. Zaczęłem śpiewać do tej muzyki.

Potem musiało minąć następnych 16 lat, aż napisałem piosenkę „Lucy Phere”, prawie w ten sam sposób. Kiedy byłem w innym okresie swojego życia, też przydołowany, po depresji i też ten tekst wyskoczył ze mnie, jak tekst „Bóg”.



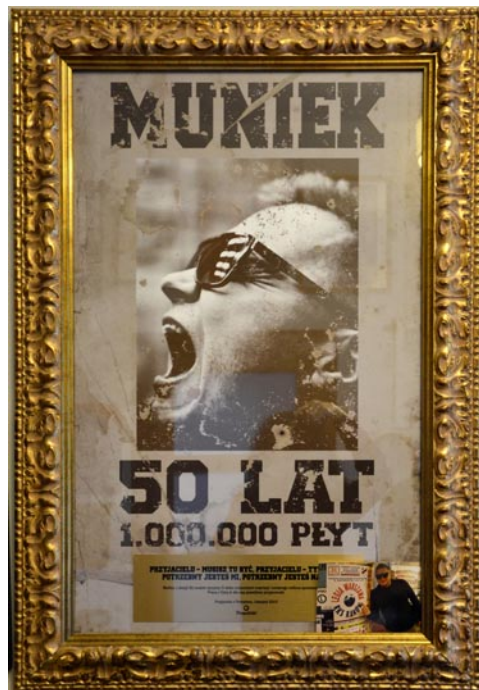
**Mówili, że jestem kłamcą.
Inni, że zwariowałem.
W internecie, wiadomo,
klasyka gatunku, pisali:
„Na starość boi się
śmierci”. „Teraz udaje
świętego”. Są ludzie,
co mają agresję.
Znam ateistów, co są dużo
bardziej miłosierni niż
katolicy, ale znam
też takich, co idą
na konfrontację.
„Boga nie ma, no co ty
gadasz za bzdury”.**

Zaczęliśmy grać tę piosenkę, stała się przebojem. Reakcje były takie, że nie wszystkim ludziom w Kościele to się podobało, bo jak to „zostać kumplem Boga”? Że takie bezpośrednio. Człowiek jest ograniczony, ale każdy ma jakąś drogę duchową. Czytając różnych mądrych ludzi, począwszy chociażby od ojców pustyni, widzimy, jak ważna jest ta bezpośrednia relacja z Bogiem. Na zasadzie „rozmawiaj z nim tak, jak z najbliższym przyjacielem”. Taka relacja osobista nie jest zła, wielu teologów o tym mówi. Są piękne modlitwy, którymi fajnie się modli. Jeżeli mówisz bezpośrednio, to nie jest to zle ani obrazoburcze.

Jest bardziej szczerze, bo z serca.

Też tak bezpośrednio też często się modłę. Wtedy napisałem piosenkę na takiej zasadzie, że chciałbym być jego kumplem. Takim po prostu, z którym siedzę na ławce. Nie miałem świadomości, że mu się oddaję, ale może to miało taki wymiar.

Dziś jest to piosenka, którą zawsze gramy na koncertach. Często różni artyści sięgają po ten utwór, chociażby ostatnio Dawid Podsiadło. Więc jakoś tak ten utwór osiadł w historii T.Love. I to nie jako utwór czysto chrześcijański, tylko utwór, który ludzie lubią, bo różnie odnoszą tego „kumpla”. Wielokrotnie też go grywałem na jakichś spotkaniach z młodzieżą, także w kościołach. Ten utwór robi swoje. Kiedyś na Jasnej Górze podleciał do mnie taki chłopaczyna, w wieku mojego syna, i mówi „Munieku,



stary, ja się nawróciłem dzięki tej piosence. Tej «Bóg» wiesz?».

Pięć lat później nastąpił poważny kryzys w moim życiu, taki mentalny, który mnie zaprowadził prawie na granicę samobójstwa. Znaczący nie było próby, ale było źle i jedna noga stanęła na terapii świeckiej, druga noga na duchowej. Wtedy bardzo mi pomogło „Naśladowanie Chrystusa” Tomasza à Kempis i oczywiście moja rodzina, żona i dzieci. W 1999 r. wypowiadałem się po chyba piętnastu latach. To był taki pierwszy mój krok do Boga.

Jak trafiłeś na książkę Tomasza à Kempis?

Kiedy miałem kryzys wiary, to Duch Święty kogoś przysyłał. Tak, jak ostatnio przed Światowymi Dniami Młodzieży. Przyszedł ksiądz, byłem w złym

stanie duchowym. A jednak, jak mnie proszą, to będę ambasadorem ŚDM. To jest zaszczyt. „Naśladowanie Chrystusa” dotarło do mnie przez kogoś z przyjaciół, chyba ktoś z dominikanów mi polecił: „Weź tę książkę, przeczytaj”. Leżała pod ręką, a ja leżałem w malignie, oprócz tego, że byłem psychicznie rozwalony, to złapałem jakiś bardzo mocny typ grypy. 2010 rok, moje małżeństwo się sypało i... wziąłem tę książkę. Poczułem jej siłę. Równolegle czytałem Księgę Hioba. I jakoś mnie to wzmocniło w tym sensie, że dawało mi wiarę. Wtedy to była dla mnie taka próba w poważnych cierpieniach psychicznych. Mogłem tylko to czytać. Kiedy chodziłem na próby i zrobiłem swoje, albo byłem gdziekolwiek na mieście, to ją czytałem.

Wtedy mniej więcej powstał utwór „Lucy Pheré”: o pokusach, o złym. O tym, że istnieje zło. I że to nie są żadne bajki sprzed dwóch tysięcy lat, tylko że to jest realne. Chciałem opowiedzieć ludziom o tym, bo ludzie się jeszcze śmieją z diabła. Diabeł istnieje, tak jak istnieje Bóg. Uzdrawienia, ogromna ilość cudów, objawienia w wielu miejscach na świecie są tego dowodem.

Cały współczesny świat jest oparty na pieniądzu i mediach, które są bardzo antychrześcijańskie i przepojone ogromną pychą. Trwa walka, nie ma się co tu rozwodzić. Miałem wiele polemik z różnymi ludźmi i nie nawracałem na siłę.

Cały współczesny świat jest oparty na pieniądzu i mediach, które są bardzo antychrześcijańskie i przepojone ogromną pychą. Trwa walka, nie ma się co tu rozwodzić.

Jak mnie ktoś zaprosi, np. do udzielenia wywiadu, to nie wstydzę się Boga. Dlaczego mam się wstydzić? Mam znajomych zażartych ateistów, buddystów, antyklerykałów. Nigdy nie wchodzę w dyskusję typu: „kto jest silniejszy na rękę”. Zawsze staram się rozmawiać jakoś z łagodnością. Nie idę do ringu, bo co ja będę mówił, że ja mam rację, że jestem lepszy?

Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

Ja nie walczę. W moim życiu było trochę walki, ale walka nigdy nic nie dawała. Nauczyłem się tego i dzięki Bogu ten zespół istnieje 35 lat i jakoś

się nie rozpadł. Może dlatego, że miałem kompromis w sobie. To nie taki kompromis, żeby nie wychylać głowy, tylko, żeby mądrze iść do przodu, bo jest coś ważniejszego.

Tomasz á Kempis tak mnie wtedy wziął, pomógł mi. Długo leżała ta książka nietknięta, gdy ją wyciągnąłem, pomyślałem, że może to? I to było to na tamten moment. Często jest tak, że idziesz do kościoła na mszę i trafiasz na kazanie, które mówi o tobie. Tak to często jest, że otwierasz Pismo Święte na fragmencie, który mówi o twojej sytuacji.

Mówisz, że nie wstydzisz się Boga. Coraz częściej mówisz też o relacji z Maryją i o różańcu.

To jest bardzo ciekawe i to jest wielkie błogosławieństwo. Bo dziwne, ale tak się stało, że musiałem jechać do Medjugorje. Nie żałuję, bo byłem tam dwa razy i pojedę trzeci raz. Wiadomo, jest to niezwykle miejsce. Dlatego tyle jest tych objawień. Ciągłe one są, bo widocznie świat tego potrzebuje. To już Matka Boża o tym wie najlepiej. Dziwne to było, bo ja jestem urodzony prawie pod murami klasztoru w Częstochowie, w rodzinie mieszkającej tam od pokoleń. Chodziliśmy na Jasną Górę przed cudowny obraz, oglądaliśmy, jak idą pielgrzymi aż z Poznania, z Warszawy, z Lublina, z całej Polski. Jak ludzie się poświęcają. Miałem to pod ręką. Ale oczywiście...

Pod latarnią najciemniej.

Ale oczywiście! Miałem szkołę, IV Liceum, które jest przy samych alejach wiodących na Jasną Górę. Kiedy pielgrzymki szły alejami, no to było śmianie się z pielgrzymek. „A te babcie, a różańce. Be, be, Maryjo, Maryjo...”. No wiadomo. Jesteśmy wierzący, tylko Jezus, ale co to jest ten różaniec? Jakies kółko? Myślę, że to zły podsuwiał, bo tak generalnie, była we mnie taka pycha, że jak mężczyzna, to z Chrystusem. A tu cały czas bardzo poważne problemy z nieczystością. Z tym, co jak się okazuje, najbardziej do Maryi trzeba pójść.

Wtedy tego jeszcze nie wiedziałem. Dopiero jakiś ksiądz na spowiedzi po-

wiedział: „Pojedź chłopie, może do Medjugorje, może ci coś tam w tej głowie poukłada...”. Miałem wtedy też przerwę w graniu i zabrałem Martę, moją żonę. Tam nas wzięła dziewczyna, Agnieszka, która działa we wspólnocie „Nowe Horyzonty”. Mają w Medjugorje swój dom, ale działają też we Włoszech na ulicy. Zajmują się prostytutkami, narkomanami, ludźmi opętanymi, przestępcami. Tam przyjeżdżali do nich ludzie właśnie z tymi problemami. I u nich zamieszkaliśmy.

Ona nas wzięła, że tak powiem, w obroty. No i od razu, z grubej rury, zaczęła różaniec. Wchodziliśmy na górę, a ona rozdała nam poświęcone różańce i mówi: „Jedziemy”. Rozpoczęliśmy modlitwę, a ja zacząłem się śmiać. Wiesz, bo to taka wieża Babel. Tu stoją Rosjanie, tu jacyś Włosi.

I każdy modli się po swojemu.

Myślę, co to się porobiło... Szliśmy wzdłuż stacji drogi krzyżowej i w pewnym momencie odpłynąłem w rytm tej modlitwy, modliłem się z sensem. Poszliśmy na mszę. To była msza po włosku. Nie znam włoskiego, może jakies tam pojedyncze słowa. Pełno ludzi, moja żona była trochę oddalona. Jakoś tak poczułem duchowo, że po prostu trzeba mówić swoimi słowami: „Mamo przepraszam cię za to wszystko, co zrobiłem przez te lata, że cię w ogóle nie

**W moim przypadku,
kiedy czasami
człowiek jest
bezradny, słaby,
mało odporny
na pokusy, biore
różaniec.**

dostrzegalem. Dziękuję”. Zaczęłam ryczeć. Patrząc, moja żona też ryczy. Takich cudeniek było wiele.

Kiedy wróciliśmy, zacząłem częściej podejmować tematy maryjne. Jak widzisz, mój różaniec tu leży, ten brązowy. Zdałem sobie sprawę, że Maryja jest to przede wszystkim kobieta, która pierwsza całkowicie oddała się Bogu. Jako nastolatka. Całkowicie w to uwierzyła. Całe jej życie było podporządkowane niełatwej sytuacji, bo przecież dziewicze poczęcie. Później była sprawczynią pierwszego cudu Chrystusa w Kanie Galilejskiej i została z nim do końca.

I poza tym jej całkowita wierność Bogu. Stąd tak okropnie się jej boi diabeł. Czysta kobieta, czyli w moich sprawach, w moich kłopotach, takich męskich, to jest chyba najlepsza forma po-

mocy. Oprócz tego, modląc się różańcem, jesteśmy bardzo blisko Chrystusa, wszystkie tajemnice to jest jego życie. Modląc się różańcem, dotykamy Go.

Wiele osób, dając świadectwo o nowennie pompejańskiej pisze, że odzyskali spokój wewnętrzny dzięki dobrze odmawianemu różańcowi.

To medytacja chrześcijańska. Wszyscy idą w kierunku kultury wschodu, bo to takie się wydaje ekscytujące, a my to mamy w chrześcijaństwie. To też jest tylko kwestia poświęconego czasu.

Kiedys „klepałem” nowennę pompejańską. Ale też myślę, że to nie poszło na marne. Przez całe lata uczymy się modlitwy. Teraz modlę się z większą świadomością. Czuję takie ciepło, taką bliskość. Jako mężczyzna z problema-



Tomasz á Kempis tak mnie wtedy wziął, pomógł mi. Długo leżała ta książka nietknięta, gdy ją wyciągnąłem, pomyślałem, że może to? I to było to na tamten moment.



mi, jako facet, który jakby sporo w życiu po prostu poupadał. Mówię tu o używkach, o kobietach, o piciu, o ćpaniu, o nieczystości, o pornografii...

Lata modliłem się do Chrystusa, a dopiero od niedawna do Maryi. Nie mówię, że Chrystus był nieskuteczny. Po prostu myślę, że ta droga jest szczególnie dla mężczyzn, nie mówię też, że nie dla kobiet. Maryja jest kobietą ma czułość w sobie. Poza tym Chrystus na krzyżu oddał pod opiekę Maryi cały świat. Ona się nami opiekuje. No i przede wszystkim jest też „drzwiami” do Syna. Ona jest najbliżej niego.

Zrozumiałem, że to nie jest jakaś tam nastoletnia Żydówka, nieważna w tej całej historii. Zrozumiałem tę ogromną ważność w związku z tym, że po prostu całe życie oddała Bogu. Od samego początku. Była z Synem w najważniejszych momentach.

U ciebie sprawdza się wezwanie „Ucieczka grzeszników”?

Jak rozterki, to do niej. Po prostu. Czuję relację matczyną, formę czulej relacji. Od 2013 r. różaniec jest dla mnie ważną rzeczą. Jest też w jakiś sposób egzorcyzmem. Modląc się różańcem, jesteśmy bardzo blisko Jezusa.

Nie jestem jakimś mistrzem tej modlitwy, nie będę z siebie robił „Schwarzeneggera różańca”. Nie modlę się różańcem regularnie. W moim przypadku, kiedy czasami człowiek jest bezradny, słaby, mało odporny na pokusy, biorę różaniec. Dlatego robię przerwę od grania, bo muszę troszkę się odbudować duchowo.

Z różańcem nie zawsze jest na słodko, nie zawsze jest lekko. Nieraz idzie jak po grudzie. Czasem przychodzą złe myśli, zniechęcenia, pokusy. Można

mieć różne takie postanowienia, tak trochę na siłę. Ja wielokrotnie upadłem. Pamiętam, jak odmówiłem pierwszy raz nowennę pompejańską w 2015, to po tych dwóch miesiącach poszedłem w tango, to teraz piwko, koledzy, trzeba wyluzować się. Bo przecież ja odmówiłem pompejańską, jaki jestem święty!

Za chwilę będę ją odmawiał drugi raz w życiu, myślę, że już na innym poziomie. Mam większe rozeznanie przez to, że proszę o to rozeznanie. Jakiś tak do mnie trafiła przez was, że podjąłem decyzję, że przez ten okres postu ją odmówię. Chcę być z Maryją i uważam, że różnic jest w dzisiejszym świecie bardzo ważny. To jest ważna modlitwa.

Dlaczego?

Dlatego, że jesteśmy po prostu bardzo zagubieni. Wiesz, dlaczego Maryja się objawia? Bo jest zatroskana światem i chce nam pokazać, że jest. Wiadomo, w wielu miejscach się ukazywała, objawień było z tysiąc, nie wszystkie są jeszcze zbadane przez Kościół, ale wydaje mi się, że żyjemy w czasach...

Ostatecznych?

Ostatecznych, które mogą trwać bardzo, bardzo długo. Jesteśmy zagubieni, szukamy czegoś w różnych znieczulaczach, w różnych sytuacjach, w dietach

itd. A to wszystko, wydaje mi się, jest u Maryi.

Po prostu i spokój, i miłość, i przytulenie, ale nie takie, żebyś nic nie robił, tylko prowadzenie.

Ona jest najbliższa, jeśli chodzi o Syna, ona też wyprasza łaski u niego. A oprócz tego jest matką każdego z nas, matką, która cię przytuli. To jest nam po prostu potrzebne... Bóg każdego z nas kocha, ale czasami tak ludzie łapią taki klimat, żeby modlić się trochę tak bardziej z radością. Jak dziecko, bo ja nie traktuję wiary tak intelektualnie,

choć dzisiejsi fizycy kwantowi mówią, że to wszystko nie jest tak sprzeczne ze sobą rozum i wiara. Ale ja nie siedzę w fizyce kwantowej. A mam kolegę, który zawsze starał się obalić wiarę, a dzisiaj mówi, że fizycy

kwantowi z najwyższej półki nie mają jasnej odpowiedzi na stworzenie świata, że na pewno nie było siły wyższej. Więc rozum też się zbiega z wiarą.

A dlaczego Maryja jest ważna? Dlatego, że ona po prostu w jakiś sposób daje nam taką podstawę, takie prowadzenie. Zauważmy, że zawsze się ukazywała, kiedy świat jej potrzebował. Jest Królową pokoju, a mamy niepokój.

Czy jesteś w jakiejś wspólnotie?

Każda droga do Boga jest dobra. Byłem w kilku wspólnotach, na kilku spotkaniach neokatechumenatu, Odnowy w Duchu Świętym, byłem w Wodzie życia i nigdzie na stałe. Może dlatego, że trochę podobni jesteśmy z Martą. Nie, że jesteśmy jacyś samotnicy, lubimy ludzi, tylko może w moim życiu było zawsze tyle ludzi, zawsze „Muniek, Muniek, Muniek”.

Księża mówią, że wspólnota umacnia... Tak, tylko każdy ma też inny temperament. Nie wiem, jak Bóg zaplanował moją drogę duchową. Nie potrzebuję wspólnoty jako takiej regularnej. To, co odpowiada wielu świętych na pytanie, jak się trzymać duchowo, co robić, żeby w ogóle się nie rozpaść, to w większości odpowiedzi się pokrywają: trzymaj się Matki Bożej i Chrystusa w Eucharystii. Czyli przyjmuj komunie jak najczęściej, no i spowiedź, i też pokuta, post.

Więc postanowiłem zrobić roczną abstynencję pod egidą Matki Bożej. Poszedłem do mojego księdza spowiednika. Najpierw kombinowałem, mówię: „To ja bym tak na cztery miesiące?”. Odpowiedział: „Nie ma! Jest tylko roczna. Tak to wymyślił Jan Paweł II z księdzem Blachnickim”. Pytam: „Jak to nie ma, no, może by tak...”. Ksiądz odpowiedział: „Co to jest oddać Bogu rok? Alkoholikiem jesteś?”. „Nie jestem, ale pijakiem”.

Pojechałem do Częstochowy 8 stycznia, pomodliłem się, akurat to były urodziny Maksymiliana Kolbego. Zdecydowałem, że przynajmniej do 8 stycznia 2019 nie będę w ogóle pił, spo-

żywał alkoholu ani żadnych innych używek. Takie moje małe, ale zawsze „coś”. Wtedy napisała do mnie koleżanka, nawrócona stara pankowa, żebym zrobił tę krucjatę. I napisała: „Wejdz na stronę faustyna.pl, tam sobie wybierzesz patrona na ten rok”. To był początek stycznia. Kliknąłem, wypełniłem formularz, no i wylosowało mi na patrona Maryję. Pomyślałem sobie, że sama się przypomniała. Niewierzący mówią: „przypadek”, a wierzący mówią „działanie Ducha Świętego”.

„Nic się nie dzieje przypadkowo”. Sam tak śpiwałeś.

Wtedy dostałem e-maila od was z prośbą o wywiad do „Królowej Różańca Świętego”. Byłem sceptyczny. Pomyślałem sobie wtedy, że skoro Maryja jest moją patronką i patronką Krucjaty, to głupio mi nie udzielić tego wywiadu. Przyszły od was gazety i ładnie wydane. Za dużo tu się składa rzeczy, jak to, o patronce swojej nie mam mówić? Maryja mnie doprowadziła do tego momentu i tak dzisiaj moje życie wygląda.

Potem wylosowałem patrona Marcie, mojej żonie: Chrystus w Eucharystii. No to mamy mocnych patronów. Z górnej półki. To trzeba jakoś zachować się w tej kwestii. Mój syn wylosował św. Małgorzatę Alacoque. Córka, która akurat ma chłopaka Włocha, dostała św. Katarzynę ze Sieny.

Patronkę Włoch.



Tak się „zbiegi okoliczności” złożyły. Być może ten rok będzie najważniejszy w moim życiu? Nie wiem, dopiero go rozpoczynamy. Może to jest głupie, może ktoś powie: „A tam, odwaliło mu, wiesz, gwiazda teraz udaje jakiegoś domatora”.

Tak to odbiera świat show biznesu?

Wiesz, niektórzy mówili, że jestem kłamcą. Inni mówili, że zwariowałem. Ale raczej pozytywnie. W internecie, wiadomo, klasyka gatunku, pisali: „Na starość boi się śmierci”. „Teraz udaje świętego”. Czasami wchodzi w polemiki ze mną ludzie niewierzący. Są ludzie, co mają agresję.

Znam ateistów, co są w ogóle dużo bardziej miłosierni niż katolicy, ale znam też takich, co idą na konfrontację. „Boga nie ma, no co ty gadasz za bzdury”. Odpowiadam: „Ty mówisz, że nie ma, ja mówię, że jest”. „No, przekonamy

się po śmierci”. Będziemy się zakładać? Przecież to nie o to chodzi. Mówię: „Stary, nie atakuj mnie, wierzę, co ci mam tłumaczyć. Czy to jest jakiś instruktażowy temat? Po prostu to poczułem”.

Nigdy też nie było tak, że odpląnąłem tam w jakieś inne rzeczy, bo nie byłem satanistą ani jakimś okultystą. Byłem trochę dalej od Boga, ale łaska Boga mnie przyprowadziła z powrotem.

Jesteśmy w pokoju, w otoczeniu pamiątek, w tym wiele podziękowań z więzienia. Co cię sprowadza do zakładów karnych?

Pomyślałem sobie już dawniej, że jeżeli los (potem już nazwałem to bardziej konkretnie: *Bóg*), postawił mnie na tej drodze tzw. popularności, to powinienem się tą popularnością w jakiś sposób dzielić. Jak patrzę na muzyków, a szczególnie polskich, to zawsze są

w porządku. Gdy trzeba było komuś pomóc, czy to byli powodzianie, czy narkomani, graliśmy z różnymi zespołami, często wielkie koncerty. I gdzieś tam zaczęliśmy grać w więzieniach, tak od lat dziewięćdziesiątych. To były dla mnie ciekawe spotkania, bo tam zadawali pytania. Pierwszy raz pamiętam, to było w więzieniu w Kielcach. Wtedy pomyślałem sobie, „Kurde, jestem w innym świecie”. Ci ludzie tam zza krat coś krzyczą. To bardzo poranieni chłopcy, faceci.

Niedawno zagraliśmy koncert w Opolu Lubelskim. Miał celowy dobór repertuaru, tak żeby piosenki były głównie z płyty „Old is gold”, które stawiają pytania o Boga. Oni wszyscy, a szczególnie ci, którzy mieli ciężkie wyroki, jak dożywocie czy kilkanaście lat, pytali o dużo ważniejsze rzeczy, dotyczące spraw ostatecznych, niż dziennikarze.

Chyba nie wierzyli, że przyjdziemy. Nauczyłem się przez te lata, że trzeba tam być normalnym. Nie ma co kozać, bo tam cię wyczują od razu, że cwaniakujesz. Nie ma też się co bać. Bo jak się boisz, to jesteś dla nich mięczak. Ja w ogóle się nie bałem, bo po prostu pomodliłem się przed tym koncertem, oddałem to Matce Bożej. Koncert był super. Potem przychodziłem do nich, do cel wybranych przez opiekuna. Rozmowy były ciekawe. Oni się czuli dowartościowani.

Do dziś pamiętają, że tam byliśmy, że Muniak jeszcze potem z nimi porozmawiał, że to był ten prawdziwy Muniak, a nie jakiś sobowtór. Pytali: „Do

nas?”. a ja mówię: „A co do was? Właśnie do was”. I pytałem: „No a dlaczego nie do was?” „No bo my jesteśmy, wiesz, my jesteśmy...” „No co jesteście?” „No my, kurna, jesteśmy, no bandziory”. „Mówię: „Stary, każdy, każdy tu może się znaleźć”.

Dostawałem potem od tych chłopaków listy, tutaj jest mnóstwo rzeczy, jest tu gitara, statek. I to jest budujące, to jest świetne, że można grać w więzieniu, w domu poprawczym, w domu dziecka, dla bezdomnych.

Nie mówię, że jesteśmy jacyś święci, ale T.Love tego nigdy nie unikał, bo po prostu trzeba się dzielić. Skoro tyle koncertów możemy zagrać za duże pieniądze, to dlaczego nie zagrać w więzieniu? Chrystus jest dla mnie przykładem, przecież przychodzi do każdego.

Wielu obawia się więzień. Woli „miley” spędzać czas...

Dzisiaj ludzie potrafią rozmawiać o nieistotnych rzeczach, modelach komórki, bo ma w sobie to, czy tamto. Świat nam to oferuje.

Chrześcijaństwo jest niemodne, ale to jest bardzo ciekawa podróż, trudna, no przecież to jest radykalna religia, ale na pewno ciekawsza niż ten neoliberalizm. Mogę zaprosić do tej podróży. Nikt się nie zawiedzie.

Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali stg i mw

BÓG

Daleko tak daleko, daleko tak

Jesteś tak daleko ode mnie,
czasami jednak blisko tak,
Mogę porozmawiać z Tobą czasem
Czasem znajdujesz dla mnie czas.
Chciałbym coś powiedzieć o Tobie
Tak często czuję Twoją siłę.
Nic się nie dzieje przypadkowo
Chociaż tak często w to wątpiłem.

Tak bardzo chciałbym
zostać kumplem twym.


Daleko tak daleko, daleko tak.

Jesteś tak daleko ode mnie,
czasami jednak blisko tak
Wyszedłem z domu,
nie było nikogo
Zgubiłem sens,
upadłem na twarz
Nocą ulice są złe
Samotność gnębi mocno tak
Poczułem wtedy, wtedy że jesteś
Czasem znajdujesz dla mnie czas.

Tak bardzo chciałbym
zostać kumplem twym,
tak bardzo chciałbym.

Fot. Freepik/himages

U Z A L E Ž



Alkohol, narkotyki,
papierosy, hazard, seks,
internet, gry komputerowe,
a nawet zakupy i praca...
Wszystko to może stać się
uzależnieniem.

Nałogi są jak niewidzialne
kajdany, które miliony ludzi
noszą każdego dnia.

Zastanówmy się,
jak je można zrzucić.

N I E N I A

Utracona kontrola nad życiem

Poznajmy cztery ludzkie historie.

Różne osoby, miasta, szczeble drabiny społecznej.

Wspólny mianownik: zmaganie z uzależnieniem.

Jolanta wiodła dość spokojne życie gospodyni domowej: dom, dzieci, mąż, sprzątanie, gotowanie. Kiedy najmłodsze dziecko poszło do szkoły i w domu zrobiło się spokojniej, postanowiła wrócić do pracy. Zapragnęła znów być między ludźmi i przy okazji dołożyć do rodzinnego budżetu. Wyszykowana, umalowana, ze skórzaną teczką w ręku, w poniedziałkowy poranek zjawiała się w biurze. Dzień pierwszy i ostatni. O godzinie 15 została zabrana do izby wytrzeźwień. Nazajutrz wróciła do domu z potężnym kacem, wstydem i rachunkiem z *wytrzeźwiałki* do zapłacenia. Z pracy wyleciała z naganą.

Andrzej, wdowiec z trójką dzieci, pracował fizycznie w polu, przy pracach sezonowych. Tego dnia odstawał od reszty. Po godzinie znaleziono go nieprzytomnego z bólu. Kiedy się ocknął, powiedział, że ma uraz – dzień wcześniej przewrócił się na brzuch. Szybko trafił do szpitala. Diagnoza? – Dwa promile i stłuczone narządy wewnętrzne, skierowanie na dalszą obserwację. Jednak już po południu wypisał się ze szpitala i wrócił do domu.

Anna, sportowiec z osiągnięciami, pnąca się po szczeblach kariery. Świetne wyniki w okręgówce, perspektywa rozwoju i wyjazdów na duże imprezy krajowe. Znaleźli się sponsorzy i pierwsze pieniądze. Z przytupem weszła w dorosłe życie, zerwawszy kontakt z rodziną. Alkohol pojawił się okazjonalnie. Każdy sukces świętowała hucznie do rana, każdą porażkę zapijała w samotności. Po imprezie wsiadła do auta nietrzeźwa. Doszło do wypadku. Poważne uszkodzenia mięśni w obu nogach i pólamane kości oznaczały zakończenie kariery. Jedyną „przyjaciółką”, jaka jej została, była butelka.

Janusz pracował jako zawodowy kierowca. Pięć dni trzeźwości, a potem weekendowe odreagowanie stresów nzbieranych po drodze. Piątek wieczór zawsze wyglądał tak samo: powrót, otwieranie jednej z domowych skrytek na alkohol, picie w trakcie kąpieli, na zamaskowanie stosował dużo wody kolońskiej, potem mówił półgębkiem, by nikt z rodziny nie wyczuł, że jest na gazie. Od sobotniego poranka trwało skryte picie i tak aż do wieczornej imprezy. Na niej już „oficjalnie” wypijał



kilka piw plus dwie ćwiartki podczas wizyt w toalecie. Potem niedzielne poprawiny w ukryciu i ćwiartka na sen.

Jola

Kiedy spytałem Jolantę, co poszło nie tak, spojrzała w okno i milczała dłuższą chwilę. W końcu padła odpowiedź. „Bałam się”. Wszyscy w szkole znali historię Joli, każdy z klasy mieszkał na tym samym osiedlu. Nie było tajemnicą, że ojciec pił na umór, a matka była bierną obserwatorką wydarzeń. – Nie bardzo wiedziała, jak zająć się tym wszystkim, gdzie pójść, kogo prosić o pomoc. To był schyłek komuny, bieda aż piszczało, brak pomocy społecznej. Lecz był przymus pracy. Jola wspomina, że „rano tato szedł do roboty, a po robocie było picie, po picu sen, praca i tak z dnia na dzień. Było biednie, ale było.”

Jola była najstarsza i najsilniejsza. Matka często zabierała ją na poszuki-

wania ojca, po parkach, melinach. Kiedy nie miał siły wejść do domu, pomagały mu. Kiedy nabrudził na klatce, sprzątały. Byle szybko, byle zmyć przed sąsiadami wstyd.

Potem przyszedł kapitalizm, plan Balcerowicza, fabryka, gdzie pracował, upadła. „Tata przez pół roku tylko pił, a potem się powiesił”. Jola tylko raz widziała matkę płaczącą: na pogrzebie ojca. Tylko dzięki wsparciu dalszej rodziny jakoś związali koniec z końcem. Jola skończyła krawiectwo, potem technikum wieczorowe, poszła na studia. Po kilku latach poznała chłopaka z tzw. dobrej rodziny. Wielka miłość i ślub. To na weselu upiła się pierwszy raz. Mówiła potem, że ze szczęścia. Lecz to był lęk. Bała się, że odtąd będzie tak, jak w jej rodzinie. „Bo to wszystko wyglądało za dobrze”. Mąż założył firmę, zbudowali dom, doczekali się dzieci. Po trzecim poważnie się rozchorowała.

Kiedy mąż szukał pieluch, w szafkach znalazł kilka butelek. „Właściwie to były małe buteleczki” – trywializuje Jola. „Czy często piłam? Nie. I tak, żeby nikt nie zauważył. Rano, po wyjściu męża, robiłam sobie słodki deser z likierem albo piłam jakąś wódkę smakową. Kiedy wracał, nic nie dawało się wyczuć. Potem przyznałam się do wszystkiego”.

Mąż postawił sprawę jasno: leczenie. I się zaczęło. „Nie mogłam zrozumieć, do czego mi to jest potrzebne. Siedziałam w grupie, słuchałam ich zwierzeń. Dwie osoby to były, wypisz wymaluj, pijackie kopie mojego ojca. Nie dało się tego słuchać, trzęsłam się w środku. Postanowiłam odejść z grupy i po prostu przestać pić”.

Jola walczyła sama. Picie uruchamiało się u niej w sytuacjach dużego stresu, raz na kilka miesięcy po kilka dni. Po tym, kiedy pierwszego dnia w pracy dla dodania sobie animuszu upiła się w toalecie, przez kilka dni ze wstydu nie wstawiała z łóżka. Pod naciskiem męża rozpoczęła terapię z psychologiem.

Początkowo szło opornie, z czasem przepracowali problemy z jej dzieciństwa. Zdiagnozowano u niej syndrom dorosłego dziecka alkoholika (DDA). Zaczęła rozumieć, dlaczego sytuacje stresowe wyzwalały w niej chęć ucieczki albo zapicia. Wróciła do grupy Anonimowych Alkoholików, podjęła program 12 kroków.

W dniu, w którym ją spotkałem, była trzeźwa od 1354 dni.

Andrzej

Z Andrzejem nie mogę porozmawiać. Zmarł kilka lat po opisywanych wydarzeniach. Dzieci trafiły do domów dziecka, potem dwoje mniejszych wzięła jedna rodzina, losy najstarszego po wyjściu z domu dziecka są nieznanne. Mówi się, że wyjechał za granicę.

Na wsi, gdzie mieszkał Andrzej, wszyscy mają gotową odpowiedź na pytanie o przyczynę tego całego nieszczęścia: rozpił się po śmierci żony. To go miało wyniszczyć moralnie i fizycznie, bo póki żyła, była jakaś stabilizacja, trzeba było zadbać o rodzinę, zwierzęta w oborze, o siebie. Był punkt zaczepienia i motywacja.

Jednak mało kto sięga pamięcią wcześniej. Sąsiad opowiada, że „pił jego ojciec i dziadek. Takie niby picie kontrolowane”. Jak to wyglądało? „Co dzień, przed oporządzeniem obory, była setka wódki, a potem co nieco na zakończenie dnia.” Chłanie było w dożynki i na zakończenie wszelkich większych święta, chrzciny, komunie czy imieniny. „Znajdowało się kompromis między pracą a piciem. Potem zdiagnozowano raka u żony Andrzeja, pół roku pożyła. Do tego coraz gorsza sytuacja w rolnictwie i wiecznie otwarty przydrożny bar z automatami. To już był upadek.”

Andrzej zaniedbał gospodarstwo. Żeby przeżyć sprzedawał ziemię, pieniądze przepijał lub wrzucał w maszynę hazardową. Kiedy się skończyły, sprzedał ciągnik, potem krowy i świnie. Zostało stadko kur, dzieci i walący się dom.



„Z tych chłopaków, którzy pili pod naszym wiejskim sklepem, nie ma już nikogo. Żaden nie dożył 60 lat, większość zmarła grubo przed 50.

I tak przez 10 lat. Żeby nie umrzeć z głodu został pracownikiem najemnym. Pracował tyle, żeby było na chleb i alkohol. Kiedy trafił do szpitala po stłuczeniu żołądka, dostał kroplówkę i dowiedział się o bardzo złych wynikach krwi. Mimo to wypisał się.

Tego samego wieczora poszedł do kolegów, upił się do nieprzytomności i znów trafił do szpitala, tym razem na dwa tygodnie. Dziećmi zajęło się pogotowie opiekuńcze.

Kiedy lekarz po odtruciu zaproponował mu dalszą pomoc i skierowanie do ośrodka odwykowego, Andrzej podjął pierwszą decyzję na trzeźwo od wielu, wielu lat. Był jeszcze przed pięćdziesiątką, postanowił dać sobie szansę. W ośrodku terapii uzależnień spędził dwa tygodnie. Kiedy wyszedł załatwił sobie esperal, jednak zaniechał dalszej terapii. Oznajmiał, że już jest zdrowy.

Któryś z kumpli zaproponował więc test: napij się z nami. Esperal zareagował i skończyło się na silnej padaczce. Kilka dni później Andrzej sam wyciągnął wszywkę i wrócił do ciężkiego picia.

Któregoś dnia został znaleziony martwy.

Sąsiad puentuje: „Z tych chłopaków, którzy pili pod naszym wiejskim sklepem, nie ma już nikogo. Żaden nie dożył 60 lat, większość zmarła grubo przed 50. Wszyscy wychowywali się razem, w jednej wiosce. Takie stracone pokolenie. Niektórzy zostawili po sobie dzieci. Z nich kilka też już nie żyje. Nie, nie przez alkohol. Załatwiły ich dopalacze.”

Anna

Anny też nie ma już wśród żywych. Po przedwczesnie zakończonej karierze sportowej zostało kilka pucharów na

szafce w mieszkaniu jej matki. Ona stara się codziennie chodzić na grób córki, która leży w jednej mogile z ojcem i bratem. Jednemu wysiadła wątroba, drugi zginął na dyskotecie. Nie wiadomo, co się stało, poza tym, że miał ponad promil i został pobity przez nieznanymi sprawców. Tylko najmłodszy syn ułożył sobie życie. „Bo wyjechał dość wcześnie od nas do szkoły z internatem, potem poszedł do wojska.” Ania zaimponowała mu i pokazała, że można coś osiągnąć. „Co robi? Biega triathlony, trenuje, dba o siebie, jest nauczycielem wuefu”.

Kiedy pytam, co z Anią poszło nie tak, na twarzy matki pojawia się wielki smutek. Opowiada, że traktowali córkę jak rodzinnego pieszczocha. Jedyna córka, była oczkiem w głowie. Często widziała pijanego ojca i za wszelką cenę chciała coś udowodnić. Znienawidziła

go za wstyd, jaki robił w okolicy. Sama starała się żyć zdrowo. Nie była najlepsza w nauce, za to jej organizm był jak maszyna. „Kiedyś powiedziała, że nie chce założyć rodziny, tylko chce poświęcić się sportowi albo pracować z trudną młodzieżą”.

Kiedy już osiągała duże sukcesy, miała chłopaka, który był w niej na poważnie zakochany. Pierwszy zauważył, że Ania zmierza w złym kierunku. Któregoś wieczora, kiedy szli świętować udane zawody, twardo powiedział, że nie akceptuje upijania się. Ania trzasnęła drzwiami i wyszła.

Wypadek był równo miesiąc potem. Pół roku trwało stawanie na nogi, o powrocie do sportu nie było mowy. Skończyła się miłość, przyjaźnie, imprezy, sponsorzy; pojawiły się długi za spowodowany wypadek. Anna znalazła się w potrzasku. Pracowała głównie na



Na pierwszym mityngu było ciężko. „Mówiłem sobie, że nie pasuje mi to towarzystwo. Palłem się w środku, siedziałem w kącie, chciałem uciekać i radzić sobie sam”

Fot. Freepik/rawpixel

czarno, bez ubezpieczenia, żeby komornik nie mógł zająć części pensji. Wieczory spędzała samotnie, z butelką. Jak dalej potoczyły się jej losy?

Matka mówi, że wyjechała do Niemiec jako opiekunka do pracy. Powiedziano jej, że nie trzeba znać języka, a płacą 1000 euro plus wyżywienie. „Wróciła po trzech latach, jak wrak człowieka.” Nikt nie wie, co się stało, ktoś, kto organizował jej pracę, twierdził, że za picie straciła dach nad głową, a potem wykorzystywał ją jakiś degenerat.

Anna kilka miesięcy po powrocie trafiła do szpitala, gdzie zdiagnozowano raka kości z przerzutami. Nie dało się tego leczyć, ze szpitala zabrała ją matka. „Umarła spokojnie, na moich kolanach”.

Janusz

Któregoś poniedziałkowego ranka powinna mu się noga: wpadł na rutynowej kontroli drogowej. Alkomat wskazał 0,9 promila. Z miejsca stracił prawo jazdy, a przecież z pracy w transporcie miał na rachunki i spłatę kredytu. Oszczędności pozwoliły na zapłacenie grzywny i kilka miesięcy utrzymania domu, potem chwycił się każdej roboty. Nawet zaczął więcej zarabiać, lecz warunki życia się pogorszyły. Dlaczego? Bo okazji do picia pojawiło się więcej.

Szybko zapomniał o wypadku i odliczał dni do odzyskania prawa jazdy. Kiedy pytam, co spowodowało zmianę, mówi, że któregoś ciężkiego poranka, skacowany, postawił sobie pytania: czy piję, bo lubię, czy piję, bo muszę. Na oba odpowiedział twierdząco. – Lubi i musi wypić. Potem zadał sobie kolejne

pytanie: czy jestem alkoholikiem? „Spojrzałem na siebie w lustrze i jakoś nie widziałem siebie jako alkoholika. Bo alkoholizm kojarzył się mi z zapuszczonym wyglądem, smrodem, zarzyganą odzieżą, bezdomnością, samotnością. A ja byłem czystutki i wypucowany. Żyliśmy na średnim poziomie. Umiałem zarobić na rodzinę i dom. Każda robota mi pasowała, z każdym pracodawcą umiałem się dogadać.”

Wtedy Janusz postanowił nie pić. Twarde postanowienie rozsypało się w kolejny weekend.

Będąc na kacu wszedł na internetowe forum AA i zapytał, jak rozpoznać uzależnienie. – Ktoś mu odpisał, że skoro musi pić i nie może przestać, to sprawa jest oczywista. Dowiedział się, że nałóg ma wiele twarzy i nie zawsze musi być to twarz bezdomnego pijaczka pod mostem. Wtedy Janusz zaczął rozgryzać swój problem.

Na pierwszym mityngu było ciężko. „Mówiłem sobie, że nie pasuje mi to towarzystwo. Palilem się w środku, siedziałem w kącie, chciałem uciekać i radzić sobie sam. Po spotkaniach wychodziłem tak, by nikt nie zauważył. Dopiero kiedy jeden z uczestników opowiedział swoją historię, która była bardzo podobna do mojej, bo tam też chodziło o stracone prawo jazdy i sobotnie picie, zacząłem zauważać, że jestem wśród innych takich jak ja. Zostałem i dostałem wsparcie. Równolegle przeszedłem psychoterapię i powiem, że jest odzyskałem kontrolę nad sobą. Zrozumiałem, czym jest nałóg. Już nie piję i wróciłem na dobre tory. Mam

swój problem pod kontrolą. I najważniejsze, wiem, co traćłem przez te lata.”

Kiedy pytam, co ma na myśli, Janusz odpowiada bez zastanowienia: „Radość życia. Ten czas, który spędzam teraz normalnie, z rodziną, to wcześniej był jeden wielki smutek i samotność”.

Nikogo nie można skreślać

Kiedy rozmawiam z Jerzym, mającym 22 lata doświadczenia w terapii uzależnień, podkreśla, że alkohol niszczy wszystkich, bez jakichś podziałów: robotników i naukowców, księży i ateistów, mężczyzn i kobiety, młodych i starych. Na mityngach widzi cały przekrój społeczny, gdzie wspólnym mianownikiem jest choroba alkoholowa. Każdy z nich utracił kontrolę nad swoim życiem. Każdemu alkohol coś zabrał: dom, rodzinę, zdrowie, pracę, wolność. Każdy ma swoją unikalną historię uzależnienia. Jedni pili od wczesnej młodości, inni od dorosłości. Jedni zaczęli pić z rodzicami, inni „nauczyli się” pić od kolegów z podwórka.

Piją z ucieczki przed problemami życiowymi. W pracy, w rodzinie, sprawami osobistymi czy zawodowymi. Jerzy zauważa, że są tacy, którzy piją dla dodania sobie odwagi lub stłumienia problemów emocjonalnych. Zaczęli i po czasie stwierdzili, że nie mogą przerwać. Że nie kontrolują niczego, a priorytetem jest napić się jeszcze raz. Za wszelką cenę...

Jerzy mówi, że nikogo nie można skreślać. Każdy ma drogę odwrotu, bez względu na to, w jakiej sytuacji się znalazł. Najważniejsze, aby uświadomić so-

bie istnienie problemu. Oczyszczyć organizm z alkoholu i poddać się terapii i razem programowi 12 kroków. Mówi: „Nie pamiętam, by znalazł się taki kozak, który poradziłoby sobie w pojedynkę”. Zaleca, aby po detoksykacji możliwie szybko udać się do ośrodka leczenia uzależnień na minimum dwa tygodnie.

Czas, jaki jest potrzebny na zrozumienie swojego uzależnienia, zależy od tego, jak mocno pochwyliły nas szpony nałogu. Jednak „im więcej czasu damy sobie na rozpoznanie wroga, tym lepiej go zrozumiemy i pokonamy”. Dlatego, jeśli trzeba, należy spędzić w ośrodku więcej czasu, nawet pół roku. „W końcu walczyliśmy o swojej życie” - mówi Jerzy.

Po terapii jest nieunikniony powrót do swojego środowiska. Nie da się uniknąć dawnych przyzwyczajzeń i zagrożeń, powracają wspomnienia i pokusy. Niemal w każdym sklepie jest alkohol. „To potężny, społeczny problem, ale też wielki biznes, bo mamy mnóstwo reklam alkoholu, które nawiązują do stylu życia, który ma przynosić swobodę, radość, odprężenie. Dlatego tak ważne jest wejście do grupy AA i rozpracowanie problemu.” – mówi Jerzy – „Mityngi dają motywację i wsparcie co do tego, jak postępować na co dzień.”

Marek Woś

Jak znaleźć grupę AA?

Wejdź na stronę internetową:

www.aa.org.pl lub www.aa24.pl

i kliknij „Mityngi w twojej okolicy”

Dwanaście kroków



Fot. Freepik/lovelyday

Krok pierwszy

Przyznaliśmy, że jesteśmy bezsilni wobec alkoholu – że utraciliśmy kontrolę nad naszym życiem.

Krok drugi

Uwierzyliśmy, że Siła większa od nas samych może przywrócić nam zdrowy rozsądek.

Krok trzeci

Podjęliśmy decyzję, aby powierzyć naszą wolę i nasze życie opiece Boga, tak jak Go rozumieliśmy.

Krok czwarty

Zrobiliśmy wnikliwą i odważną osobistą inwenturę moralną.

Krok piąty

Wyznaliśmy Bogu, sobie i drugiemu człowiekowi istotę naszych błędów.

Krok szósty

Staliśmy się całkowicie gotowi, żeby Bóg usunął wszystkie te wady charakteru.

Krok siódmy

Zwróciliśmy się do Niego w pokorze, aby usunął nasze braki.

Krok ósmy

Zrobiliśmy listę wszystkich osób, które skrzywdziliśmy, i staliśmy się gotowi zadośćuczynić im wszystkim.

Krok dziewiąty

Zadośćuczyniliśmy osobiście wszystkim, wobec których było to możliwe, z wyjątkiem tych przypadków, gdy zraniłoby to ich lub innych.

Krok dziesiąty

Prowadziliśmy nadal osobistą inwenturę, z miejsca przyznając się do popełnianych błędów.

Krok jedenasty

Staraliśmy się przez modlitwę i medytację poprawiać nasz świadomy kontakt z Bogiem, tak jak Go rozumieliśmy, prosząc jedynie o poznanie Jego woli wobec nas oraz o siłę do jej spełnienia.

Krok dwunasty

Przebudzeni duchowo w rezultacie tych kroków staraliśmy się nieść to posłanie innym alkoholikom i stosować te zasady we wszystkich naszych poczynaniach.



Fot. Melvyn Longhurst / Alamy Stock Photo

Jak trzeźwiał Eric Clapton

Przez lata uzależniony od heroiny i alkoholu, Eric Clapton w „Autobiografii” nie unika tematu swojego trzeźwienia w zamkniętym ośrodku.

Wspomina: „Nie wiem, jak udało mi się przetrwać, szczególnie lata siedemdziesiąte. W najgorszych momentach mojego życia, jedyną rzeczą, którą powstrzymywała mnie przed samobójstwem, było to, że nie mógłbym wtedy więcej pić. Dla mnie to było to, dlaczego było warto żyć. Myśl, że ludzie mogliby mnie powstrzymać od picia alkoholu była tak okropna, że piłem, piłem i piłem, aż w końcu musieli mnie praktycznie zanieść do kliniki”.

Clapton wspominał, że w zasadzie nie lubił smaku alkoholu, dlatego mieszał go z innymi napojami. Pił od rana do wieczora, nieustannie będąc *na gazie*. Nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji i stanu zdrowia. „W którymś momencie leciałem samolotem do szpitala w St Paul w Minnesocie i podobno umierałem. Miałem trzy wrzody i jeden z nich krwawił. Wypiłem trzy butelki brandy, wziąłem garść tabletek z kodeiną i prawie mnie to załatwiło.”

Ratunkiem okazał się program dwunastu kroków na zamkniętej terapii odwykowej. Clapton czuł olbrzymie opory przed pracą w grupie. „Zachęcano nas do konfrontacji z naszym zachowaniem na codzien wewnątrz jednostki. Nigdy nie nauczyłem się patrzeć bezstronnie na moje zachowanie. By ochronić mój nałóg picia, wcześniej bardzo ważne było wręcz, by tego nie robić. Dlatego właśnie tam się znalazłem. Czulem się obnażony i odsłonięty, zastanawiając się, jak mogę chociaż zacząć dowiadywać się, kim się stałem. Odkryłem, że prawie niemożliwe dla mnie jest bycie szczerym, szczególnie ze samym sobą. Kłamstwa i wykrety stały się moją drugą naturą. Ale ponad tym wszystkim unosiło się wielkie pytanie: czy tak naprawdę zaakceptowałem to, że jestem alkoholikiem? Dopóki tego nie zaakceptuję, postęp będzie bardzo trudny.”

Pierwsze kilka dni odwyku były najgorsze, ale po 10 dniach zaczął doceniać miejsce i sytuację, w której się znalazł. „Zmaganie się z pracą nad sobą bez niczyjej pomocy było nie do pomyślenia, dlatego terapia grupowa była naprawdę konieczna. Pomagaliśmy sobie nawzajem, czasami w sposób bezwzględny, odkryć, kim w rzeczywistości jesteśmy. Udało mi się tam częściowo wyzdrowieć.. Bardzo mi pomogło, że zachęcili mnie do tego, by ponownie zacząć słuchać i grać muzykę. W ten sposób odzyskałem kontakt z moimi emocjami, które wróciły do mnie całą falą.”

Marek Woś

„Wszystko mi wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść”

Ten cytat z 1. Listu do Koryntian (1 Kor 6, 12) otwiera świadectwo Zenona. Zamykają słowa: „Niczego mi nie żal. Moje doświadczenie życiowe jest bezcenne!”. Niech jego doświadczenie będzie dla nas znakiem ostrzegawczym.

Definicja uzależnienia alkoholowego (1952, raport SOZ nr 48) brzmi następująco: „Alkoholikiem jest ten, który pije nadmiernie, a którego zależność od alkoholu przybrała takie rozmiary, że wskazuje wyraźnie zmiany i konflikty w stanie zdrowia cielesnego i psychicznego, w swoich układach międzyludzkich, w swoich funkcjach społecznych czy ekonomicznych, względnie zdradza pierwsze oznaki takiego chorobowego procesu. Wymaga on z tego powodu leczenia.” No proszę, już w roku 1952 Światowa Organizacja Zdrowia dostrzegła problem i go zdefiniowała.

Ciekawe. Urodziłem się w roku 1951 i stwierdzam, że od początku mojego życia aż do dnia dzisiejszego i zapewne też do mojej śmierci alkohol był, jest i będzie moim towarzyszem. Narodziny trzeciego syna (tzn. mnie) na pewno uczczono alkoholowym toastem. Bo jakże by inaczej. Tradycja. Moje chrzciny – niech się chłopak dobrze chowa i po „małym”.

A mój pierwszy kontakt bezpośredni z alkoholem? Z opowiadań moich rodziców wynika, że miałem niespełna 4 (sic!) latka.

Rodzice mając trochę gotówki postanowili rozbudować nieco dom rodzinny i na tak zwany „wieniec” czyli zakończenie prac murarskich zwyczajem dobrych gospodarzy urządzili poczęstunek kolacyjny z alkoholem.

Kolacja ponoć skończyła się bardzo szybko i robotnicy po otrzymaniu zapłaty „jak się rozchodzili to po jeszcze jednym wypili”. Ale nie wszyscy pili alkohol bo co niektórzy posiadali motocykle i te kieliszki napełnione, nie wypite zostały na stole. A ja zwyczajem dzieci ciekawych po jakiejś krótkiej mojej drzemce widząc na stole coś do picia w kolorze żółtym pozwoliłem sobie na posmakowanie. Okazało się, że rodzice wyszli z pracownikami na zewnątrz budynku i tam przez jakąś chwilę rozmawiali a ja w tym czasie uraczyłem się ajerkoniakiem. Efekt?! Przewracałem się i bełkotałem coś do rodziców pokazując na stół.

A dalej. W połowie lat 50. ubiegłego wieku (ale ten czas szybko leci!) w dawnej „strzelnicy” tj. siedziby Bractwa Kurkowego zakwaterowano oddział łącznościowców wojsk radzieckich i ich wyjście z tzw. koszar było ograniczone



przepustkami wobec czego wysługiwali się nami, chłopakami do zakupu jakiegoś taniego alkoholu. Tak więc „wielocypied” o jednym, sprawnym prawym pedale dziadka Stefana, inwalidy spod Verdun i jazda do sklepu na Podpniewki po wino. A w nagrodę za przywiezienie wina „adin malenkij stakan” po musztardzie w moje jeszcze dziecięce gardelko. Moja Pierwsza Komunia Święta i po cichaczu ze starszymi od siebie chłopakami z sąsiedztwa mały łyczek a może i więcej wina podkradzonego z butli, które jeszcze „pracowało”.

Gdy byłem w siódmej klasie szkoły podstawowej w Pniewach powstały GS-owskie dwa sklepy samoobsługowe i dla szpanu należało zdobyć wino ze stoiska tak by tego nie zauważyła ekspedientka. Oj, sporo tego było. Mój po-

wrót ze szkoły do domu przy ulicy Wronieckiej wiódł wtedy przez Księżę Góry a po drodze wypijało się wino i jarało „sporty”.

W roku 1965 skończyłem podstawówkę i rozpocząłem naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Pniewach a z Pniew w tym czasie wyprowadzono jednostkę wojsk radzieckich. W ich miejsce osadzono Romów, wśród których byli też chłopacy w moim wieku. Adam, Kolorado, John, Grunia... Takie sobie przybrali imiona i z nimi, jak i też z Czesławem, ojcem Gruni, siadaliśmy często na dworcu kolejowym, gdzie przy stoliku można było napić się piwa.

Lata licealne to przede wszystkim szpan wobec dziewcząt. W parku miejskim przez Mogielnicę przerzucony był drewniany mostek z bardzo wąskimi barierkami, po których po wypiciu

„jabolka” należało przejść by nie wpaść do śmierdzącej już wtedy rzeczki a w nagrodę oczywiście... następna butelczyna „patykiem pisane”.

W klasie maturalnej na półroczu miałem aż siedem ocen niedostatecznych i mój kochany tatulek postanowił, że nie będzie utrzymywał darmozjada więc wynocha z domu. Gdzie poszedłem? Oczywiście do Cyganów. I tak włóczyłem się około trzech tygodni, kiedy to profesor Deska prosto z ulicy ściągnął mnie do szkoły. Dzięki namowom koleżanek i kolegów, którzy na mnie „wsiedli” i którzy pomogli mi w nauce, w roku 1969 zdałem maturę i postanowiłem rozpocząć studia na kierunku języka rosyjskiego. Złożyłem papiery i przystąpiłem do egzaminów. Z rosyjskiego egzaminy zaliczyłem a z języka polskiego oblałem, więc nici ze studiów.

Jesienią, bodaj w październiku 1969 roku ojciec mój kupił konia i w ten sposób jako woźnica zacząłem zarabiać na siebie. Zimą rozwoziłem towar do sklepów, ludziom węgiel a wiosną następnego roku obradlałem ziemniaki, bronowałem i wykonywałem inne prace polowe. Często się zdarzało, że za wykonaną pracę częstowano mnie alkoholem a ja nie odmawiałem.

I znowu konflikt na linii ojciec i syn. Wtedy ojciec zatrudnił do powożenia swojego bratanka a mnie kazał szukać sobie pracy. Wsiadłem do pociągu jadącego do Poznania i w Poznaniu zatrudniłem się na „wolnych torach” do pomocy przy rozładunku wagonów. Tam poznałem chłopaków w moim

wieku, którzy mając dwa konie rasy perszeron i sporych rozmiarów wóz-płatformę rozwozili węgiel po Poznaniu. Jak żywo kojarzę ten czas z filmem „Miś” Stanisława Barei. Toczka w toczkę.

Tam też poznałem możliwość zarabiania dodatkowego zatrudniając dziewczyny do usług dla panów. Była forsa, było chlanie.

Na zimę wróciłem do Pniew, a wiosną w kwietniu 1971 roku zostałem powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej do Międzyrzecza.

Po półrocznym szkoleniu w wojsku zostałem awansowany na stopień kaprała i zostałem dowódcą drużyny plutonu szkolnego. Już jako kapral w styczniu roku 1972 trafiłem na poligon na Mazurach. Mróz jak jasna cholera więc elewi z mojej drużyny dla obywatela kaprała kombinowali „jabolki” na rozgrzewkę. Po powrocie z poligonu przetrzucono mnie do innej kompanii i przydzielono mi młodych kierowców do szkolenia w zakresie musztry i taktyki. Częste wyjazdy na „autodrom” i „kociarstwo”, by przypodobać się kapralowi, znowu kupowało moje względy alkoholem.

W lipcu 1972 roku daleki kilkudziesięciokilometrowy marsz i moje nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Izba chorych w jednostce, potem szpital wojskowy w Poznaniu na Grunwaldzkiej i w ostatnie dni sierpnia zwolniony do cywila.

A co u moich dziewcząt jeszcze z okresu poznańskiego?! Zarabiały i to zarabiały dobrze, a wymogi ich bezpiecznej pracy obciążły finansowo moją osobę.

Zatem pozwoliłem sobie na przypomnienie jednej z nich o zobowiązaniach finansowych. Będąc pod wpływem alkoholu pobitem ją i po dwóch prawie miesiącach od tego zdarzenia zostałem oskarżony o usiłowanie gwałtu i skazany na 3,5 roku więzienia.

A w kryminale?! Pracowaliśmy na swoje utrzymanie i jakąś forszę na „wypiski”. W Swarzędzkiej Fabryce Mebli przydzielono mnie i jeszcze jednego skazanego do pracy przy szlakowaniu pieców i tam stali pracownicy częstowali nas kawą z denaturatem. Natomiast kiedy odsiadywałem wyrok w Potulicach piłem „brzozówkę” czyli wodę kolońską przemycaną przez zaprzyjaźnionego Cygana.

Cholera. Cały czas alkohol pod każdą postacią.

W maju 1975 roku wyszedłem na wolność na „warunkowe” i postanowiłem nie pić już alkoholu. Ale człowiek nie wielbłąd i napić się musi. Jedno piwko, potem dwa, potem „jabolek” i wódka, nasza polska czysta.

Rok 1976 rozpocząłem od pracy w Spółdzielni Inwalidów „Postęp” Pniewy na stanowisku referenta ds. socjalnych. I znowu koledzy, alkohol i próba samobójcza w sierpniu, przeżywam śmierć kliniczną. Szpital w Szamotułach i dyscyplinarka z pracy.

Jak żyć?! Koniec z alkoholem.

W 1977 roku zatrudniam się na PKP i zostaję wysłany na szkolenie dla dyżurnych ruchu do Poznania na Grabową. Koleżanki i koledzy z całej niemal Polski. Pół roku kursu z możliwością mieszkania w placówce szkoleniowej

i jako typowa „poznaska pyra” jestem dla innych wodzirejem po barach i knajpach w Poznaniu.

W październiku kurs kończymy egzaminami i z papierami zostaję dyżurnym ruchu w Kiekrzu koło Poznania. Tam Ośrodek Milicyjny, możliwości chlania całą dobę więc to mi odpowiada.

Poznaję też w tym czasie dziewczynę, koleżankę mojej siostry i zaczynam myśleć o stabilizacji życiowej. Na jak długo?!

Po ślubie w 1978 roku przenoszę się do Jarocina a tam od Wielkopolskich Rytmów Młodych, poprzez Muzykę Młodej Generacji aż po Festiwal Muzyki Rockowej w czasie trwania imprez alkohol i początek brania „makiwary”.

Dyżurny ruchu w dworcu towarowym to gość! Wiem co idzie w wagonach, jakie są przesyłki a w szczególności wagony z alkoholem. Zorganizowanie manewrowych i ustawiaczy to żaden problem. Brak towaru wszelakiego w sklepach stawia nas w uprzywilejowanej sytuacji.

I wpadka! Naczelnik dworca przesuwa mnie ze stanowiska dyżurnego ruchu na stanowisko odprawiacza pociągów i zmusza do podpisania pisma o nie piciu alkoholu w pracy.

Na dodatek sprzedaż alkoholu od godz. 13.00 a potem kartki żywnościowe z możliwością wyboru kawy albo alkoholu. Stan wojenny?! To chyba największe chlania mojego życia. Towar kradziony z wagonów wymieniany na alkohol pod wszelką postacią! Wagony po rozładunku cukru kubańskiego w Witaszycach na myjce PKP w Jarocinie.

Z takiego wagonu można było zebrać około 100 kg cukru. Szkoda więc takiego towaru. Drożdże kradło się z tzw. wagonowych przesyłek kurierskich. U kolegi Miecia najlepsza aparatura jaką zabezpieczyli milicjanci w swoich akcjach. Oni też musieli mieć swój udział a my mieliśmy ochronę z ich strony!

Obok dworca towarowego w Jarocinie mieszczą się Jarocińskie Fabryki Mebli a tam denaturatu pełno. Więc odnajduję się jako „specjalista” od sporządzania mikstury alkoholowej dającej porządnego kopa. Przydała się nauka ze Swarzędza.

Do domu często wracam mocno „narażany” a mam już dwoje dzieci. Żona i teściowie stawiają warunki a ja swoje.

Decyzją żony i teściów zostaję przymuszony do wizyty w poradni psychiatrycznej w Ostrowie skąd otrzymuję skierowanie do szpitala psychiatrycznego w Kościanie na obserwację.

Pierwsza wizyta u pani psycholog i trzy arkusze z pytaniami. Wypełniłem jeden arkusz i zabieram się za drugi, który jest z pytaniami o podobnej treści tylko trochę inaczej ujętymi. I taki sam trzeci. Piszę więc na pierwszym arkuszu, że wszystkie odpowiedzi na pytania już się powtarzają więc nie ma sensu odpowiadać na pozostałych dwóch arkuszach. Ależ zdziwienie pani psycholog! Wydaje opinię i kieruje mnie do oddziału otwartego szpitala w Wonieściu.

Jest zima 1985/86. Święta Bożego Narodzenia w Wonieściu, a żeby było świątecznie to przez zamarznięte jezio-

ro do Nowego Dębca po winko. I tak tam dotrwałem do swoich urodzin tj. 19 lutego 1986 roku, by po mocnym zapiciu zostać wydalonym z Wonieścia.

A w pracy na PKP?! Jedna komisja zdrowia, druga komisja zdrowia wreszcie trzecia i orzeczenie KIZ o niezdolności do pracy. I renta! Ale żona wymusiła na mnie bym podpisał jej upoważnienie do odbioru całej kwoty. I dobrze.

Miałem wtedy możliwości prac dorywczych i sprzedawania swojej pracy za alkohol.

Nastał rok 1990 i możliwość prowadzenia działalności gospodarczej na własną rękę. Znajomy mojego teścia otworzył sprzedaż pasz inwentarskich i zatrudnił mnie tam jako magazyniera, sprzedawcę i pracownika fizycznego. Gospodarze szukali przede wszystkim śrutu sojowej a my mieliśmy ten towar. Coś za coś! I znowu alkohol jako załącznik w interesach!

Któregoś lutowego dnia w 1992 roku odbiło mi, wziąłem całodniowy utarg, wsiadłem do pociągu i wyruszyłem w Polskę. Jako rencista-kolejarz miałem bilety darmowe oraz zniżkę na przejazd. Póki była forsa, było git! Zjeździłem prawie całą południową Polskę od Wrocławia, przez Kraków aż po Rzeszów. Sypiałem w wagonach, na stacjach a myłem się czasami w dworcowych toaletach. Ale pieniądze szybko się kończyły i co dalej? W Krakowie poszedłem do schroniska brata Alberta chyba na ul. Tatarskiej ale tam mnie nie przyjęli.

W pociąg i do Zakopanego z myślą by przejść do Czechosłowacji a potem

do Austrii. W Chabówce zawsze następuje przejście parowozu na drugą stronę a ja w tym czasie poszedłem kupić sobie za ostatnie 5000 zł (na stare pieniądze) jakąś bułkę. Kobieta, która była przy bufecie wydała mi resztę i mając pieniądze już w garści stwierdziłem, że ona pomyliła się i wydała mi z jednego miliona złotych reszty.

W pociąg i Zakopane a tam 8 kwietnia 1992 roku wziąłem sobie pokój w hotelu PKP za 25000 zł, wyprałem sobie gacie i skarpety a w samych spodniach i kurtce poszukałem lokaliku, gdzie wypilem dwie pełne szklanki czystej wódki chcąc zapić się na śmierć. Wróciłem do hotelu, wałnąłem się na wyrko i zacząłem zdychać. Raz zimno, raz gorąco, raz wstawałem, raz się kładłem. I co ciekawe, myśli moje pomimo wypitego alkoholu w takiej ilości nakierowane były na Stwórcę jak przed nim stanę w takim stanie.

Nad ranem opuściłem hotel i pociągiem udałem się do Krakowa. Tam włożyłem się po Starym Rynku, Sukienicach byłem też w Kościele Mariackim. Na krakowskim Starym Rynku stoi sobie skromniutki kościółek (pw. św. Wojciecha – dzisiaj to wiem), do którego wszedłem, uklęknąłem w kłęczniku i w jego półeczce znalazłem jakieś modlitwy. Zacząłem się modlić z tych kartek i trafiłem na modlitwę, w treści której przeczytałem, że odmawiając ją ze szczerością, skruchą i żalem o godz. 15.00, Bóg w swoim Miłosierdziu okaże mi łaskę. I słyszę trzy uderzenia dzwo- nu. Akurat wybiła godz. 15.00! Dzisiaj tę modlitwę znam na pamięć i staram



Obraz Matki Bożej
Częstochowskiej
na Jasnej Górze

się ją odmawiać codziennie. Jest to Koronka do Miłosierdzia Bożego. Po tej modlitwie i tekście też tam znalezionym pieśni „Czarna Madonna” poszedłem na krakowski dworzec PKP, wsiadłem do pociągu i ruszyłem w kierunku Częstochowy. Taką myślą zostałem ogarnięty, by na Jasnej Górze powierzyć Bogu przez wstawiennictwo Matki Jezusa swoje życie.

Wieczorem byłem w Częstochowie, przekimałem się na dworcu by rankiem pójść na Jasną Górę. Kilka podejść do sakramentu pokuty i... ucieczka z Jasnej Góry. Ale pozostaję w Częstochowie. W południe idę na stołówkę kolejową na jakąś zupkę regeneracyjną. Nie mogę jeść. Nic nie przechodzi mi przez gardło. Ale alkoholu od 8 kwietnia nie

tknąłem. Męcę się i wracam na Jasną Górę. Wieczorem idę na furkę przez Sałę Rycerską i proszę ojca furtyana o kogoś z kim mógłbym pogadać o swoim życiu. On kieruje mnie do zakrystii. Tam w jednej z bocznych salek spowiadałem się z mojego życia jednemu z ojców Paulinów. Otrzymuję rozgrzeszenie, idę przed obraz Matki Bożej a stamtąd do schroniska dla bezdomnych na alejach Jana Pawła II. Dostaję tam chleb posmarowany smalcem i kawę zbożową. Miód w gębie. Tego smaku nie zapomnę do końca życia. Mój pierwszy konkretnie zjedzony posiłek.

Idę na dworzec PKP wsiałam do pociągu jadącego w kierunku Poznania i w Ostrowie muszę wysiąść bo coś się ze mną dzieje. Słyszę jakieś głosy, widzę jakieś twarze... Urywa mi się film. Budzę się leżący na gumowanym materacu całkowicie nagi, przywiązany bandażami do łóżka i polewany wodą.

Cholera, co jest grane?!

Okazało się, że w Ostrowie dotarłem do jakiejś przychodni, tam moje zachowanie przymusiło pomoc medyczną do przewiezienia mnie do szpitala psychiatrycznego w Krośnicach, gdzie rozwalilem gabinet ordynatora. Stąd taka moja sytuacja.

A w Krośnicach po dwóch dniach kroplówek rozmowa z ordynatorem, psychologiem i zdiagnozowanie mnie jako osoby uzależnionej od alkoholu.

Wreszcie też odszukała mnie żona i mój brat oraz moja siostra. Moja siostra Teresa mająca już kontakt z grupami AA powiedziała mi, że nie jestem wariatem a osobą nadużywającą alkoholu i czy wyrażam chęć na poddanie się terapii. No tak! Jak najszybciej chciałem opuścić te cholerne Krośnice.

Święta Wielkanocne spędziłem jeszcze w Krośnicach a potem bezpośrednio po nich udałem się pociągiem do Pniew, skąd Teresa wraz ze swoim mężem zawieźli mnie do Gorzowa do siebie



do domu a po trzech dniach znalazłem się na oddziale odwykowym szpitala Międzyrzecz-Obrzyce.

I tak zaczęła się moja terapia. Trafiliem na wspaniałych psychologów, małżeństwo Zofię i Ryszarda Klimczuków. To przy nich uczyłem się poznawania samego siebie. Dzięki nim moja terapia trwała od końca kwietnia do połowy września 1992 roku. Z uwagi na relacje z moją teściową w styczniu 1993 roku przenieśliem się do Pniew, mojego rodzinnego miasta. W 1994 złożyłem papiery na studia zaoczne na UW w Warszawie na resocjalizację i przystąpiłem do egzaminów. Niestety, jako poznaniak zostałem wykluczony z tej uczelni a zabrakło tylko 1 punktu. Argumentacja uczelni była prosta: my też mamy mnóstwo chętnych na ten wydział z naszego województwa. Więc pozostał mi Poznań i wydział filozofii na UAM. Studiowałem przez rok a potem za namową ks. Marka Jędraszewskiego przenieśliem się na Papieski Wydział Teologiczny w Poznaniu.

W międzyczasie zostałem wychowawcą w Domu Dziecka w Lipnicy koło Szamotuł prowadzonego przez Zgromadzenie Sióstr Urszulanek, u których w ich Domu Macierzystym w Pniewach byłem też stróżem i miałem tam swój wikt i opierunek.

Trudno było wtedy pogodzić to wszystko i w naszej miejscowości zacząłem organizować profilaktykę uzależnień. Stąd pozostała mi tylko praca stróża i profilaktyka. W piątą rocznicę mojej abstinencji żona wystąpiła o rozwód i z południowej Wielkopolski zostałem zmuszony już zostać w Pniewach.

Przypominam sobie jeden z pierwszych mityngów otwartych AA organizowanych na oddziale. Przyjechała wówczas grupa poznaniaków i jeden z nich powiedział, że ma już 15 lat abstinencji. Facet ściemnia. Nie jest możliwe by przez 15 lat nie wznieść toastu alkoholem. Dla mnie wtedy wydawało się to czystą abstrakcją.

Sposób prowadzenia terapii na podstawie kroków i tradycji AA pozwoliło mi rozumienie samego siebie. Poprzez uczestnictwo w mityngach AA poznawałem i nadal poznaję wspaniałych ludzi. Ksiądz Henryk, ksiądz Paweł, ksiądz Wiesław, ksiądz Józef... Dałem się ponieść temu wszystkiemu. Idzie to ze mną cały czas. Wanda Sztander, Jerzy Mellibruda, Anna Dodziuk, Ewa Wojdyłło, Wiktor Osiatyński, Maria Matuzewska... Kazik W., Felek, Antek, Roman, Stanley, Piotr i bardzo wielu innych trzeźwiejących alkoholików.

W roku 1994 ukończyłem Studium Pomocy Psychologicznej przy Instytucie Psychologii Zdrowia (trenerem moim był świetny Stefek Bulaszewski), uczestniczyłem i uczestniczę nadal w wielu konferencjach, seminariach, warsztatach i szkoleniach.

W roku 2002, po 10 latach abstinencji i trzeźwienia, wielu moich przyjaciół namówiło mnie na wystawianie w wyborach do Rady Miejskiej Pniewy, by mieć z głosem stanowiącym przedstawiciela w Radzie z zakresu działań w profilaktyce i rozwiązywaniu problemów uzależnień (wcześniej od roku 1995 zostałem powołany przez ówczesnego burmistrza na stanowisko

pełnomocnika ds. uzależnień). Tak więc z uwagi na mandat radnego musiałem zrezygnować ze stanowiska pełnomocnika ale pozostawałem nadal członkiem Gminnej Komisji PiRPA. Mandat radnego pełniłem przez dwie kadencje i również przez jedną kadencję byłem ławnikiem Sądu Rejonowego w Szamotułach w sprawach karnych.

Obecnie jestem na emeryturze ale zarządzeniem Burmistrza Gminy Pniewy pełnię obowiązki przewodniczącego Gminnej Komisji Profilaktyki i Rozwiązywania Problemów Alkoholowych w Pniewach i kieruję Punktem Informacyjno-Konsultacyjnym.

„Gdyby ktoś mniemał, że coś *wie*, to jeszcze nie wie jak wiedzieć należy” (1 Kor 8, 2). Często sięgam tzw. *złoty*ch *myśli*, które są dla mnie wyznacznikiem moich działań.

„Mądrość przychodzi z wiekiem, byle to nie było wieko od trumny.” Proszę bardzo, jak język polski może być rozumiany i mieć zastosowanie w naszej codzienności.

„Wiedzę buduje się z faktów jak dom z cegieł, tylko że zbiór cegieł nie jest domem jak zbiór faktów nie jest wiedzą.”

Alkohol jest od tysięcy lat aprobowany społecznie. Jest to środek powszechnie dostępny, produkowany przez monopole państwowe praktycznie bez ograniczeń, dostępny w dowolnych ilościach i o dowolnym czasie na każde żądanie. Jest usilnie reklamowany przez środki masowego przekazu. Ustny przekaz społeczny zdecydowanie aprobuje alkohol i picie w sytuacjach

wymagających szczególnego uroczystego akcentu. W powstawaniu i szerzeniu alkoholizmu zasadniczą rolę odgrywają mechanizmy, często nieświadome, naśladownictwa i identyfikacji. Odnosi się to przede wszystkim do młodzieży.

Zatem profilaktyka prowadzona w rodzinie, w szkołach winna być oparta na rozumieniu problemu alkoholowego.

A jakie jest teraz moje życie?! Dzisiaj Agnieszka, Henia to moje pomoce psychologiczne, Piotr i Gosia – terapeuci Zakładu Leczenia Uzależnień w Charcicach to osoby, które pomagają mi kształtować dalej swoją osobowość, pomagają mi w relacjach międzyludzkich. Często moje wyjazdy na szkolenia, seminaria, warsztaty czy kongresy z zakresu profilaktyki i rozwiązywania problemów uzależnień są też dla mnie poznawaniem samego siebie, poznawaniem mechanizmu naczyń połączonych naszego życia.

Janusz Laskowski kiedyś grywał na gitarze słynne swoje przeboje i śpiewał, a był taki czas, że mieliśmy wspólnego kolegę Andrzeja z Białej Podlaskiej. Z Andrzejem kończyłem wspólnie SPP w Warszawie i Andrzej na gitarze też świetnie sobie radził śpiewając:

„Kiedy patrzę hen za siebie w tamte lata co minęły, czasem myślę co przegrałem ile diabli wzięli. Co straciłem z własnej woli, ile przeciw sobie, co wyliczę to wyliczę, ale zawsze wtedy powiem że... **niczego mi nie żal.**”

To moje doświadczenie życiowe jest **bezcenne!**

Zenon

Iść przez życie trzeźwo i godnie

**O problemie alkoholizmu
i uzależnień rozmawiamy
z ks. Leszkiem Woźnicą,
oratorianinem i duszpasterzem
Apostołów Trzeźwości**

Problem alkoholizmu pojawia się w wielu polskich rodzinach. Czy jest to faktycznie duży problem społeczny, czy to tylko rozdmuchana do przesady kwestia?

Według oficjalnego raportu w Polsce alkoholu nadużywa dzisiaj 12% społeczeństwa. Jest to potężna rzesza. Mówi się oficjalnie, że uzależnionych w Polsce jest milion osób. Znam statystyki, które przekazywał pan doktor Krystian Niełacny z Ostrowa Wielkopolskiego, który mówi o trzech milionach uzależnionych osób w Polsce. I mówi o tym, że codziennie w Polsce upija się pięć milionów osób. Czyli te dwa miliony, które jeszcze uzależnione



nie są, są na prostej drodze, by w to uzależnienie wpaść.

Jeśli zatem jest to rzeczywiście liczba pięciu milionów osób, to należałoby pomnożyć tę liczbę przez cztery – bo tyle osób średnio liczy polska rodzina. Oznacza to, że w Polsce z alkoholem bezpośrednio lub pośrednio styka się 20 milionów ludzi, czyli połowa społeczeństwa. Jest to wielka tragedia.

Hitler, chcąc zniszczyć narody słowiańskie, w tym Polskę, mówił, by każdemu w ciągu roku dać po trzy litry czystego spirytusu. Wtedy Słowianie staną się niewolnikami zbrodniczego reżimu. Dzisiaj w Polsce według oficjalnych danych jest 9,4 litra czystego

spirytusu na mieszkańca na rok. Oficjalne wyniki często są zaniżane, a więc możemy zobaczyć, jak wielka tragedia nas dotyka. Hitler doskonale wiedział, w jaki sposób nas zniewolić, a dziś sami wpadliśmy w to zniewolenie.

W tym zetknięciu z liczbami wydaje się, że nie można już w zasadzie wyodrębnić jakiejś klasy społecznej, która jest mocniej narażona na alkoholizm. Czy można mówić o „dziedziczeniu” choroby alkoholowej?

Choroba alkoholowa, z którą styka się wiele osób w naszej ojczyźnie, ale również na całym świecie, nie jest chorobą dziedziczną. Niektórzy byliby skłonni zaliczać ją do chorób dziedzicznych, jednak badania – szczególnie japońskie – pokazują, że nie jest to choroba dziedziczna. Jeśli ona się pojawia, to najczęściej jej przyczyną jest tzw. obyczaj pijacki, który towarzyszy naszemu życiu, a zwłaszcza w naszych rodzinach. Dziecko od początku swojego życia widzi, że na różnych uroczystościach odbywających się w domu musi być alkohol. On zawsze jest, także podczas świąt religijnych i patriotycznych. Dziecku wydaje się, że bycie z alkoholem to nic groźnego. Obyczaj pijacki jest według znawców i według mojego osobistego doświadczenia najczęstszą przyczyną popadnięcia w chorobę alkoholową. Należy jednak wykluczyć, że jest to choroba dziedzicznie przekazywana.

Alkoholizm ma objawy choroby. Jakie są te najczęściej występujące?

Najbardziej podstawowym objawem jest to, że ktoś, kto styka się z alkoholem – obojętnie, w jakiej postaci, czy to wódka, czy piwo – nie potrafi powiedzieć sobie „dość”. Nieraz ludzie popadają w częste upijanie się i niejednokrotnie nie są związani chorobą alkoholową. Najgorzej jest wtedy, gdy dana osoba nie potrafi powiedzieć po prostu „nie”, „dosyć”.

Jakie są początki duszpasterstwa trzeźwości w Polsce?

Kościół podejmował już wiele problemów społecznych. Wtedy, gdy Polska znajdowała się pod zaborami w XIX wieku, zaborca, zwłaszcza rosyjski, ale też pruski, bardzo chętnie serwował Polakom alkohol, powstawały różne karczmy. Na ziemi wielkopolskiej również takie karczmy istniały, o czym wspomina Edmund Bojanowski w swoim „Dzienniku”, gdzie pisze o pożarze karczmy. Błogosławiony Edmund dziękował za to Bogu, bo jak sam mówił, będzie o jedno miejsce mniej, gdzie rozpijać się będzie Polaków. Bojanowski angażował się w działalność abstynencką, żeby ludzie stronili od alkoholu. Sam też założył bractwo trzeźwościowe. Był jego promotorem.

Podczas odpustów na Świętej Górze przy współpracy z filipinami rozdawał tzw. karty trzeźwości. W XIX wieku dzięki ludziom światłym i świeckim wychodziły inicjatywy ku trzeźwości narodu. Wiedzieli oni bowiem, że jeśli Polska będzie trzeźwa, to będzie zdolna do zmartwychwstania.

Kościół jednak wprost zajął się tą trudną dziedziną życia, zwłaszcza ojcowie kapucyni. Pierwszym ośrodkiem, który powstał, by wspierać ludzi dręczonych alkoholizmem, był ośrodek działający prężnie po dziś dzień – Zakroczym, niedaleko Warszawy. Ojcowie kapucyni działali i nadal pracują na rzecz trzeźwości.

Również bł. Władysław Kłopotowski, założyciel zgromadzenia sióstr loretanek, przez swoje pisma i działalność jako kapłan diecezjalny był wielkim promotorem ruchu trzeźwościowego. Początek tego ruchu przypada więc na wiek XIX, a później rozwijał się on głównie w latach międzywojennych, kiedy Polska odzyskała wolność. Na ten czas przypadają duże sukcesy tego ruchu, o czym świadczy minimalna liczba statystyczna wypijanego alkoholu w Polsce na okres przed drugą wojną światową.

Przyszły jednak czasy wojennej zawieruchy, okres hitlerowskiej, a później sowieckiej okupacji, i znów zaborca wojenny ułatwiał Polakom dostęp do alkoholu. Nie wspominając już o czasach komunistycznych, gdy dostępność alkoholu była wysoka.

Nakreślił już ojciec pewną formę pomocy proponowanej przez duszpasterstwa trzeźwościowe. Są to kongresy, zakony zajmują się tym zagadnieniem, a wspomagają je świeccy. Jakie są dzisiaj narzędzia pomocy poszkodowanym i jak w ogóle dociera się do takich osób?

Z doświadczenia wiem, że osoba borykająca się z problemem alkoholizmu przeważnie pierwsza się nie zjawi. W znacznej mierze pojawiają się jako pierwsze osoby z jej bliskiego otoczenia. Okazuje się, że alkoholik w złą orbitę swojego zachowania wciąga nawet 14 osób, o czym wspomina pan Krystian

Nie spotkałem takiej osoby,
która chciałaby być
uzależniona.
Choroba przyszła
w sposób podstępny.



Nielacny. Są to najczęściej bliscy i rodzina, przyjaciele, sąsiedzi. To te osoby przychodzą jako pierwsze, zgłaszają zaistnienie takiego problemu, i chcą go rozwiązać.

Osoba współuzależniona musiała skierować prośbę do alkoholika, a ci często kierowali się do duszpasterstwa trzeźwości. Czyni to jednak i tak mała liczba uwikłanych, ponieważ – jak sami twierdzą – nie mają oni „żadnego problemu”. Choroba alkoholowa to choroba zaprzeczeń.

Istnieją grupy Al-Anon, które skupiają osoby bliskie poszkodowanym przez nałóg. Praca, jaką w takich grupach podejmują osoby współuzależnione, nie tylko daje im rozwój, lecz często także staje się drogą dla osoby uzależnionej. Zwykle kończy się to kapitulacją alkoholika. To osoby najbliższe są w stanie efektywnie wpłynąć na alkoholika i doprowadzić go do wyjścia z uzależnienia poprzez nakłonienie za pomocą swojego przykładu do przyścia na grupę wsparcia.

Mówimy teraz o pomocy długofalowej. Zdarza się jednak, że przechodząc gdzieś po mieście, napotykamy na pijaka, który prosi o pieniądze na chleb, lekarstwa i potrzebne do życia rzeczy. Jak wtedy reagować?

Z taką osobą, jeśli jest bardzo pijana, nigdy nie ma sensu rozmawiać. Jeśli jednak jesteśmy w stanie podjąć jakąś dyskusję, możemy na nią przystać.

Miałem kiedyś taką sytuację, że podszedł do mnie podpity człowiek. Prosił o pieniądze, bo miał jakiś problem. Powiedziałem mu, że problem jest w nim, a pieniędzy nie dostanie, bo problem się pogłębi – pójdzie i kupi za to alkohol. Zaproponowałem mu przybycie na spotkanie anonimowych alkoholików. Proszę sobie wyobrazić, że osoba ta pojawiła się i obecnie nie pije już kilkanaście lat, a cały czas

uczęszcza na mityngi.

Ten człowiek w tej chwili jest trzeźwy.

Taka rozmowa musi być konkretna: trzeba stwierdzić problem i pokazać wyjście z niego.

Kiedy natomiast bezdo-

mny prosi, nieraz będąc pijanym, to nigdy nie daję pieniędzy. Tego nauczyli mnie alkoholicy, że nie można dawać pieniędzy, bo zostaną one i tak wykorzystane na alkohol. Jeśli jest głodny, to trzeba nakarmić, ale z tym też trzeba uważać, bo alkoholik to bardzo sprytny człowiek. Z kolegami napije się alkoholu, później pokornie idzie prosić o żywność i dadzą mu się najeść, a do domu po pijanemu przychodzi rozrabiać.

Jeśli więc możemy rozeznaczyć sytuację, musimy skierować taką osobę do grupy anonimowych alkoholików albo do poradni trzeźwościowej. Można też podpowiedzieć, żeby udała się do lekarza po skierowanie na odwyk. Trzeba tym ludziom podpowiadać. W mojej 26-letniej pracy niejednokrotnie przyniosło to pozytywny efekt.

Niejednokrotnie ludzie przychodzą do mnie i myślą, że jestem jakąś czarodziejską różdżką, która od razu odmieni ich los.

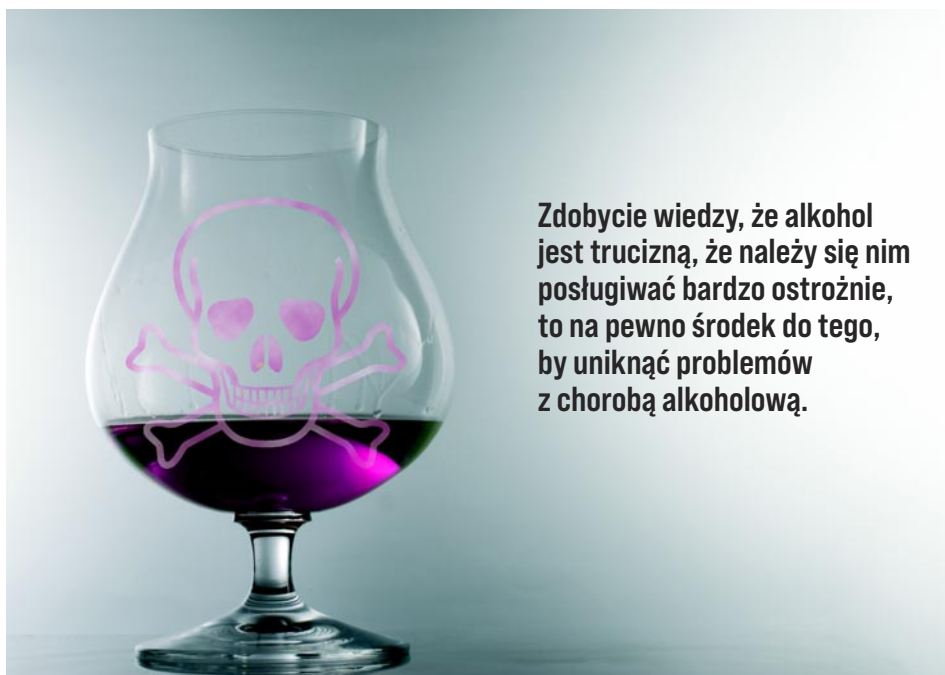
Czy istnieje relacja między pracą na rzecz trzeźwości, jaką podejmuje Kościół, a działalnością instytucji publicznych?

Zawsze jest taka relacja. Przy każdej gminie istnieją od wielu lat komisje do rozwiązywania problemów alkoholowych. Komisje te współpracują z instytucjami świeckimi i kościelnymi. Przez pewien czas sam należałem do takiej komisji.

Kiedy zachodzi potrzeba, to zawsze można nawiązać kontakt. Wymieniamy się literaturą, ponieważ komisje dysponują dobrą i fachową literaturą dotyczącą choroby alkoholowej i trzeźwienia. Nieraz takie materiały otrzymywałem, zwłaszcza „Świat Problemów”, który jest bardzo dobrym pismem i bardzo pomaga w edukacji

osoby uzależnionej. Druga strona otwiera się na Kościół, ale i sam Kościół chętnie podejmuje współpracę. W ten sposób rozwiązuje się problem, bo to nie tylko problem duszy człowieka, lecz także problem ludzkiego ciała i psychiki. Człowiek powinien całościowo do tej sprawy podejść.

Niejednokrotnie ludzie przychodzą do mnie i myślą, że jestem jakąś czarodziejską różdżką, która od razu odmieni ich los. Do świętej pamięci prof. Dudry, psychiatry zajmującej się osobami uzależnionymi, również przychodzili alkoholicy, myśląc, że ona uleczy ich od razu. Choroba alkoholowa dotyka całego człowieka, dlatego ważna jest współpraca wielu jednostek, w tym Kościoła. Podjęta została także współpraca między Kościołem a ruchem Anonimowych Alkoholików.



Zdobycie wiedzy, że alkohol jest trucizną, że należy się nim posługiwać bardzo ostrożnie, to na pewno środek do tego, by uniknąć problemów z chorobą alkoholową.



**Z największego dna
można się podnieść
i można iść w sposób
trzeźwy i godny przez życie.**

Wspominał ojciec, że problem alkoholizmu to problem całego człowieka, jego duszy, psychiki i ciała. Czy osoba wierząca, która popadła w nałóg alkoholizmu, może leczyć się tylko u psychologów? Czy to jej wystarczy?

Może, ale to będzie zajęcie się tylko jedną sferą problemu. Często wielu ludzi przychodzi i chce leczyć się tylko za pomocą elementów religijnych, na przykład w sakramencie spowiedzi, co uważam za odpowiedzialne, bo pada tam wyznanie grzechów. Wielu nie utraciło wiary przez alkohol, a zdarzali się nawet tacy, którzy do Kościoła, będąc pijani, się przybliżają. Często uważają oni konfesjonał za bardzo ważne miejsce i chcą rozwiązać swój problem tylko za pomocą konfesjonału.

Mówię alkoholikom, że jak długo chcą rozwiązywać problem za pomocą

konfesjonału, tak długo konfesjonał jest dla nich wrogiem, dlatego że problem dotyczy cielesnej i psychicznej strony życia. A starożytna sentencja mówi: „Łaska buduje na naturze”. Żeby w sposób prawidłowy współpracować z łaską, którą dostajesz przy konfesjonale, trzeba pójść najpierw do lekarza, psychologa, a później przyjść do duchownego, by rozwiązać problemy moralne. Trzeba zająć się wszystkimi sferami życia, które dotknęła choroba.

Sierpień to w Polsce czas poświęcony szczególnej trosce o trzeźwość i abstynencję. Dlaczego akurat ten miesiąc został wybrany?

To ważny miesiąc, w którym wspominamy narodowe wydarzenia. Powstanie warszawskie było wielką ofiarą, dlatego więc w tym miesiącu nie mielibyśmy ponieść mniejszej ofiary, podejmując z wyboru abstynencję?

Po drugie cud nad Wisłą, wielkie zwycięstwo 15 sierpnia 1920 roku.

W sierpniu obchodzimy również święto Matki Boskiej Częstochowskiej, która jest Królową naszego narodu. Jej najbardziej zależy, żeby Polska była trzeźwym narodem. Podpowiada nam to z częstochowskiego tronu. Dlatego miesiąc ten jest szczególnie poświęcony trzeźwości.

Ponadto w sierpniu 1939 roku św. Maksymilian Maria Kolbe oddał życie za swojego brata. Jego ofiara była wielka i jest on obecnie patronem trzeźwości. Jest wielkim wsparciem i przykładem dla całego narodu, zwłaszcza dla osób pogrążonych w chorobie alkoholowej.

Niektórzy twierdzą, że lepszym na to czasem jest Wielki Post.

Czy faktycznie obniża się statystyka spożycia alkoholu w tym czasie?

Sam osobiście nigdzie takiej statystyki nie uzyskałem. Według relacji jednak statystyka ta nie obniża się, ponieważ jest to miesiąc wakacyjny, są grille i inne spotkania, również wypadki nadmorskie. Picie w Polsce w tym miesiącu jest pomnożone. Podejrzewam, że ilość spożywanego alkoholu się nie zmniejsza. Są jednak osoby szczególnie poświęcające się tej trosce o trzeźwość w tym miesiącu.

Czy istnieje złota reguła dla alkoholika? Dość przewrotnie można powiedzieć, że najlepiej jest po prostu nie pić. Czy jednak jest jakaś zasada, która pomogłaby osobom podatnym na alkohol nie wpaść w jego sidła?

Nie spotkałem takiej osoby, która chciałaby być uzależniona. Choroba przyszła w sposób podstępny. Złotą zasadą jest zainteresowanie się działaniem alkoholu, tym, jak wpływa na ludzi, jakie są ich świadectwa walki z chorobą.

Istnieje obszerna literatura zawierająca historie wielu świadków dotyczące tego problemu. Należy więc zbadać problem. Nikt za mnie tego nie zrobi. Dorosła osoba posiadająca rozum powinna zastanowić się, czy ten środek nie okaże się zbyt szkodliwy. Niewątpliwie alkohol jest szkodliwy. Nie musi to być duża ilość, by zaszkodziła mojemu życiu. Znam takich alkoholików,

którzy nie wypili wcale dużo alkoholu i mówią, że po krótkim czasie znaleźli się w sytuacji przymusu wypicia. Zdobycie wiedzy, że alkohol jest trucizną, że należy się nim posługiwać bardzo ostrożnie, to na pewno środek do tego, by uniknąć problemów z chorobą alkoholową.

W Polsce mamy dzisiaj do czynienia z nowym potopem znaczonego alkoholizmem. Od wielu lat obserwujemy działalność ruchu Anonimowych Alkoholików, pionierskiego przedsięwzięcia, które przyszło do nas ze Stanów Zjednoczonych. Kiedy zaczynałem pracę jako duszpasterz trzeźwościowy, było niecałe tysiąc grup w Polsce.

W tej chwili tych grup jest ponad dwa tysiące i znaleźć je można na każdym niemal kroku. Osoba, która ma problem alkoholowy, nigdy sobie nie poradzi, jeśli nie zetknie się z grupą anonimowych alkoholików. Sercem trzeźwienia jest ten ruch oparty na programie Dwunastu Kroków, w którym mamy odniesienie do Boga, do drugiego człowieka i do samego siebie. W tym programie człowiek odnajduje prostą drogę wyjścia z problemu.

Życzę wszystkim uzależnionym w Polsce, aby odważyli się pójść na spotkanie anonimowych alkoholików, aby zetknęli się z duchowym programem trzeźwienia, aby mu zawierzyli w sposób bezgraniczny. Jeśli tak będzie, to z największego dna można się podnieść i można iść w sposób trzeźwy i godny przez życie.

Rozmawiał Andrzej Jędrzejczak



Fot. AA Film Archive / Alamy Stock Photo

**Czterdzieści pięć lat temu przebudziłem się,
kiedy zmierzałem ku katastrofie.**

Chciałem zapisać się na śmierć.

**Nie chcę moralizować, ale otrzymałem
wiadomość, myśl, która mówiła:
„Chcesz umrzeć czy chcesz żyć?”**

I odpowiedziałem: „Chcę żyć”.

**Nagle nadeszła ulga
i moje życie stało się wspaniałe.**

**Czasami mam kiepskie dni,
chwile zwątpienia i tak dalej,
ale chcę powiedzieć: wytrzymajcie.**

**Dzisiaj jest jutrem, o które tak
się martwiliście wczoraj.**

Młodzi ludzie, nie poddawajcie się.

Trzymajcie się. Walczcie dalej.

Bądźcie śmiali.

Potężne moce przyjdą wam na pomoc.

**To właśnie to podtrzymuje mnie
na drodze przez życie.**

ANTHONY HOPKINS

29 XII 2020

Mateusz Talbot

„O najśłodszy Jezu, zniszcz we mnie wszystko, co jest złem, niech to wszystko złe obumrze. Zniszcz we mnie wszystko, co jest występne i samowolne. Wyniszcz wszystko, co Ci się nie podoba we mnie, usuń wszystko, co jest moje własne. Daj mi prawdziwą pokorę, prawdziwą cierpliwość i prawdziwą miłość. Użyj mi doskonałego panowania nad moim językiem”.

Tę modlitwę zanosił do Boga alkoholik, abstynent i później apostoł trzeźwości, a obecnie Sługa Boży Mateusz Talbot, kandydat na ołtarze, który urodził się 2 maja 1856 r. w Dublinie. Był drugim z dwanaściorga dzieci Karola i Elżbiety z domu Bagnall. Rodzice jego należeli do Sodalicii Niepokalanego Poczęcia. Mateusz wraz z całą rodziną co wieczór odmawiał różaniec.

Do ósmego roku życia był dzieckiem wesołym i psotnym. Z uwagi na ciężkie czasy w latach 1864-1865 i 1867-1868 rodzice posłali go do katolickiej szkoły, w której nauczył się tylko czytania, pisanie i podstaw rachowania oraz otrzymał dobre przygotowanie religijne, przygotowujące go do sakramentów: pokuty, Eucharystii i bierzmowania.

Upadek i nawrócenie

W wieku dwunastu lat opuścił szkołę i został najpierw chłopcem na posyłki w firmie Edwarda i Jana Burke, która zajmowała się handlem winem i piwem. Część zarobków otrzymywał w bonach towarowych, które realizował w firmowym sklepie w formie napojów alkoholo-

lowych, przez co stał się on między dwunastym a trzynastym rokiem życia ofiarą nałogu alkoholowego. Jego ojciec, nie dość, że używał wobec niego przemocy, myśląc, że zawróci go w ten sposób z tej zgubnej drogi, to jeszcze stanowiąc dla niego zły przykład, bo też był alkoholikiem. Po czterech latach postarał się dla niego o pracę gońca w porcie, aby go mieć na oku, ale syn się nie poprawił, ponieważ stał się namiętym wielbicielem whisky.

Po kolejnych dwóch latach, kiedy Mateusz miał osiemnaście lat, został zmuszony przez ojca do pracy w firmie budowlanej. Razem z kompanami od kieliszka przepijał prawie wszystkie zarobione pieniądze w licznych knajpach i oberżach Dublina. Gdy brakowało mu pieniędzy, sprzedawał nawet buty, kupował także alkohol na kredyt. Posuwał się nawet do kradzieży.

W ciągu tych wszystkich lat nałogu wypalało się w nim życie duchowe, chociaż nadal, ze starego nawyku, brał udział w niedzielnych nabożeństwach, a wychodząc do pracy, czynił jeszcze znak krzyża i odmawiał „Zdrowaś Maryjo”. W tym trudnym okresie towarzyszyła



mu wytrwała modlitwa matki, która, podobnie jak św. Monika, modliła się nieustannie za syna. I tak jak św. Monika, doczekała się jego nawrócenia.

Początek tej przemiany miał miejsce pewnej soboty 1884 roku. Stojąc ze swoim bratem Filipem na rogu ulicy i czekając na powracających z pracy kolegów, spodziewał się, że zaproszą go do pubu i postawią kieliszek wódki. Niestety, pozdrowili go i przeszli obok niego obojętnie. To niekoleżeńskie ich zachowanie okazało się dla niego wstrząsem. Milczący i przygnębiony, wcześniej wrócił do domu, ku zdumieniu swojej matki, z którą podzielił się

mocnym postanowieniem złożenia przyrzeczenia abstynencji. Wkrótce Mateusz udał się do kościoła Świętego Krzyża, przy którym istniała Liga Trzeźwości, wypowiadał się u ks. dr. Keane'a po raz pierwszy po trzech latach i złożył przyrzeczenie trzeźwości na trzy miesiące. Nazajutrz uczestniczył we mszy świętej, podczas której przystąpił do komunii świętej, aby nabrać sił do walki ze swoimi nałogami.

Życie w trzeźwości

Pracę rozpoczął o godzinie 6.00, a godzinę wcześniej brał udział we mszy świętej. Po pracy, by uniknąć sposobności powrotu do nałogu, udawał się do któregoś z kościołów, gdzie ukryty w ciemnym kącie, gorliwie modlił się o siłę wytrwania. Walka była trudna: alkohol pociągał, modlitwa sprawiała trudności.

Modlitwa przed tabernakulum szereg razy dziennie i wsparcie matki, do której miał zaufanie, były dla niego wielką pomocą. Pomimo tego, wkrótce po zaprzestaniu picia, gdy chciał wejść do kościoła, powstrzymywała go jakby silna dłoń, niepozwalająca mu wejść do wnętrza. Dopiero za trzecim razem, po wezwaniu pomocy Bożej, zdołał ten opór przezwyciężyć.

Natomiast innym razem w niedzielę, jak zwykle uczestnicząc we mszy świętej, mając przystąpić do komunii świętej, wpadł w obsesję, że może wrócić do spożywania alkoholu i że jego pobożne wysiłki i ćwiczenia są daremne, a walki staczane przez niego – bezcelowe. Wyszedł przygnębiony z kościoła

i błąkał się po ulicach. Wreszcie wstąpił do katedry, by uczestniczyć w pełni w mszy świętej o godzinie 8.00.

Przed komunią świętą znów wróciła rozterka z tak gwałtowną siłą, że musiał wyjść z kościoła i wpadł w rozpacz. To samo powtórzyło się i w trzecim kościele. Ponownie wrócił do pierwszego kościoła, ale nie miał już siły wejść do wnętrza. Rzucił się na stopnie i modlił się z rozkrzyżowanymi rękoma, prosząc Matkę Najświętszą o pomoc i po dziesięciu minutach został uwolniony z rozpacz, wszedł do kościoła i przystąpił do komunii świętej. Cała ta walka trwała trzy godziny.

Wraz z porzuceniem nałogu pijaństwa walczył i z nawykiem przeklinania. Przypiął sobie do rękawa dwie szpilki w formie krzyża, by ich widok przypominał mu, że z miłości do Ukrzyżowanego przyrzekł więcej nie przeklinać.

Jeszcze przez kilka pierwszych lat od chwili zwrotnej trwała w nim walka z nałogami. Przez dalsze czterdzieści lat Mateusz pozostaje pod wpływem niezakłóconego już gwałtownymi rozterkami działania Boga w duszy.

Bardzo przeżywał to, że zmarnował szesnaście lat życia przez nałóg pijaństwa. Powiedział kiedyś: „W młodości, z powodu pociągu do alkoholu, niewiele sobie robiłem z religii i to zламаło prawie serce mojej matki”. Postanowił, że musi pokutować za pijaństwo, jakiemu oddawał się w młodości. Pragnął jak najbardziej upodobnić się do Jezusa, rozpoczął surowe życie pokutnika. Ciężko pracował. Jadł i spał mało. Sypiał na gołych deskach i drewnianej podusz-

ce, tuląc do serca figurkę Matki Bożej z Dzieciątkiem. Nazywał Ją Królową i często powtarzał: „Nikt nie wie, czym ta Królowa jest dla mnie”. Codziennie odmawiał różaniec, jak to się działo w jego rodzinie w czasach dzieciństwa. Był gorącym czcicielem Matki Bożej. To do Niej zwracał tymi słowami: „O Dziewico, proszę tylko o trzy rzeczy: o łaskę Boga, o Jego obecność i o Jego błogosławieństwo”.

Poza tym życie duchowe pogłębiał przez codzienną lekturę Pisma Świętego, jak i studiowanie dzieł teologicznych, np. kard. Newmana czy św. Franciszka Salezego. Posiadał sporą bibliotekę życiorysów świętych. Został też w tym okresie życia apostołem miłosierdzia i misji. Poza skromnym utrzymaniem, resztę ciężko zarobionego wynagrodzenia wydawał na cele dobroczynne, a także na misje, szczególnie w Chinach. Ta uciążliwa praca nad samym sobą doprowadziła go do zjednoczenia z Chrystusem, z którym spotkał się twarzą w twarz 7 czerwca 1925 r., w niedzielę Trójcy Świętej. Tego dnia, podążając na mszę świętą do kościoła Świętego Zbawiciela, zmarł nagle. Wielki czciciel Eucharystii został pochowany w uroczystość Bożego Ciała na dublińskim cmentarzu w brązowym habicie członka III Zakonu św. Franciszka ze swoimi pokutnymi łańcuchami.

W 2006 r. w Irlandii ogłoszono go patronem walczących z nałogiem alkoholizmu i patronem wielu organizacji charytatywnych, które pomagają osobom uzależnionym od alkoholu i narkotyków.

ks. Józef Orchowski

Potrzeba nam wolności ducha!

O trzeźwości inspirowanej Mateuszem Talbotem rozmawiamy z ks. Leszkiem Marciniakiem.

Spotykamy się pierwszego sierpnia – w miesiącu trzeźwości. Episkopat Polski wzywał, aby tego dnia wstrzymać się od używek, nie tylko od alkoholu, w duchu jedności z tymi, którzy są uzależnieni, w myśl słów Ewangelii: „[...] jedni drugich brzemiona noście”. Na czym polega ta idea i jak ją wcielić w życie?

Nieraz się wydaje, że takie działania nie mają sensu, bo Polacy piją coraz więcej i zdaje się, że teraz już przypada paręnaście litrów spirytusu na głowę w Polsce, to jest strasznie dużo alkoholu, jeśli przeliczyć na tych, którzy piją, ale Pan Jezus powiedział: *proście – otrzymacie*. Trzeba nieustannie trwać w tej modlitwie, wypraszając ducha trzeźwości i abstynencji w naszym narodzie. Może nasza modlitwa nie uratuje całego narodu, ale może ocali dziesiątki, setki, a może tysiące tych, którzy popadli w ten nałóg i każdego dnia walczą, żeby się z niego wyzwolić.

Uważam, że właśnie w sierpniu – w okresie kiedy są wakacje, kiedy ludzie grillują, piją piwo, bywają na różnych imprezach, na których jest alkohol – należy ofiarować swoją abstynencję po to, aby uratować niewielu, a może i wie-

lu, w naszej ojczyźnie od nałogu pijaństwa.

Czy to wyzwanie nie wydaje się podwójnie trudne w czasie wakacji? W sierpniu mamy dożynki, które wielu osobom kojarzą się z pićciem alkoholu... A tu Episkopat wzywa do trzeźwości. Niektórzy podchodzą do alkoholu jak do rozrywki, która „się należy”. I tym trudniej jest podjąć wyzwanie w czasie, kiedy jest wiele pokus.

Ale właśnie ten duch pokuty z naszej strony może przynieść efekt. Nie tylko pokuta, lecz także modlitwa, umartwienie, rezygnacja z przyjemności mogą przynieść dobre skutki dla przyszłych pokoleń.

Nie wiemy, kiedy nasza modlitwa zaowocuje, czy w tym roku, czy za 10 lat, czy za 15. To jest tak jak z beatyfikacją Mateusza Talbota. Czekamy na nią, modlimy się o nią, ale na pewno w końcu ta modlitwa przyniesie efekt. I w momencie beatyfikacji odczytamy, że to jest najważniejszy moment, żeby on został ogłoszony błogosławionym.

Skąd księdza inspiracja Mateuszem Talbotem?

**Poprzez wolność każdego z nas
zrodzi się autentyczna wolna
ojczyzna. Módlmy się o to
i życzymy sobie, aby Polska
była wolna od wszelkiego
rodzaju uzależnień.**



Sześć lat temu zostałem wyrzucony z parafii za alkoholizm, trafiłem do bardzo dobrego ośrodka terapeutycznego, przeszedłem terapię i zamieszkałem we wspólnocie alkoholików i narkomanów po terapii. Zamieszkał tam z nami diakon, który nie był uzależniony, ale chciał dojrzeć do swojego kapłaństwa.

I pewnego dnia tak on do mnie powiedział: „Słuchaj, znalazłem kandydata na ołtarze, który jest alkoholikiem”. I tak rozpoczęła się moja przygoda z Mateuszem Talbotem. Myślę, że teraz już Mateusz czuwa nade mną, żebym był autentycznym świadkiem trzeźwienia, księdzem alkoholikiem, który potrafi pokazać swemu środowisku, że można żyć bez tej używki.

Jakie cechy świętości Mateusza Talbota zrobiły największe wrażenie na księdzu?

Przede wszystkim to, że potrafił codziennie realizować przykazania Boże; że w każdym człowieku widział samego Jezusa. Starał się w miarę środków pomagać tym, którzy tego potrzebowali. Był człowiekiem otwartym na niesienie miłości drugiemu człowiekowi. A jednocześnie był apostołem dobra, spokoju, radości i przestrzegał tego, żeby wokół niego było piękne słownictwo. Żeby nie było ludzi, którzy przeklinają, wypowiadają złe słowa. To jest fascynujące, co ten człowiek w swoim życiu robił.

Drugim, co zrobiło na mnie wrażenie, było to, że chłopak, który uciekał ze szkoły, zaczyna czytać. I to nie jakieś banalne książki – zaczyna czytać wielkie dzieła. Dzięki łasce Boga potrafi zrozumieć to, co czyta. To jest wielki dar od Boga, że ten prosty człowiek potrafił tak głęboko zanurzyć się w rozmyślania na temat Boga. Tego dokonać mógł tylko Talbot, który całkowicie i bez reszty zaufał Panu Bogu. Oddał się Mu do końca.

W Polsce ukazała się książka „Matt Talbot. Święty alkoholik”. Jest w niej ukazany rys świętości Mateusza. Pojawia się pytanie, czym może Talbot zainspirować przeciętnego Polaka, takiego, który żyje wiarą od niedzieli do niedzieli? Co takiego jest w Mateuszu Talbocie, co inni powinni wziąć pod uwagę i zapamiętać?

Myślę, że taką rzeczą jest bycie chrześcijaninem w każdej chwili i każdego dnia. Talbot się „ładował” w kościele – oddawał się modlitwie, sakramentom świętym – a po wyjściu z niego dalej realizował swoje chrześcijańskie życie, to codzienne. Wśród swoich ludzi, swoich znajomych.

Myślę, że ta książka będzie docierać do osób świeckich z tego względu, że Mateusz był człowiekiem świeckim; że autorem tej publikacji nie jest ksiądz i że nie opowiada ona o księdzu; że jest o człowieku, który pracował fizycznie, mieszkał ubogo wśród ludzi, wśród rodzin, wśród kolegów, z którymi na co dzień przebywał. I on był autentycznym apostołem Chrystusowej miłości

wobec nich. I myślę, że on może w ten sposób zarażać tych, którzy wyszli z nalogu – bo przecież wielu wychodzi – żeby byli apostołami trzeźwienia w swoim środowisku. I warto byłoby, żeby Mateusz stawał się dla tych ludzi inspiracją do tego, żeby potrafili oprócz tego niesienia trzeźwości nieść także wartości, o których Mateusz mówił całym swoim życiem. Przede wszystkim myślę o słownictwie.

Byłoby fantastycznie, gdyby ludzie zaczęli zachwycać się Mateuszem i próbowali na co dzień żyć tak jak on. Nie chodzi o to, żeby zakładali łańcuchy, żeby się biczowali, żeby codziennie chodzili do kościoła. Ale żeby byli zjednoczeni z Panem Bogiem w niedzielnej eucharystii, w sakramentach, a na co dzień byli takimi apostołami autentycznego dobra, jakie niósł z sobą Mateusz. Miesiąc trzeźwości, miesiąc abstynencji.

Wielu z nas jest na drodze trzeźwienia. Wiele osób dobrowolnie podejmuje w tym miesiącu abstynencję. Módlmy się, aby jak najwięcej Polaków podejmowało ją dla dobra naszej ojczyzny. Ojczyzna tonie. Tonie właśnie w alkoholu, młodzi toną w narkomanii, w różnego innego rodzaju uzależnieniach, a nam potrzeba wolności. Nie tylko wolności politycznej, geograficznej. Potrzeba nam wolności naszego ducha. Każdego z nas.

Poprzez wolność każdego z nas zrodzi się autentyczna wolna ojczyzna. Módlmy się o to i życzymy sobie, aby Polska była wolna od wszelkiego rodzaju uzależnień.

Rozmawiał Marek Woś

Wyjście na wolność, jakkolwiek dobrze się kojarzy, to zawsze ryzyko powrotu do starych przyzwyczajeń, złego towarzystwa, nałogów, a nawet bezdomności.

O wolności trzeba myśleć więc jak o wyzwaniu. Warto zawczasu zacząć odbudowywać relacje z rodziną i przyjaciółmi, w razie potrzeby rozważyć podjęcie terapii.

W O L



N O Ś Ć

Dlaczego pomaga Pani osadzonym?

Ja tego nie wymyśliłam. Po prostu Pan Bóg miał dla mnie taki plan. Z wykształcenia jestem inżynierem, potem zrobiłam czeladnika krawiectwa. Nigdy nie lubiłam szyć, ale z pewnych powodów musiałam się tym zająć. Później nabrałam doświadczenia przy opiece nad osobą niepełnosprawną. Wtedy zaczęłam się zastanawiać, kogo społeczeństwo zaakceptowałoby szybciej – osobę niepełnosprawną czy mordercę, ponieważ w tym czasie dziecko mojej znajomej zostało uduszone dla okupu przez sąsiada. Po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że... mordercę.

I tak ucząc się świata osób niepełnosprawnych, zaczęłam też zmieniać swoje postrzeganie na temat osób osadzonych. Skoro potrafiłam już opiekować się osobą niezdolną do samodzielnego funkcjonowania, Pan Bóg skierował mnie do skazanych ale jak powiedział Jan Paweł II – nie potępionych i jeszcze dał nadzieję, że każdy z nich przy pomocy łaski Bożej może zostać świętym!

Skąd wziął się pomysł na Stowarzyszenie?

Nigdy bym nie pomyślała, że zacznę się tym zajmować. Przyszło to do mojego życia w czasach, kiedy byłam tak zmęczona życiem i problemami wokół mnie, że nie miałam miejsca na jakieś swoje zainteresowania, pasje. Byliśmy z mężem w ruchu Światło-Życie i organizowaliśmy rekolekcje. Na jedne z nich



Fot. Agata Piłarska-Jakubczak

zaprośmy perkusistę zespołu Skaldowie – Jana Budziaszka, który, jak się okazało, już wtedy jeździł na spotkania do więzień i poprawczaków.

I tak narodził się pomysł zorganizowania spotkania w zakładzie karnym, które Budziaszek opatrywał tytułem: „Tajemnica sukcesu w 15 odcinkach” (wtedy jeszcze było 15 tajemnic różańca). Po roku przerwy zaplanowałam ponowne „wejście” do więzienia.

Tym razem zaprosiłam do zakładu karnego Kazimierza Pawłowskiego – recydywistę, który po swoim nawróceniu otrzymał dar malowania obrazów i tworzenia poezji, a jeszcze podczas odbywania kary założył w więzieniu Bractwo Modlitwy i Trzeźwości ARKA.

Samarytanka od zakładów karnych

Anna Stranz jest matką, żoną i kimś, kto swoją niesłabnącą energią przypominać może nieco słynną serialową „kobietę pracującą” znaną z legendarnego serialu „Czterdziestolatek”. Prowadzi Bractwo Więzienne Samarytania, w którym wraz z bratem Tadeuszem i innymi wolontariuszami wspiera osadzonych w powrocie do nowego życia.

Za swoje zasługi w ewangelizacji więźniów otrzymał błogosławieństwo papieża Jana Pawła II i nagrodę Prison Fellowship International. Osadzeni zafascynowani niezwykłym świadectwem Kazimierza wystąpili oficjalnie do dyrektora aresztu o założenie takiej ARKI u nich. I od tego czasu aż do pandemii co tydzień spotykaliśmy się na ARCE w więzieniu w Bydgoszczy i w sąsiednich miastach.

Działamy prawie 20 lat, aktualnie jako Bractwo Więzienne Samarytania – wcześniej jako Oddział kujawsko-pomorski krajowego Stowarzyszenia. Wciąż pojawiają się nowe osoby, którym trzeba pomóc. Na szczęście z biegiem czasu nawiązaliśmy współpracę z innymi podmiotami w kraju, które również pomagają skazanym. Stworzyliśmy sieć pomocy postpenitencjarnej, którą udostępniamy osadzonym, kuratorom i zakładom karnym.

Weszliśmy w struktury społeczne – do Kujawsko-pomorskiej Rady do spraw Readaptacji Pomocy Skazanym,

do Powiatowej Rady Rynku Pracy, do Porozumienia w walce z bezdomnością.

Jakiej pomocy osadzeni mogą szukać w Stowarzyszeniu?

Bractwo Więzienne nie jest wspólnotą ludzi skazanych. Zrzeszamy wolontariuszy z różnych wspólnot, którzy chcą pomagać osobom za kratami. Czasem potrzeba rozmowy, innym razem pokierowania na rynku pracy, niekiedy wystarczy po prostu dać parę groszy czy reklamówkę z jedzeniem albo wskazać załatwić miejsce tymczasowego zamieszkania i pomocy socjalnej.

Przestrzegamy osadzonych, jak z zakładu karnego nie trafić „pod most”. Wychodząc z zakładu karnego nasi Bracia zderzają się z inną rzeczywistością, często nie mają pracy i lokum, a muszą „dogonić świat” i wywiązać się przed komornikiem. Nie mając wsparcia żyją chwilą, przez co żelazna kasa, nawet za sobna, starcza na dwa tygodnie. Szczególnie ci, których wyroki były dłuższe,

tracą kontakt z realiami funkcjonowania na wolności. Dlatego potrzebne jest wsparcie rodziny, osób bliskich czy naszego Bractwa w przygotowaniu do wolności.

Osadzonym w zakładach karnych wysyłamy książki, czasopisma i inne materiały, które mają ich zainspirować do refleksji nad własnym życiem już w więzieniu. Organizujemy dla nich, pomijając czasy pandemii, spotkania, rekolekcje i konkursy, wyjścia readaptacyjne.

Ostatnio wydaliśmy książkę „Listy zza krat do św. Jana Pawła II” napisaną przez więźniów, laureatów konkursu „Więźniowie w hołdzie św. Janowi Pawłowi II”. To piękne teksty, w których centrum jest wiara w Boga, wdzięczność i szacunek dla Papieża Polaka. To historie o tym, jak wielki wpływ na ich przemianę ma do dzisiaj święty Jan Paweł II. Nakład książki jest niewielki ale znaczna ilość została przekazana do zakładów karnych. W internecie można pobrać e-book za darmo.

W przygotowaniu jest audiobook, w którym „Listy zza krat..” czytają Barbara Jurczyńska – wolontariuszka Bractwa i Jerzy Zelnik – aktor i reżyser.

Jak wielu osadzonym udaje się realnie pomóc?

To czy komuś uda się pomóc zależy głównie od niego samego. Przez lata działalności Stowarzyszenia, przewinęło się tu wiele osób. Większość podopiecznych odeszła z przestępczego życia. Pracują, odzyskali swoje rodziny,

a nawet ewangelizują i pomagają innym. Niestety, są też tacy, którzy szybko wrócili do dawnego, nazwijmy to „stylu życia”. Są tacy, którzy krótko po wyjściu przestają się odzywać, chcą zapomnieć o przeszłości i szukać własnej drogi. Inni przeciwnie, dążą do utrzymania kontaktu, korzystają ze wsparcia i chwają się swoimi osiągnięciami.

Nawrócenie jest procesem i resocjalizacja też jest procesem. Warto tu wspomnieć o zniewoleniach duchowych i o uzależnieniach, wobec których człowiek jest zazwyczaj bezradny. Dlatego jest istotne czy człowiek chce zmienić swoje życie o własnych siłach – wierzy, drży a nie słucha Boga czy współpracuje z Bogiem, który ma najlepsze *Wi-Fi* i zna nawet nasze ukryte myśli, a przede wszystkim ma władzę nad demonem. Dlatego tak ważna jest Boża resocjalizacja, która łączy wiarę i rozum.

Boża resocjalizacja w więzieniach?

Tak, czyli interwencja Pana Boga w serca skazanych. Pomyślałam sobie, że jest tak wiele dni w kalendarzu poświęconych różnym zawodom, a dnia poświęconym więźniom nie ma. Zwróciłam się z ramienia Bractwa, przy poparciu Naczelnego Kapelana Więziennictwa a także założyciela Bractwa Więziennego, do Episkopatu Polski i się udało. W 2009 roku został ustanowiony Ogólnopolski Dzień Modlitw za Więźniów czyli każdego roku w dniu 26 marca w Kościele w Polsce szczególną modlitwą otaczamy osadzonych w zakładach

karnych. Tego dnia pielgrzymki wolontariuszy, kapelanów, byłych osadzonych i tych z trwającymi wyrokami miały miejsce wiele razy. To niezwykle przeżycia. Pamiętam szczególnie drogę krzyżową na jasnogórskich wałach z udziałem osadzonych w zakładzie karnego w Lublińcu. Kobieta, która odgrywała rolę świętej Weroniki podczas drogi krzyżowej, tak bardzo wczuła się w tę sytuację i była tak poruszona, że faktycznie zalała się szczerymi łzami.

To są piękne momenty, które „zabierają serca z kamienia a dają serca z ciała”. Takie sytuacje dają nam wszystkim poczucie, że działanie Samarytania ma wielki sens. Dla naszych podopiecznych pielgrzymki to taka chwila wytechnienia i nieprzemijające doświadczenie.

Czy wspieracie także tych, których wyroki są długie?

Tak, właściwie sporo osób, które się z nam kontaktują, to osoby, które mają długie wyroki. Kiedy dzwoni do nas taki osadzony, który ma wyrok 25 lat lub więcej, domyślamy się, za co siedzi. Ale oni też potrzebują pomocy, wsparcia, a czasem po prostu wysłuchania. My nie pytamy, za co jest wyrok. Interesuje nas tylko to, w czym możemy pomóc, ale przede wszystkim pojednanie z Bogiem i z ludźmi, a także wynagrodzenie za popełnione zło... Tak, żeby odbywanie tej kary, poza izolacją jako taką i odpłatą społeczną, miało sens. Żeby było świadomie przeżywaną pokutą.

Co stanowi największe wyzwanie w byciu wsparciem dla osadzonych?

Naszym celem jest zaoferowanie takiego rodzaju „mentoringu”, w którym wolontariusz staje się takim „kumplem” i przyjacielem osadzonego. Żyjemy





w innych światach i tylko na płaszczyźnie Bożej miłości można zdobywać zaufanie, dzielić się wiarą, doświadczeniem i budować owocne relacje z osobą, która ma zwykle za sobą bardzo trudną historię. Tutaj nieocenioną rolę odgrywają świadectwa skazanych, którzy przewartościli swoje życie, pracują i wspierają naszą ewangelizację.

Chcemy aby nasze siostry i bracia za kratami uwierzyli w siebie tak bardzo, jak my wierzymy w to, że ich życie może się zmienić na lepsze.

A jak radzą sobie ci, którym powrót do społeczeństwa się powiódł?

Przede wszystkim zarabiają na chleb własnymi rękami, ich życie oparte jest na nowych wartościach, płynących z Ewangelii. Teraz sami nas wspierają duchowo. Są naszym „pogotowiem modlitewnym”. Niektórzy – na zasadzie wyjątku – wstępują do naszego Bractwa.

Księga Powtórzonego Prawa mówi: „Patrz! Kładę dziś przed tobą życie i szczęście, śmierć i nieszczęście. Ja dziś nakazuję ci miłować Pana, Boga twego, i chodzić Jego drogami, pełniąc Jego

polecenia, prawa i nakazy, abyś żył i mnożył się, a Pan, Bóg twój, będzie ci błogosławił w kraju, który idziesz osiąść...” (Pwt 30, 15-16).

Oni dokonali wyboru. Obrali Jezusa jako swojego Pana i Zbawiciela Zaanżowali się w tę nową drogę tak bardzo, że osiągnęli sukcesy nie tylko w życiu prywatnym ale również w ewangelizacji, tak jak Paweł Cwynar, Piotr Fabiś, Andrzej Szlachtowicz czy Tomek Koncewicz... Każdy z nich podkreśla, jak wielką rolę w budowaniu tego nowego życia ma Pan Bóg. Przemiana tych ludzi, z takich, jakimi byli kiedy trafili do zakładu karnego, w ludzi pełnych wiary w cuda i w nieskończoną miłość Boga, jest niezwykła. Niektórzy sami mówią, że jakby tego nie doświadczyli, nie uwierzyliby, że to możliwe.

Jak osadzeni mogą się do Państwa zwrócić?

Można nas znaleźć za pośrednictwem internetu ale również otrzymać w zakładzie karnym dane do kontaktu u wychowawcy.

Dziękuję za rozmowę!

Rozmawiała nk

Adres pocztowy:

**Bractwo Więzienne Samarytania
skr. poczt. 165
85-950 Bydgoszcz 1
tel. kom. 531 577 585**



**K. Pawłowski: „Hiob”
Pastel olejny**

Kazimierz Pawłowski

Wiele lat tkwił w uzależnieniu alkoholowym, trafił do więzienia, po odzyskaniu wolności został bez dachu nad głową. Bezdomność, beznadzieja i... niespodziewane duchowe przebudzenie.

Kazimierz tak wspominał dawne życie: „Przez 35 lat, nie znając Boga i wiary, szedłem przez życie kłamiąc, kradnąc i zabijając siebie alkoholem, lekami, narkotykami. Ceniłem tylko te wartości, które znajdują się na topie współczesnego świata... Czyniłem zło i zło zbierałem; do końca zakłamany, nie widzący swoich grzechów, win i całej tej zgnilizny w sobie, uważałem, że wszyscy inni mnie krzywdzą, nie rozumieją i dlatego to zło mnie spotyka. Zacząłem nienawidzić świata, ludzi, a po jakimś czasie i siebie.”

W 1993 przyjął chrzest i stał się nowym człowiekiem, założycielem grup modlitewno-trzeźwościowych „Arka” w więzieniach. W 1996 roku odkrył w sobie nową pasję: malarstwo. Fascynował się twórczością Pabla Picassa. Swój styl artystyczny nazwał *surrealizmem sakralnym*. Obrazy prezentował na licznych wystawach w kraju, ale i za granicą.

Zmarł 23 grudnia 2014.

Marek Woś



Kazimierz Pawłowski w pracowni

Fot. Artur Kubasik

K. Pawłowski: „Wiara?”
Pastel olejny



Już nie umiałem czynić dobrze

Piotr, skazany na 11 lat, wychodzi po 8,5. Opowiada o odzyskaniu wolności: tej fizycznej i duchowej. Autor książki „Wolność, jaką daje Bóg”. Obecnie cały wolny czas poświęca na budowę kościoła.

Panuje przekonanie, że z więzienia wychodzi się takim samym albo gorszym, niż się weszło. Ale ty spotkałeś w więzieniu... Jezusa. Wyszedłeś lepszy?

Przed więzieniem popadłem we wszystkie problemy, jakie tylko są możliwe. Czyli uzależnienie od narkotyków, alkoholu, psychotropów, a jak już doszła kokaina, to się wszystko posypało. Bo żeby zasnąć, piłem alkohol. Żeby się uspokoić, brałem jakieś tabletki. Żeby zdobywać pieniądze na narkotyki, nauczyłem się kłamać, oszukiwać. W tym byłem wyspecjalizowany. Tak mnie pociągnęło to zło, że ja już nie umiałem czynić dobrze. Aż przyszła kryśka na Matyska.

Spraw się tyle uzbierało, że nie było innego wyjścia, jak tylko mnie zamknąć w więzieniu. Byłem zagrożeniem nie tylko dla swojej rodziny i dla ludzi, których oszukiwałem, ale też dla siebie samego.

Jaki wyrok?

Dostałem 24 lata więzienia. Tak Pan Jezus pokierował, że mi to wszyst-

ko zbił do 11, a po 8,5 roku mnie wypuścili za dobre sprawowanie.

Tam, w więzieniu nikogo nie było ze mną. Zobaczyłem, że koledzy nie mogą mi pomóc, że mama, siostra są bezradne. Że ogromu tych spraw nikt nie jest w stanie ogarnąć. Zobaczyłem, że żaden człowiek nie może mi pomóc. Powiedziałem w modlitwie: „Panie Boże, ja po prostu nie potrafię swoim życiem kierować, bo jeżeli tak się uzależniłem od wszystkiego i doprowadziłem do takiego zniewolenia, to znaczy, że nie potrafię. Tyle wyroków mi się zbiera. Pomóż mi i poprowadź mnie. Wyzbawiam się swojej woli, będę się starał podporządkować Tobie. Niech na mnie spadną jakieś ciężary, czy doświadczenia. Proszę, uratuj mnie!”

Wtedy zacząłem interesować się tym, co się dzieje w więzieniu. Okazało się, że przychodzą tam ksiądz oraz siostry.

Siostry zakonne?

Nie. Z neokatechumenatu i z bractwa więziennego. Przychodzą na

każdy oddział na dwie godziny. Od-
mawiają koronkę do miłosierdzia,
czasem różaniec. Przynoszą Pismo
Święte, obrazki, rozmawiają. Mówią
o Chrystusie, to znaczy mówią, jaki
jest Chrystus, kim On jest.

Kiedy zacząłem się modlić, Pan
Bóg dawał mi już dobre myśli. Przede
wszystkim na początku pokazał mi
ogrom tego zła. To było trudne, ale
było potrzebne... Pokazał mi, jaką
krzywdę robiłem żonie, dzieciom, jak
oni cierpieli. Otworzyły mi się oczy.
Pokazał, jak upokarzałem siebie uza-
leżnieniami. Jak bardzo dałem się po-
nieść przez szatana. Pokazał mi róż-
nicę między dobrem a złem. I ja po
prostu już Go zacząłem słuchać.

Wiele odpowiedzi na moje pytania
dawał mi właśnie ksiądz i siostry. Tak
jakby byli jego ustami. On odwiedzał
mnie regularnie i bardzo się angażo-
wał. To, co czułem i myślałem, po-
twierdzało się w ich słowach. Takiego
Chrystusa poznawałem i tak to się
kształtowało. Na początku jeszcze da-
lej żyłem w swoich problemach, bo
i wódkę piłem, i narkotyki brałem.

W więzieniu?

Tak. Tłumaczyłem Panu Jezusowi,
że ja nie mogę przestać, bo ja jestem
uzależniony. Bo wiesz, ja nie wiedzia-
łem, jak to jest żyć bez narkotyków.
Dostawałem, jak to się nazywa, nie-
uzależniające środki psychotropowe
na uspokojenie. Trafiłem do więzienia
po ośmiu latach ćpania. Myślałem, że
nie ma dla mnie życia bez narkotyków

i tam je załatwiałem. Stąd, stamtąd
i miałem. Pan Jezus cały czas mi mó-
wił poprzez Pismo Święte, żebym sta-
rał się odejść od świadomego zła.
Ksiądz i siostry tłumaczyli mi, że jeśli
coś wydaje się niemożliwe, ale zary-
zykuję i postaram się od tego odejść,
to Jezus mi pomoże. I tak malutkimi
kroczkami rzucałem nałogi, ale nar-
kotyków nie.

W końcu rzuciłeś.

W pewnym momencie Pan Jezus
dał mi takie doświadczenie. Stało się
coś, co mogło zawążyć na moim wy-
roku, na tym, że nie mógłbym wyjść
wcześniej. Wtedy zacząłem się mod-
lić. Mówię: „Panie, widzę jakie to jest
złe. Teraz grozi mi kara. Ja już odstę-
puję od tego. Nie chcę. Obiecuję Ci,
że skończę z tym”. I On mi dał siłę.

Wtedy sprawa, która normalnie
w więzieniu skończyłaby się jakimiś
problemami, spełzła na niczym. Ura-
tował mnie, nic się nie stało. Od tego
czasu przestałem cokolwiek złego ro-
bić. Zacząłem szukać Pana Boga, bo
On mimo tego wszystkiego, co ja
w życiu zrobiłem złego, dał mi tyle
darów. On pochyla się nade mną, nie
karze mnie, wyprowadza z tego
wszystkiego. Skoro tak, to muszę poz-
nać Boga. I zacząłem Go szukać w Piś-
mie Świętym, które ksiądz mi przy-
niósł też nie od razu, bo chciał naj-
pierw wyczuć, czy ja nie chcę tego
traktować jak zabawkę. Zacząłem je
codziennie czytać. Tak Duch Święty
mnie kształtował.

To były takie moje osobiste interpretacje, czasem złe, ale to wszystko prostowałem z księdzem, z siostrami.

Zacząłem poznawać, że Bóg nas kocha, że On po prostu nic nie chce od nas, nie chce nas skrzywdzić, że On cierpi ze mną w tym więzieniu. Że dla niego najważniejsze jest to, żeby mnie zbawić. Nie żebym miał pieniądze czy powodzenie wśród kolegów, tylko po to, żebym żył wiecznie. Dlatego muszę znieść niektóre ograniczenia, ciężary, lzy, żeby być doskonalszym. I wiesz, co zacząłem zauważać? Że robiąc tak, jak Pan Jezus chce, zbieram dobre owoce. Ludzie mi zaczęli ufać, matka mi zaczęła ufać, zacząłem być zdrowszy. Miałem lepsze myśli.

Pan Jezus okazał się łagodnym Przyjacielem, który po prostu stale był przy mnie. Obojętnie, czy byłem z kolegami, którzy się śmiali ze mnie, czy z takimi, którzy też wierzyli albo mnie straszili.

On zawsze przy mnie był i zawsze mi pomagał, wiesz? I to się objawiało w takich dużych znakach.

Jakie znaki dawał ci Bóg?

Kiedyś Go poprosiłem: „Panie, nie jestem godzien, żebym miał jakieś znaki, bo kim ja jestem? Ale jestem tak słaby i zrozpaczony, że ja bym chciał dostać jakiś znak, bo ja po prostu nie wytrzymam psychicznie, nikogo tu nie mam”. I dostawałem znak, np. czytałem jakieś zdanie i w tym momencie ktoś wypowiadał akurat te słowa, które ja czytałem. To tak jakby mnie klepnął w ramię.

Więzienie mocno ogranicza możliwości grzechu. Jednak w końcu wychodzisz i zderzasz się ze światem, musisz radzić sobie w pełnej wolności. Przeszedłeś do tej nowej rzeczywistości z Panem Jezusem?

Fot. Pixabay/sulksao



Zobacz jaki Pan Bóg jest sprytny, tak kocha nawet niewierzących. Oni o tej „sile wyższej” nie mówią „Bóg”. A tak naprawdę to On im pomaga!

Tak, bo właśnie muszę powiedzieć, że Pan Jezus przygotowywał mnie do tego. Już wcześniej słyszałem z ust niektórych, że „ty nie dasz rady”. Jeden więzień powiedział: „Piotr Pana Boga chce oszukać. W więzieniu tylko się stara, a potem wyjdzie i będzie robił to samo”. Były potem głosy, że jestem zamknięty, nie mam dostępu do pokus, dlatego na wolności nie dam sobie rady. Pan Bóg dawał mi wszystkie opcje do przemyślenia, Przygotowywałem się na to na trzy lata przed wyjściem. Wiedziałem, że jestem narkomanem, alkohikiem, lekomanem.

I co dalej?

Pojawił się pomysł od kolegi, żeby wyjść za pieniądze. On mi chciał pomóc, ale ja sobie pomyślałem, że skoro siedziałem za oszustwa, to jeżeli to ma być coś szemranego, choć nasz kolega chciał dobrze, to ja chcę zaufać Panu Bogu. Powiedziałem koledze: „Nie gniewaj się, wiem, że chcesz mi pomóc, ale ja chcę po prostu, żeby Pan Bóg zadecydował o mnie, nawet jeśli mam siedzieć dwa lata dłużej”. Pamiętam to jak dziś.

Okazało się, że plan Boży był oczywiście dużo lepszy ponieważ musiałem przejść jeszcze sześciomiesięczną terapię, na której dużo się dowiedziałem. Gdybym jej nie przeszedł, być może trafiłbym w dalsze problemy. Ponieważ ja cały czas myślałem, że kiedy wyjdę, to będę sobie piwko pił. Ale jak człowiek jest uzależniony, to nie może ani po piwko sięgnąć, ani po jakąś kreseczkę, ani po nic, bo zaczyna się to samo. I wtedy

właśnie jedno piwko mogłoby spowodować, że za dwa tygodnie bym już pił dwa dziennie, w końcu bym po papieroska szedł, po narkotyk i tak dalej.

Pan Bóg mnie umocnił w całkowitej wstrzeźliwości. Na terapii postanowiłem przed Chrystusem, że nie będę tego robił, To On dał mi taką moc i wyszedłem już po terapii, będąc całkowicie przygotowanym do wolności, nie chcący pić, nie chcący palić, nie chcący brać narkotyków.

Co było dalej, po wyjściu?

Od razu pojechałem do mamy. Miałem takie pragnienie w sercu, po tylu krzywdach, które jej wyrządziłem. Chciałem do niej pojechać, żeby zobaczyć, że jestem dobry, żeby ją umocnić, że nie piję, nie palę, że się będę starał.

Poszedłem do pracy do tego kolegi, bo bardzo mi pomagał już wcześniej. Nauczyłem się na nowo kontaktu z klientami, bo przecież byłem jak zwierzę. Nauczyłem się obsługi komputera, wysyłania maili, nabrałem oglądy.

Tak więc Pan Bóg nie zostawia człowieka ot tak. Kiedy człowiek naprawdę uchwyci się Pana Boga i staje z Nim w prawdzie, takim jaki jest i całkowicie Mu ufa, to mimo tego, że się potyka, że jest słaby, mówi: „Twoja wola niech się wypełnia”. Pan Bóg stoi wiernie przy człowieku. Ważne, żeby przy tym Bogu też stać i ufać. Ja całkowicie Mu się oddałem. Powiedziałem: „Nie chcę nic od nikogo, Panie Boże, chcę tylko od Ciebie to, co Ty dajesz. To jest bezpieczne, Tobie zaufałem, Ty mnie prowadź!”

Nigdy mnie jeszcze nie zostawił, nawet jak na początku szatan mnie straszyl, że jak upadłem, czy zgrzeszyłem, nie wyszło mi, to zaraz miałem lęki, że Pan Bóg mnie teraz ukara, że coś zabierze, że ode mnie odejdzie. A to wszystko Pan Jezus prostował właśnie taką miłością. Ja Go kocham po prostu i chcę być dobry, już nie, że ze strachu, tylko z miłości i wdzięczności. Poznałem już, że Jego drogi są dobre.

Po trzech miesiącach od wyjścia o mało nie najechałem autem na jakąś panią. Wyszedłem i chciałem już ją chyba wyzywać, ale patrzę: siostra z bractwa! „Witam, no to musimy się spotkać!”. Okazało się, że zaczynają się katechezy wprowadzające. Na wszystkich byłem, przyjęli mnie jako jedyne. W ten sposób Pan Bóg mi pomógł no i zacząłem chodzić na Eucharystię. Tam się modliłem, a rano codziennie słucham Słowa Bożego i homilii w Radio Maryja. I tak mnie Pan Bóg trzyma. Jestem już na wolności od 2012 r. i nie chcę pić, nie chcę ćpać, bo to mi nic nie daje. Mam coraz lepsze myśli, jestem coraz zdrowszy, coraz bardziej ludzie mi ufają. Owoce Boże po prostu tak się rozmnożyły, że ja już naprawdę nie chcę. Wiadomo że to z miłości, ale nawet gdyby nie było tej miłości to sama mądrość Boża wychodzi w tych owocach.

Wspominałem o działaniu bractw więziennych. Jak wyglądają takie spotkania?

Zbiera się grupa, 2-3 cele, zawsze jest kilka osób i tam nie ma nawet mowy o tym, żeby coś się stało... Nie

ma powodu, żeby się bać. Wiadomo, że niektórzy przychodzą dla rozrywki, bo w tym areszcie nie mają gdzie wyjść, pójda na pół godziny posiedzieć i się śmieją. Czasem jest to krzyż. Ale być może będzie tak, że jeden się dzień pośmieją, a Pan Bóg tak zrobi, że już za tydzień przyjdą i będą głęboko wierzyć.

To tajemnica Bożego działania, która może skruszyć ich serca. Najważniejsze, że te siostry są, rozumiesz. Bo dla mnie ważne było, nawet takie cuda się działy, że ja sobie myślałem wieczorem: „Panie Boże, jakaś taka sytuacja była w moim życiu. Co ja zrobiłem źle?” albo „Co zrobić w takiej sytuacji?”, bo nie wiedziałem. Modliłem się, na drugi dzień szedłem na bractwo, te siostry same o tym mówiły. Padało jedno zdanie, które dawało mi odpowiedź na moje bardzo trudne zagadnienie. One nawet nie wiedziały, że mi to mówiły. Czy ewentualnie dały mi jakąś książkę, która zmieniła moje postrzeżenie.

Czasem trafiła nagle do moich rąk gazeta więzienna. Tam, gdzie same te pornosy latają, nagle dostałem, bo przekazywałem z okna do okna gazetę. Nagle religijna gazeta do mnie wpadła, tam był artykuł o gościu, który się pomodlił do Chrystusa i na drugi dzień nie palił. Oddał się Chrystusowi właśnie po tym, jak był przestępcą w jakiejś zbrojnej grupie i na *ence*. Pomyślałem, że też rzucę tak palenie, Wyobraź sobie rzuciłem raz. Próba była nieudana. Dwa miesiące później przygotowałem się do tego bardziej modlitwą i przestałem palić po dwudziestu pięciu latach. Naprawdę nie było łatwo, ale nie zapaliłem,

przetrwalem i do dzis nie palę. Po dwudziestu pięciu latach.

I nie przytyłem.

Nie przytyłem bo ćwiczyłem. Cały czas Pan Jezus mi dawał siłę do ćwiczeń. Dla narkomana, alkoholika jest to bardzo ważne. Nie można im zabrać alkoholu, narkotyków i nic w zamian im nie dać. Pan Jezus dał mi ćwiczenia i ja ćwiczę. No i nie wiem, czy znasz się na programie AA – dwunastu kroków? – Przeszedłem ten program w więzieniu i dopiero później do mnie dotarło, że Pan Jezus ze mną przeprowadził to całkowicie w więzieniu, On sam. Ja nawet nie wiedziałem, że przez to przechodzę. Dokładnie wszystkie te etapy z Nim przeszedłem. A na końcu już sam ewangelizowałem. Niosłem tę Dobrą Nowi-

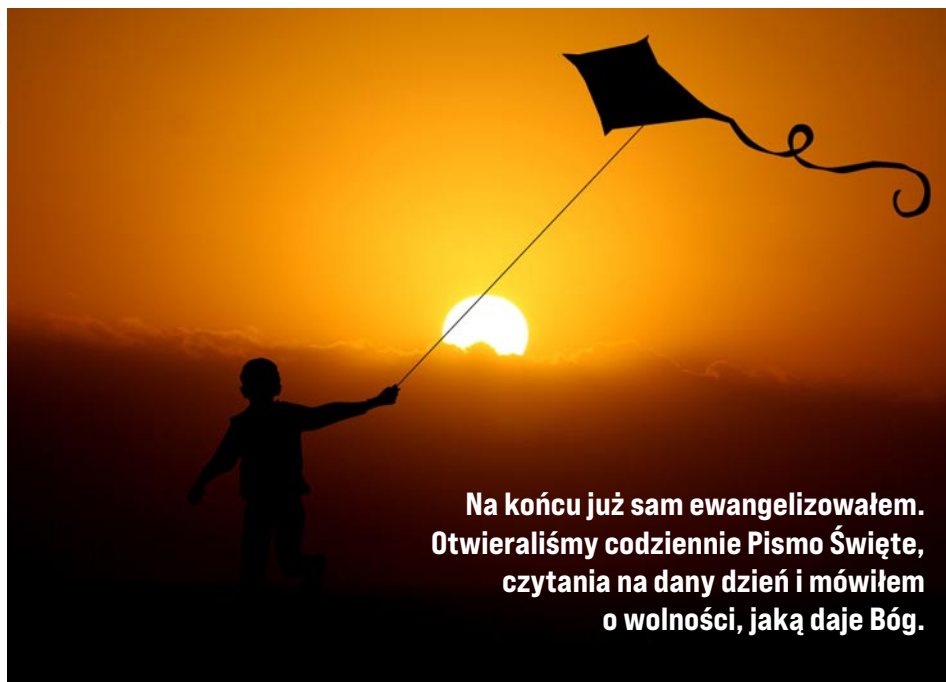
nę. Otwieraliśmy codziennie Pismo Święte, czytania na dany dzień i mówiłem o wolności, jaką daje Bóg ze wszystkich uzależnień i gadaliśmy. Także już ten ostatni krok zacząłem realizować niosąc innym posłanie.

Miałeś najlepszego Terapeutę cały czas przy sobie.

Dokładnie. Zrozumiałem, że uzależniony ma zaufać sile wyższej. To jest po to, żeby nie nakazywać niczego niewierzącym, aby oni też mogli dostać tę drogę i wyjść. Zobacz jaki Pan Bóg jest sprytny, tak kocha nawet tych niewierzących. Oni o tej „sile wyższej” nie mówią „Bóg”. A tak naprawdę to On im pomaga!

Rozmawiał Marek Woś

Fot. Pixabay/rauschenberger



**Na końcu już sam ewangelizowałem.
Otwieraliśmy codziennie Pismo Święte,
czytania na dany dzień i mówiłem
o wolności, jaką daje Bóg.**

Jak odbudować relacje z rodziną

Pobyt w zakładzie karnym połączony z odseparowaniem od rodziny może być szansą na to, aby z pewnego dystansu spojrzeć na relacje rodzinne i rodzicielskie. W końcu któregoś dnia u większości skazanych nastąpi ten moment, gdy wrócą do własnego domu.

Rodzina jest najważniejszym środowiskiem rozwojowym człowieka w którym kształtują się wzorce i postawy życiowe, zarówno pozytywne jak i negatywne. To właśnie rodzina pozwala zaspokajać najważniejsze potrzeby jednostki.

Nie wchodząc w rozważania na temat czynników patologicznych, które zagrażają istnieniu rodziny i realizacji jej funkcji, warto zwrócić uwagę na modele rodziny i style wychowawcze, aby każdy mógł z własnej perspektywy określić, w jakim modelu dotychczas funkcjonował i zweryfikować krytycznie pewne postawy, które osłabiały więzi rodzinne.

Modele rodziny

Rozróżnia się zasadniczo trzy modele rodziny:

I model (zwany *antypersonalistycznym*) polega na tym, że osoba podporządkowana jest bezwzględnie rodzinie i od niej uzależniona, co powoduje, że rodzina w pełni kontroluje swoich członków. Taka rodzina przekazuje wartości i normy, które w niej dominują,

a tym samym mocno ogranicza informacje napływające z zewnątrz (np. z otoczenia sąsiedzkiego). Inaczej mówiąc, to rodzina stanowi wzorce zachowań i postaw, decyduje ona o tym, jakie wartości z otoczenia zewnętrznego należy przyjąć, a jakie odrzucić.

Ponadto relacje członków opisanego modelu rodziny są zhierarchizowane, którzy mają jednocześnie bardzo sztywno wyznaczone role (np. ojciec dominuje, a matka jest mu bezwzględnie podporządkowana, z kolei dziecko zupełnie nie ma nic do powiedzenia, a jego prawa są całkowicie ignorowane).

Negatywnym skutkiem funkcjonowania w takim modelu rodziny jest to, że jeżeli rodzice wyznają wartości i normy sprzeczne z tymi, które podziela większość społeczeństwa, to członkom takiej rodziny bardzo trudno przyjąć te społeczne normy, gdyż normy zachowań są im narzucane przez rodzinę. Mówiąc inaczej, jeżeli w rodzinie funkcjonującej w opisywanym modelu dominują negatywne wzorce zachowań, to osoba, która chciałaby żyć w zgodzie z wartościami społecznymi, będzie miała

bardzo utrudnioną możliwość ich przyjęcia.

Dużym niebezpieczeństwem wiążącym się z tym modelem jest to, że rodzina może przejąć normy i wartości sprzeczne z normami ogólnospołecznymi. Uzależnienie danej jednostki od rodziny i poważne ograniczenie wpływów zewnętrznych powoduje, że do głosu dochodzą bardzo silne czynniki, które są sprzeczne z zasadami społecznymi. Urodzenie się np. w rodzinie złodziei niemal na pewno skazuje takie dziecko na kontynuację rodzinnego „fachu”.

II model (zwany *personalistycznym*) charakteryzuje się tym, że relacje pomiędzy członkami rodziny oparte są na wzajemnym uznaniu i poszanowaniu swojej indywidualnej odrębności. Poszczególni członkowie takiej rodziny nie są od niej silnie uzależnieni, a związki wewnątrzrodzinne oparte są na silnej

więzi emocjonalnej i wzajemnym poszanowaniu niezależności jej członków.

W tym modelu nie występuje tak widoczna hierarchia, jak w modelu I, a role członków rodziny nie są sztywno wyznaczone. Ponadto kontrola oparta jest na uznaniu potrzeby liczenia się z poszczególnymi członkami rodziny i wyznawania wspólnych wartości.

Rodzina taka jest otwarta na wartości i wszystko to, co dzieje się wokół niej. Z tego względu w opisywanym modelu utrudnione jest pielęgnowanie tradycji. Jednakże z drugiej strony w takiej rodzinie łatwiejsza jest zmiana systemu wartości poszczególnych członków, jak również całej rodziny.

III model (zwany *indywidualistycznym*) charakteryzuje się tym, że rodzina stanowi grupę, która jest nastawiona przede wszystkim na zaspokajanie potrzeb jej członków. Relacje pomiędzy jej członkami mają charakter instrumen-



talny. Oznacza to, że istnieją tak długo, jak długo zapewniają one zaspakajanie indywidualnych potrzeb lub wygodne życie.

W takiej rodzinie związki emocjonalne są bardzo słabe. Relacje pomiędzy jej członkami nie są hierarchiczne, lecz może dochodzić do sytuacji, w której ktoś z członków rodziny potrafi uzależnić innych od siebie i wtedy przez określony czas może ich tyranizować. Możliwość ukształtowania się takiej relacji może wynikać z rozmycia się ról odgrywanych przez poszczególnych członków i słabej kontroli wewnątrz rodziny. Taka rodzina jest mocno uzależniona od środowiska zewnętrznego i nie jest w stanie przetrwać pod naporem niesprzyjających okoliczności.

Rodziny funkcjonujące w tym modelu tworzą najgorsze środowisko socjalizujące. Nietrwałość, nastawienie konsumpcyjne jednostek, a w wielu przypadkach nawet hedonistyczne, wobec rodziny może być czynnikiem ograniczającym możliwość realizowania właściwych norm społecznych.

Style wychowania

Poza modelami rodziny ważną rzeczą jest dostrzeżenie jednego ze wskazanych niżej stylów wychowania.

Styl opiekuńczy pozwala na świadome i pozytywne kształtowanie dziecka. Styl ten operuje łagodnymi sankcjami negatywnymi (tj. karami). Przede wszystkim wykorzystuje sankcje pozytywne polegające na uzyskiwaniu czegoś, np. satysfakcji z wykonywania zadania, identyfikacji z rodzicami.

Styl autorytarny również opiera się na starannej opiece, jednakże wyróżnia się surowością w stosowaniu sankcji polegającymi na uniknięciu czegoś lub ucieczki przed czymś nieprzyjemnym, np. uniknięcie zakazu odwiedzenia kolegi. Biografie wielu zbrodniarzy hitlerowskich wskazują na stosowanie wobec nich właśnie stylu autorytarnego. Nie byli oni w przeszłości skłonni naruszać norm społeczne, ale też nie zastanawiali się nad treścią otrzymywanych poleceń. Realizowali je mechanicznie, bezmyślnie.

Styl permissywny, w którym opieka jest bardzo słaba albo jej brak, a stosowane sankcje mają łagodny charakter. Ten styl nie daje możliwości na właściwe kształtowanie postaw dziecka. Znacznie większy charakter zakres oddziaływania ma środowisko zewnętrzne, np. zdemoralizowani koledzy.

Styl chaotycznego despotyzmu, który przynosi najgorsze skutki wychowawcze, polega na stosowaniu sankcji bez ścisłego związku z naruszeniem oczekiwań rodziców, lecz są one stosowane mniej lub bardziej przypadkowo. Styl ten nie pozwala na świadome kształtowanie postaw i światopoglądu dziecka. Także w tym przypadku silnej oddziałuje na dziecko środowisko zewnętrzne. Negatywnym skutkiem prowadzenia takiego stylu może być wyuczona bezradność. Z uwagi na to, że stosowane kary są przypadkowe i brak jest jasnych zasad ich wymierzania, dziecko nie wie, jakie konsekwencje wywoła jego zachowanie. Dlatego przyjmuje postawę bierną, aby ich uniknąć.

Należy pamiętać, że surowe style wychowania łatwiej mogą doprowadzić do zaburzenia związków emocjonalnych w rodzinie. Ponadto rodzic powinien zadbać o faktyczny autorytet w oczach dziecka. Stosowanie jakiegokolwiek kar przez osobę bez autorytetu jest prostą drogą do generowania negatywnych emocji i konfliktów. Bardzo ważne jest również to, żeby rodzice sami swoim przykładem potwierdzali słuszność stawianych dzieciom oczekiwań.

Klimat uczuciowy w rodzinie

Zarówno dla modeli rodziny, jak i stylów wychowania, bardzo ważny jest klimat uczuciowy panujący w rodzinie. To od niego zależy zaspokajanie potrzeb emocjonalnych, a tym samym poczucia bezpieczeństwa członków rodziny. Warto pamiętać, że właściwy klimat uczuciowy pozwala na utrzymanie silnej więzi emocjonalnej pomiędzy rodzicami a dziećmi. Dzięki temu rodzice stają się atrakcyjni z punktu widzenia identyfikowania się z wyznawanymi przez nich wartościami i postawami.

W rodzinach żyjących zgodnie z regułami podkultury, w której zachodzą zjawiska patologiczne, bardzo często nie okazuje się pozytywnych uczuć i emocji wobec siebie, a przede wszystkim wobec dzieci. Jedną z cech podkultury jest tzw. „twardość”, która nakazuje eksponować męskie, twarde postawy, a okazywanie uczuć uznawane jest za słabość. Niestety jest to postawa destrukcyjna dla całej rodziny. Każdy człowiek potrzebuje pozytywnych bodźców od osób najbliż-

szych. I w przeciwieństwie do tytułu komedii „Chłopaki nie płaczą”, prawdziwy mężczyzna umie okazać emocje pozytywne, nawet łzy, ponieważ jest na tyle silny, że nie musi zakładać maski i nikomu niczego udowodniać (np. sportowcy po wygranych zawodach, czy po porażce, żołnierze wracający z wielomiesięcznej misji wojskowej itp.).

W mojej pracy z dziećmi zdemoralizowanymi nie spotkałem dziecka, które byłoby zaspokojone emocjonalnie przez rodziców. Z reguły takie dzieci mają radykalnie obniżone poczucie własnej wartości. Sprawdzałem to, prosząc je o wskazanie swoich dobrych i złych cech. Z wymienieniem tych ostatnich nie miały najmniejszego problemu. Natomiast w bardzo nielicznych przypadkach były w stanie powiedzieć cokolwiek pozytywnego o sobie, ponieważ nie czuły się ważne dla rodziców, nie słyszały niczego dobrego o sobie. Natomiast były przyzwyczajone do tego, że są brudasami, leniami, nierobami itp. Nie potrafiły okazywać pozytywnych uczuć, bo nie widziały ich u rodziców. Nie umiały okazać empatii do ludzi, bo tego nie znały w domu.

Warto zastanowić się nad błędami poczynionymi w relacji z najbliższymi i starać się je naprawić jeszcze w izolacji więziennej. Znamienne jest to, że dzieci, które mają bardzo niedobrych rodziców, od których zaznały wiele złego, w głębi serca wciąż ich kochają i chciałby poprawy tych relacji, nawet w późniejszym, dorosłym życiu. Zatem nigdy nie jest za późno.

Paweł Kobes

Był przestępcą, odpowiedzialnym za przemyt alkoholu i prostytucję. Jego gang zabijał ludzi. Nie był święty, jednak... urodził się niewinny. Alphonse Capone był kiedyś małym, beztroskim chłopcem. Został pozbawiony szans edukacyjnych przez nadgorliwą nauczycielkę i tak trafił na ulice Brooklynu.

Matka modliła się za syna. Była ubogą włoską emigrantką z miasteczka Angri we Włoszech. W jej dłoni często gościł różaniec, modliła się szczególnie podczas przygotowywania posiłków. Ojciec, Gabriele, zarabiał jako fryzjer, aby wyżywić dziewięcioro dzieci. Wyjechali do Stanów Zjednoczonych za chlebem.

Z Alphonsem niestety nie układało się łatwo. Po wyrzuceniu ze szkoły trafił w złe towarzystwo. Nocna praca, gangi, pokusa szybkich pieniędzy. W czasach prohibicji zorganizował przemyt alkoholu i szybko stał się milionerem.

**Alphonse Capone
z mamą Teresiną**



Fot. Wikicommons



JAK NAWRÓCIŁ SIĘ... AL CAPONE

Państwo wymierzyło mu sprawiedliwość: w 33. roku życia został aresztowany i osadzony w ciężkim więzieniu w Alcatraz. Jednym z pierwszych gości była jego matka. Ciasna kratka rozmównicy utrudniała kontakt, mimo

to Al starał się spojrzeć matce w oczy. Po wyjściu z więzienia, Teresa całą drogę do Chicago przeplakała, modląc się za syna na różańcu.

Al Capone poznał w więzieniu ojca Josepha Clarka, jezuitę. Ten duchowny uczył gangstera radzić sobie z agresją. Ta praca przyniosła rezultaty – wkrótce Al zaczął uchodzić za przykładowego więźnia.

Kiedy Teresa spytała o Clarka, czy Al chodzi na codzienną mszę, ojciec odparł, że w Alcatraz nie ma kaplicy, a on sam był pierwszym kapelanem tego więzienia. Przekazał jednak więźniowi prośbę matki. Al Capone zapytał wtedy, dlaczego by nie zbudować ołtarza? I tak powstała więzienna kaplica w Alcatraz.

W 1938 roku Al napisał w liście do żony, że „poprawia się każdego dnia”. W tym czasie zaczął tracić pamięć. Jak twierdził o. Clark, było to skutkiem złego traktowania w więzieniu. Zaświadczył, że „próbowano zniszczyć jego umysł i to im się udało”.



Ufundowana kaplica



Opowiedział, że Ala na długo zamykano w karcerze i stale zmieniano temperaturę: od bardzo niskiej, do gorącej. W dość kontrowersyjny sposób leczono go z syfilisu, wstrzykując nieokreślone substancje chemiczne. Twierdził, że obawiano się wyjścia Ala na wolność i powrotu to przestępczego życia, dlatego postanowiono go „zneutralizować”...

Kiedy po 6,5 roku więzienia Al Capone wyszedł na wolność, lekarze zakwestionowali kontrowersyjne meto-



Cela Ala Capone

Fot. Freepik/hs/booth

dy „terapii”. On nigdy już nie odzyskał pełni zdrowia i pamięci. Zmarł 8 lat później na udar i zapalenie płuc.

Na jego grobie widnieje napis: „Jezu, miej miłosierdzie nad nami!”. Jedną z pamiątek, jakie pozostały po Alu Capone jest różaniec. Widzimy go na zdjęciu. Żółty, z tworzywa, noszący ślady częstego użytkowania.

Marek Woś

Czy pracodawca może wymagać przedstawienia wyciągu z Krajowego Rejestru Karnego, tzw. zaświadczenia o niekaralności?

Od maja 2019 r., a więc po zmianach przepisów, pracodawcy nie mogą żądać od kandydata wszystkich informacji bez ograniczeń. Obecnie pracodawca może żądać od kandydata co do zasady podania podstawowych danych osobowych obejmujących: imię (imiona) i nazwisko, datę urodzenia, dane kontaktowe, wykształcenie, kwalifikacje zawodowe, przebieg dotychczasowego zatrudnienia. Wynika to z art. 221 § 1 Kodeksu Pracy.

Pracodawca ma prawo żądać od pracownika podania także:

1) innych danych osobowych pracownika, a także imion i nazwisk oraz dat urodzenia dzieci pracownika, jeżeli podanie takich danych jest konieczne ze względu na korzystanie przez pracownika ze szczególnych uprawnień przewidzianych w prawie pracy,

2) numeru PESEL pracownika nadanego przez Rządowe Centrum Informatyczne Powszechnego Elektronicznego Systemu Ewidencji Ludności (RCI PESEL).

Pracodawcy nie mogą jednak zupełnie swobodnie żądać od kandydata udokumentowania niekaralności (przedstawienia wyciągu z Krajowego Rejestru Karnego).

Zgodnie z art. 221 § 4 Kodeksu Pracy, pracodawca może żądać podania innych danych osobowych niż określone powyżej, jeżeli obowiązek ich podania wynika z odrębnych przepisów.

Praca po więzieniu

Znalezienie pracy po wyjściu z więzienia może nie być łatwe. Dodatkowo na potencjalnych pracowników czyhają nieuczciwi pracodawcy i śmieciówki. Jak odnaleźć się w gąszczu przepisów?

Pracodawca może zatem żądać udokumentowania niekaralności wyłącznie, gdy ustawa regulująca zasady zatrudniania danej kategorii pracowników zawiera taki wymóg. Jeżeli przepis odrębny nie stanowi, że do podjęcia danego rodzaju zatrudnienia kandydat musi przedstawić wyciąg z Krajowego Rejestru Karnego, to pracodawca nie ma podstaw, aby się go domagać.

Zaświadczenia o niekaralności są wymagane dla niektórych grup zawodowych, takich jak: nauczyciele, straż graniczna, strażników gminnych, członków korpusu służby cywilnej czy detektywów.

Czy pracodawca może na zawsze zatrudnić mnie na umowę zlecenie lub umowę o dzieło [tzw. śmieciówki]?

W Polsce zatrudnianie pracowników na tzw. śmieciówki zdaje się być rzeczą nagminną. Trzeba jednak pamiętać, że duża część takich umów nigdy nie powinna być zawarta jako umowa



zlecenie lub umowa o dzieło, a raczej jako umowa o pracę.

Popularne jest także pozorowane samozatrudnienie, tzn. praca z jednym pracodawcą w ramach wykonywanej działalności gospodarczej. Dla pracownika umowa o pracę jest przy tym z reguły najkorzystniejszą formą zatrudnienia i jednocześnie najdroższą dla pracodawcy pod kątem obciążeń odprowadzanych do Skarbu Państwa.

To, w jakiej formie pracodawca zatrudnia pracownika, nie zależy jednak wyłącznie od jego wyboru. Musi wziąć on pod uwagę obowiązujące przepisy.

Zgodnie z art. 22 § 1 Kodeksu Pracy, przez nawiązanie stosunku pracy pracownik zobowiązuje się do wykonywania pracy określonego rodzaju na rzecz pracodawcy i pod jego kierownictwem oraz w miejscu i czasie wyznaczonym przez pracodawcę, a pracodawca zobowiązuje się do zatrudniania pracownika za wynagrodzeniem.

Kluczowy jest tutaj stosunek podporządkowania kierownictwu przeło-

żonej osoby oraz wykonywanie pracy w określonych ramach czasowych czy miejscu. Miejsce to nie musi być jednak tylko przestrzenią jednego biurka w wieżowcu. Przepisy różnie podchodzą także do systemu czasu pracy. Omówienie wszystkich niuansów w jednym artykule jest jednak niemożliwe, dlatego w razie wątpliwości najlepiej zwrócić się do adwokata.

Umowy zlecenia są dla pracodawcy tańsze od umowy o pracę. Formalnie umowa taka polega na tym, że biorący zlecenie zobowiązuje się dokonać określonej czynności prawnej dla dającego zlecenie, co wynika z art. 734 Kodeksu Cywilnego. Umowa zlecenia różni się od umowy o pracę zatem przede wszystkim tym, że zleceniobiorca samodzielnie organizuje odpowiednie działania niezbędne do wykonania zlecenia oraz samodzielnie reguluje sobie czas pracy. Umowa taka jest tzw. umową starannego działania i nie podlega kierownictwu przełożonego analogicznie jak w przypadku umowy o pracę.

Z kolei zgodnie z art. 627 Kodeksu Cywilnego, przez **umowę o dzieło** przyjmujący zamówienie zobowiązuje się do wykonania oznaczonego dzieła, a zamawiający do zapłaty wynagrodzenia. Dotyczy to np. uszycia garnituru. Tutaj konieczne jest wytworzenie określonej rzeczy (dzieła) w ramach umowy. Na podstawie tego typu umowy także wykonawca działa zasadniczo samodzielnie i w określony przez siebie sposób, byleby wykonał prawidłowo zamówiony przedmiot.

Znaczna część umów zlecenia czy umów o dzieło jest zatem w rzeczywistości umowami o pracę, co może zostać stwierdzone w ramach postępowania sądowego. Trzeba pamiętać o tym, że rozstrzygające tutaj nie będzie tylko brzmienie podpisanej umowy czy jej nazwa, a faktyczny sposób jej wykonywania i inne okoliczności z tym związane. Jeżeli umowa nie ma cech zlecenia czy dzieła nazwanie jej tak „na papierze” niewiele tutaj zmieni.

Gdzie zgłaszać nieprawidłowości co do formy zawartej umowy albo kiedy podejrzewamy, że pracodawca nie uiszcza za nas składek na ubezpieczenia albo że nie zarejestrował nas w ZUS-ie?

Zazwyczaj osoba wykonująca umowę zlecenia czy umowę o dzieło spełnia przesłanki niezbędne do zakwestionowania takiej umowy. Wówczas sprawę taką można zgłosić do Państwowej Inspekcji Pracy, która może dokonać stosownej kontroli. Aby znaleźć właściwy inspektorat, warto posłużyć się wyszu-

kiwarką dostępną pod tym adresem: www.pip.gov.pl/pl/znajdz lub zadzwonić na telefon ogólny 22 391 82 15 ze wskazaniem na brak dostępu do internetu.

W przypadku pozornego samozatrudnienia (wymuszania zakładania działalności gospodarczej) lub innych pozornych umów, zwłaszcza umów o dzieło, pracodawcę chętnie skontroluje również Zakład Ubezpieczeń Społecznych (ZUS). Dodatkowe informacje można uzyskać w Centrum Obsługi Telefonicznej ZUS pod numerem telefonu 22 560 16 00.

Oba te podmioty będą także pomocne w razie szeregu innych nieprawidłowości po stronie pracodawcy (PIP) czy dla weryfikacji prawidłowości odprowadzania składek na ubezpieczenia oraz realizacji obowiązku zgłoszenia do ubezpieczeń (ZUS).

Istnieje także możliwość pozwania pracodawcy i ustalenia stosunku pracy w toku odrębnego postępowania.

Gdzie jeszcze można szukać pomocy?

W przypadku wątpliwości najlepiej skonsultować się z prawnikiem. W przypadku złej sytuacji materialnej można skorzystać z darmowej porady prawnej, więcej szczegółów można znaleźć pod adresem: <https://np.ms.gov.pl>.

Nasza redakcja może przekazać także kontakt do zaprzyjaźnionych adwokatów i prawników, którzy porad takich udzielają odpłatnie.

Odpowiedzi udzieliła Paulina Patras

**Deszcz płynie po kratkach, niebo wodą płacze...
Patrząc w gęste chmury myślę, czy cię stracę.
Wiatr gdzieś hula wolny i nagina drzewa.
Pieśń mi o wolności, szumiąc głośno śpiewa.**

**Na płocie usiadły ptaki niczym nuty,
Śpiewając piosenkę o czasie zakutym.
O czasie bez ciebie i o pustych latach,
I tylko wspomnienia biegają po kratkach.**

**Moje dni są smutne lecz pełne miłości,
Póki mam cię w sercu jest mi dużo prościej.
Jakoś czas bez bólu mija mi powoli,
Gdy cię w myślach widzę serce mnie nie boli.**

**Deszcz płynie po kratkach, niebo wodą płacze,
Idzie czas radości, czas gdy cię zobaczę.
Teraz krople deszczu są zwiastunem smutku,
Lecz wszystko się z czasem zmieni powolutku.**

Marek Nowaczewski

W najmniejszych radościach odnajdywać szczęście

Wielokrotnie przemierzył Polskę i Europę wzdłuż i wszerz. Pieszo. Bez „wspomagania”: hoteli, jakiegokolwiek asysty, niemal bez pieniędzy. Udowadnia, że nie trzeba wiele, by osiągnąć... wiele. Rozmawiamy z Krzysztofem Jędrzejewskim, podróżnikiem, pielgrzymem.

Skąd to ci się wzięło, że pewnego dnia postanowiłeś pójść na pielgrzymkę?

Kiedy w latach 80., chodziłem do kościoła, zawsze pod koniec czerwca ukazywały się ogłoszenia parafialne, że wyrusza pielgrzymka do Częstochowy.

I tak złapałeś „bakcyła”?

To już wcześniej we mnie siedziało, ale ciężko mi się było zebrać bo byłem jeszcze za młody, żeby sam iść. Wtedy miałem 16 lat.

Jak wspominasz pierwszą pielgrzymkę?

Na początku trochę się nie odnajdowałem. Pierwszego dnia się zastanawiałem, co ja tutaj robię z tymi wszystkimi wariatami, że ja tu nie pasuję. Ludzie szli, śpiewali i się modlili.

No ale byłeś wierzący, chyba też się modliłeś?

Tak, ale nagle znalazłem się w innym środowisku, gdzie wszyscy dookoła podskakują i śpiewają, idą i się cieszą.

To było dla ciebie coś nowego.

Tak. Tym bardziej że były to czasy komuny. Dookoła był szary świat, a to wszystko było takie kolorowe, na pielgrzymce. Masa ludzi wtedy szła, to właśnie wtedy był szczyt pielgrzymowania.

Jak odczułeś to zderzenie tego szarego świata PRL-owskiego z radosną rzeczywistością ludzi wiary?

Dla mnie to była jakaś taka ucieczka przed czterema kątami w bloku, ciasnym pokoikiem. Wyjście w świat. Cały świat się otwiera przed tobą i idziesz. I tam wtedy po tych dziesięciu dniach, pielgrzymka się skończyła i tak jakoś bardzo szybko mi to przeleciało i sobie pomyślałem, że dlaczego dalej nie idziemy, tylko już Częstochowa i już wszyscy do domu wracają? Przecież można by jeszcze dalej iść.

Zacząłem sobie myśleć żeby się przejść do Jerozolimy, no i tak około połowy lat 90. to było, ten pomysł powstał. Myślałem żeby iść w 1996 roku, z okazji 900. rocznicy pierwszej



Jakoś nie czułem
potrzeby, żeby palić,
pić czy brać
narkotyki.
Wiadomo, że każdy
odczuwa jakiś ból
istnienia i ucieka
od tego bólu
w alkohol, narkotyki,
papierosy,
żeby rozładować
problemy dnia
codziennego.
A może ja
właśnie idę,
żeby jakieś
napięcie,
które jest
we mnie,
rozładować?

krucjaty, ale jakoś zabrakło mi sił i odwagi. W 2000 roku, z okazji rocznicy narodzin Chrystusa, w końcu się zebrałem i poszedłem.

Jak to przeżywałeś?

Nie byłem pewny czy mi się to uda, bo były wizy do Izraela, a żeby dostać wizę do Izraela trzeba było mieć stałe zatrudnienie, konto dolarowe oraz sto dolarów na każdy dzień pobytu. Była to kompletna paranoja, bo żeby przedostać się drogą lądową do Izraela, trzeba było mieć wizę syryjską, a żeby tę wizę syryjską można było dostać, to tylko pod warunkiem, że nie miało się wizy izraelskiej.

Tak się złożyło, że wtedy akurat Papież pojechał do Ziemi Świętej. Nie wiem, co zaważyło, w każdym razie wizy dla Polaków zostały zniesione, jak Papież z Ziemi Świętej wrócił. Udało się, że na granicy mnie przepuścili bez niczego, tylko pokazałem paszport.

Nie masz takiego lęku, że kiedy idziesz to ktoś może cię napaść albo mogą cię zaatakować zwierzęta?

Nie zastanawiam się nad takimi rzeczami, bo gdybym o tym myślał, to bym nawet z domu nie wyszedł. W każdym razie nie myślę o niebezpiecznych sytuacjach. Po prostu pakuję plecak, biorę namiot i śpiwór, i jakieś najpotrzebniejsze rzeczy. Wychodzę i idę. Ustalam z grubsza trasę, biorę mapę, nie staram się dokładnie planować, gdzie będę spał, czy gdzie się zatrzymam.

Nosisz ze sobą podstawowe rzeczy i namiot. Ile waży twój bagaż?

Nigdy dokładnie go nie ważyłem, ale około 15-20 kg.

Korzystasz z gościnności innych ludzi?

Zwykle idę i gdzie mnie noc zastanie, tam się rozbijam. Przeważnie staram się nocować gdzieś poza miastami. Oczywiście, jak mnie w mieście zastanie noc, no to wtedy szukam gdzieś w miarę bezpiecznych parków. Kiedy widzę gdzieś kościół, to wstępuję do niego. Jeśli jest msza, to zostaję na niej a potem podchodzę do księdza i pytam, czy gdzieś dało by radę przenocować. Jeśli mnie noc zastanie w środku miasta, albo nie sprzyjają warunki atmosferyczne, np. jest ulewa, czy burza, to szukam noclegu pod dachem np. w stodołach, czy szopach.

Ile czasu zajęło ci dojście do Jerozolimy?

66 dni. Szedłem 50-60 km dziennie.

Ktoś patrzący z zewnątrz powie, że to nie pielgrzymka, ale sport ekstremalny.

Wiadomo, że jest to sport ekstremalny. To tak jakbym codziennie pokonywał trasę maratonu z plecakiem. Czasami się zastanawiałem, czy nie pobiłem jakichś rekordów Guinnessa, np. idąc do Fatimy w 2017 roku. W 60 dni udało mi się pokonać ponad 3 tysiące kilometrów.

Więc to pielgrzymka czy raczej jednak sport?

Raczej pielgrzymka, ale nie podporządkowuję całego dnia, żeby być na mszy. Kiedy idę i słyszę bicie dzwonów i jest akurat kościół, wchodzę do niego. Jeśli jest msza, to zostaję. Ale jeśli miałbym czekać kilka godzin, to idę dalej. Muszę iść, bo jestem pielgrzymem. Pozostawiam to po prostu Panu Bogu.

Na swoje wyprawy idziesz sam. Nie czujesz wtedy samotności?

No tak, wiadomo, idę w samotności, ale też jest takie indywidualne spotkanie z Panem Bogiem. Wystawienie się na działanie Opatrzności. Jednak uczestnicząc w pielgrzymce grupowej, możesz liczyć na innych ludzi. Tam samochód jedzie obok, jakby coś ci się stało, to cię weźmie zwinie i gdzieś cię podwiezie. Tutaj jesteś wystawiony tylko na działanie Opatrzności, tylko na działanie Boga. Jesteś tylko ty i On. Są oczywiście jacyś ludzie, którzy po drodze ci pomagają, ktoś cię czasem zaprosi na obiad, ale to się zdarza rzadko.

Więc jesteś tylko ty i Bóg. Czy coś ci Bóg mówi podczas pielgrzymek?

To nie jest tak, że teraz ktoś do ciebie mówi, tam „z góry”, że słyszysz jakiś głos. Bo wiesz, jest po prostu milczenie.

Ale czujesz też taką Jego obecność. Także wtedy, kiedy widzisz, że chmury się ładnie układają, i słońce świeci. Czujesz tak, jakby On się do Ciebie uśmiechał. Czujesz działanie Jego łaski, że ci się coś udaje, że jest dobra pogoda. A kiedy jest zła, że udaje się przed lunieciem deszczu znaleźć kawałek dachu, który cię osłoni. Są takie „przypadki”, że wiesz, że czuwa nad tobą Czyjaś dłoń.

Czy Pan Bóg działa też przez innych ludzi, którzy pomagają ci na drodze?

Myślę, że to działa obopólnie. Ty korzystasz z pomocy, ale równocześnie jesteś dla nich znakiem tego, że oni mogą ci pomóc, albo widzą, że ty idziesz i np. masz krzyż, różaniec i się modlisz. To może

jakoś do nich trafia i przypomina, że Bóg jest.

Też powstaje takie pytanie: dlaczego ty to robisz? Ktoś się zatrzymuje i chce Cię podwieźć a ty mówisz: „Nie, nie wsiądę, bo idę”. Może sobie pomyśli, że wariat, ja go tutaj chcę podwieźć, widzę że z ciężkim plecakiem idzie, się poci i mówi, że sobie tylko idzie, pielgrzymuje i nie wsiądzie. Najpierw pomyśli, że wariat a później może dojdzie do wniosku, że może to robi dla Pana Boga.

Jak ludzie reagują na znaki twojej wiary? Na szyi masz zawieszoną Matkę Boską Częstochowską, na piersi krzyż.

Jest to jakiś znak rozpoznawczy, że jestem pielgrzymem, a nie włóczęgą. Kiedy w 2005 roku szedłem drugi raz do Jerozolimy, tym razem przez Grecję i z moim kumpłem Michem. Podjechaliśmy do nas samochód, w którym siedział mnich z pobliskiego klasztoru w Meteorach, skalistej krainie. Spytał się po angielsku, skąd i dokąd idziemy. Pokazałem mu na ikonę z Częstochowy i powiedziałem mu, że z Polski do Jeruzalem. On popukał się po głowie i powiedział: *crazies* (szaleńcy), po czym dał nam 350 euro.

Trochę głupio było brać, ale wzięliśmy w myśl przysłowia: „jak dają, to bierz, jak biją, to uciekaj”. Michu od razu powiedział, że pójdziemy na pizzę i porządnie się najemy. Odpowiedziałem: „Michu, jak nam ta kasa spada z nieba, to znaczy, że akurat nam się na coś przyda”. Kiedy doszliśmy do Aten i chcieliśmy kupić bilety na prom do Hajfy. Oka-

zało się, że wszystkie promy są wycofane i trzeba było lecieć samolotem z Aten do Tel Awiwu. 350 euro, tyle kasy, ile nam ten mnich dał, dokładnie starczyło na samolot. Gdyby nam ich nie dał, to nie wiem, co byśmy zrobili.

Co czujesz kiedy dojdiesz do celu?

Zawsze jest radość, wielkie zmęczenie, są łzy szczęścia, wdzięczność, że udało się dotrzeć do celu, mimo wszelkich przeciwności. Niektórzy sobie myślą, że to jest tak, że idzie sobie człowiek i wszystko dzieje się ładnie, pięknie. A w rzeczywistości są krew, pot i łzy. Straszny ból, zmęczenie, no jednak trzeba dźwigać plecak i codziennie robić co najmniej 50 km.

Zawsze sobie mówię, że już nigdy więcej, że już takie zmęczenie. Czuję, że to już ostatnia wyprawa. No, ale jak człowiek wróci do domu, nagle przychodzi taki „kopniak”, że... idę znowu.



Jaki jest klucz wyboru celu pielgrzymek?

Przeważnie jest to jakaś rocznica objawień, albo wydarzenie jak np. beatyfikacja Jana Pawła II. Wyszedłem na tę uroczystość 2 kwietnia, w rocznicę śmierci papieża, a 2 maja była beatyfikacja. Miałem 30 dni na dojście.

To niewiele. Żle zaplanowałeś podróż?

Miałem do przejścia 1800 km. Liczyłem, że codziennie te 60 km będę robić, ale wiadomo, że zdarzają się też takie dni, że się zrobi mniej, bo np. po drodze są jakieś ciekawe rzeczy do zobaczenia, czy do Wenecji się wejdzie, czy ktoś mnie gdzieś zaprosi, czy w niedzielę trzeba gdzieś czekać na mszę. Wtedy zrobię 45 km i parę było takich sytuacji, że np. droga nie tak wiodła, bo ją przebudowali na drogę szybkiego ruchu, trzeba było iść innymi i nadrabiać. Przez to wszystko te ostatnie dni musiałem iść po 80 km, jak nie więcej. W środę przed niedzielną beatyfikacją wyszedłem ze Sieny i było 333 km na drogowskazie.

333 kilometrów w trzy dni? Przecież to są odległości, które wydają się nie do pokonania na nogach.

Myślałem, że nie mam żadnych szans. Ale jak zacząłem obliczać to wyszło, że jakbym szedł *non stop*, to zdążyłbym i nawet by mi zostało parę godzin na sen. Jakoś mi się udało, chociaż wtedy tam padłem na pysk, to znaczny

zemdlałem na chwilę i cały się poodzieralem.

Doszedłeś na czas?

Doszedłem na *via Conciliacione*, główną aleję prowadzącą na plac św. Piotra. Na sam plac nie udało się wejść, bo był już cały zapełniony. Akurat jak doszedłem, to papież Benedykt XVI ogłaszał, że Jan Paweł II jest beatyfikowany. Przybyłem więc w ostatniej chwili, jak James Bond.

Miałeś więcej takich ekstremalnych szlaków?

W 2010 roku, szedłem do Turynu zobaczyć Calun Turyński. Trzeba było sobie wtedy zarezerwować dzień i dokładną godzinę. Wtedy były wielkie deszcze. Właściwie jeden dzień był tylko słoneczny, kiedy przekroczyłem granicę szwajcarsko-włoską, a potem to już cały czas padało. Szedłem wzdłuż jeziora Como i całe szczęście, było tam dużo długich tuneli, które mnie trochę chroniły przed deszczami. Wieczorami udawało mi się znaleźć jakieś zadaszenia. Na końcu tak się stało, że było 180 km do przejścia w 2 dni, w deszczu, żeby zdążyć na czas. Szedłem właściwie *non stop*. W końcu, ostatniej nocy rozłożyłem się na jakimś przystanku i zasnąłem twardym snem. Chyba bym zaspał, gdyby nie ochlapała mnie woda z przejeżdżającego tira. To mnie obudziło i dzięki temu udało mi się zdążyć.

Jak traktuje cię policja na drodze?

Raz prawie mnie zamknęli. Chcieli zamknąć, ale nie mieli nic na mnie. To było w Szwajcarii, kiedy szedłem do Fatimy w 2007 roku, przez Santiago de Compostella. W sumie mogłem ominąć Szwajcarię, bo szlak niekoniecznie tamtędy prowadzi, ale chciałem iść przez te najwyższe przełęcze. Ponieważ było zimno, to nie rozbijałem namiotu tylko szukałem schronienia w szałasie. Ale jeszcze wcześniej wszedłem do kościoła, żeby się chwilę pomodlić.

Kiedy doszedłem do tego szałasu, rozłożyłem się w nim i nagle patrzę, a tu jakichś dwóch gości idzie prosto do mnie. Zaczęli mi wykręcać ręce i okazało się, że to policja szwajcarska. Całe szczęście nie zacząłem uciekać, bo tak to by mnie pewnie jeszcze zastrzelili. Zrobili mi dokładną rewizję plecaka, zdjęcia twarzy, z profilu i z przodu, zdjęcia butów i odcisków butów. Myśleli, że włamuję się do kościołów i obrabowuję skarbonki, bo tam akurat w tej okolicy były włamania. W każdym razie zrobili rewizję, nic nie znaleźli i zostawili mnie w spokoju.

Następnego dnia, jak opuszczałem wioskę, to znowu policjanci zatrzymali mnie na rogatkach. Zaprosili do samochodu i musiałem z nimi jechać na posterunek. Powiedziałem, że wsiądę jeśli mnie znowu odwiozą z powrotem w to samo miejsce. Chciałem mieć ciągłość w przejściu. Zabrali mnie na posterunek 30 km dalej i tam mi jeszcze raz zrobili rewizję. Nie mieli nic na mnie. Puścili mnie ale powiedziałem, żeby mnie odwieźli. Pomyśleli, że jestem wariatem, bo już byłem 30 km do przodu

a oni znowu mnie musieli cofnąć. No i trzeci raz policjanci mnie zatrzymali, ale jak się dowiedzieli, że jestem z Polski, no to już wiedzieli, że to jest „ten wariat” i dali mi spokój.

Większe zagrożenie było, kiedy w Rumuni, w pasie przygranicznym z krzaków wyskoczyło dwóch żołnierzy z odbezpieczonymi karabinami i myśleli, że jestem jakimś szpiegiem. Mogli mnie „skasować” ale zawieźli mnie na posterunek graniczny. Był tam starszy oficer i jak mu powiedziałem, że idę do Jerozolimy, to mnie przepuścił. Z kolei, później na moście stał jakiś pijany żołnierz. Odbezpieczył karabin i chciał że bym mu dał łapówkę. No ale nie miałem i nie wiedziałem co zrobić.

Powiedział „Paszoł won”, to poszedłem. Pomyślałem, żeby złapać stopa. W końcu jechał jakiś rozpedzony tir. Pomyślałem, że nie ma szans. Jednak machnąłem i się zatrzymał. To był jakiś Arab. Przewiozł mnie przez ten most.

Czyli spotkania z władzą bywały trudne.

W Izraelu, w pasie przygranicznym z Jordanią, nie rozkładałem na noc namiotu tylko spałem w ściworze na karimacie, a patrole żołnierzy izraelskich jeździły obok mnie gazikami. Bałem się, żeby mnie nie rozjechali, ale jakoś mnie nie znaleźli.

Z drugiej strony podróże piesze to przede wszystkim doświadczania spotkań ze zwykłymi ludźmi, którzy pewnie też różnie reagują? Czy pamiętasz jakieś niezwykle sytuacje?

Kiedyś szedłem przez Rumunię. Przy drodze stał stary Cygan i zapytał się, dokąd idę. Powiedziałem mu, że do Jerozolimy a on się wzruszył. Zaczął mnie po rękach całować, chciał żebym go pobłogosławił. Zrobiłem mu znak krzyża na czole i poszedłem. Później idę dalej, a tu jedzie za mną jakiś wóz z Cyganami. Nagle się zatrzymują, wyskakują z tego wozu i przede mną zaczynają padać na kolana, na środku ulicy. A to była główna droga. Samochody zaczęły się zatrzymywać i nie wiedziałem, co mam zrobić. Ludzie padają na kolana, zaczynają płakać. Mówię: „Zejdźcie na chwilę na pobocze”. Zeszli i okazało się, że też chcą żebym ich pobłogosławił. Na początku myślałem, że chcieli żebym im kasę dał. Tak mam zakodowane, że Cyganie zawsze chcą raczej pieniądze wyżebrać. Oni sami mieli kasę i chcieli mi ją wcisnąć. Mówię: „Nie”, bo widzę, że są bied-

ni. Pomodliłem się za nich, każdemu zrobiłem znak krzyża na czole.

Jakie były reakcje tych ludzi?

Łzy w oczach. Chociaż mieli tatuaże na rękach, wyglądali na „penerów”. Tam były też kobiety i dzieci. W każdym razie byli po prostu wzruszeni. Pożegnaliśmy się, poszedłem dalej i po jakimś czasie znowu słyszę głosy. Obejrzałem się i widzę, że znowu jadą kolejni. Myślę sobie: „Kurczę, no nie!”. Ten sam wóz, tylko po prostu pożyczili swoim sąsiadom. I znowu to samo. Od razu ich zatrzymałem, mówię: „Zejdźcie na bok, więcej już nie padajcie na kolana”, już wiedziałem jak to rozegrać w bardziej cywilizowany sposób, żeby nie tamowali ruchu.

Później dowiedziałem się, że oni uważają pielgrzymów za świętych, którzy



mają jakieś łaski. Dlatego tak mnie potraktowali.

Czy miałeś jakieś groźne historie?

W Bułgarii. Szedłem tam w 2000 r. i było tam mało sklepów. Później, jak szedłem w kolejnych latach, sytuacja już się tam poprawiła, ale wtedy było ciężko kupić nawet chleb. I akurat nie miałem nawet chleba i zastanawiałem się, co ja teraz zrobię?

Prostytutka, która stała przy drodze, nagabywała mnie mówiąc, że jest tania. Jakąś tam cenę podała, a ja odpowiadam, że mi chleba potrzeba, a nie jakieś jej usługi. Ona mówi: „No to chodź ze mną, ja ci dam” i wzięła mnie w jakąś podejrzaną okolicę. Pełno jakiś „penerów” było i mówi: „Tutaj się nic nie bój, tutaj mnie wszyscy znają i jesteś ze mną” i żeby z nią do domu poszedł. Mówię: „Nie wejdę”. Myślałem, że jakiś jej alfons się na mnie gapi i później jeszcze będzie chciał, żebym wyskakiwał z kasy. Mówię: „Jak chcesz to mi przynieś”. No i przyniosła mi chleb i tym sposobem, dzięki prostytutce, miałem jedzenie. Później mi opowiedziała, że zarabia tak dla swojego synka i nie ma pieniędzy. No wiadomo, czasem też ciężka sytuacja je zmusza do tego „zawodu”. Czasami też się tak zdarza.

A propos prostytutki, kiedyś wyszedłem z Wenecji, ciemno już było, nie miałem gdzie się rozbić, bo wszędzie tereny industrialne. Jakieś krzaki znalazłem, wlałem w nie a tam się okazało, że..

Tam już ktoś mieszka?

Nie mieszka, że obok tych krzaków urzędowały prostytutki. I ja sobie myślałem: „Co ja tutaj zrobię teraz? Jeszcze mi tu wejdą zaraz w te krzaki”. Ale całe szczęście to były takie bardzo gęste krzaki. Nie wlaży i udało się jakoś doczekać do rana. Pomyślałem sobie, że trafiłem do jakiejś „fabryki” pewnego rodzaju.

Jak w Polsce ludzie reagują na twój widok?

Czasami zdarzają się zaczepki. Ostatnio idę przez Inowrocław, do Gietrzwałdu, i tam słyszę jakieś: „E, ku...”. Tak sobie myślę, żeby podejść do tych gości i powiedzieć: „Ej, co mnie zaczepiacie? Jak jesteś taki mądry to weź teraz ten plecak, przejdź do Poznania na piechotę i później mi podskakuj”. Mocni w gębie, ale jak dojdzie co do czego to ciekawe co by zrobili...

Psy szczekają, a karawana jedzie dalej. Nie ma co się wdawać w jakieś pyśkówki. Dopiero jak ktoś atakuje cię fizycznie to trzeba się bronić. W Bułgarii zaczepiali mnie jacyś gówniarze, ale jak na nich ruszyłem to od razu się rozpierchli.

Czy masz intencję swoich pielgrzymek?

Intencję zawsze się jakoś tak same znajdują, ktoś przychodzi i prosi cię o modlitwę, o zdrowie dla niego, albo wiesz, że ktoś jest chory i też za niego się modlisz.

Wspomniałeś o pielgrzymce do Santiago de Compostella. Jaka jest tradycja czy idea pielgrzymowania w to miejsce?

Oprócz Jeruzolimy i Rzymu, Santiago de Compostella jest trzecim najbardziej znanym miejscem pielgrzymkowym w chrześcijańskim świecie. Znajduje się tam grób świętego Jakuba Apostoła. Od wczesnego średniowiecza rozwinął się ruch pielgrzymkowy do tego miejsca w Hiszpanii. Pielgrzymi zdążający do grobu św. Jakuba stworzyli sieć dróg, które wiodą tam z najodleglejszych zakątków Europy i noszą wspólną nazwę *Camino*, czyli po hiszpańsku *droga*.

Wzdłuż dróg powstawały klasztory, gospody, schroniska i szpitale, które przez wieki udzielały pomocy i schronienia pielgrzymom w drodze do Santiago. Pielgrzymki były bardzo popularne, gdyż udział w nich wiązał się z uzyskaniem odpustu za grzechy, także za przestępstwa. Ktoś, kto dokonał jakiegoś złego czynu, aby go odpokutować i zmyć swoją winę udawał się z pielgrzymką.

Wierzono, że droga do miejsca świętego zmienia człowieka i pokonując ją staje się on lepszy. Często sądy zamiast więzić skazańców, polecały przestępcom, chcącym zmyć swoje winy, aby udali się z pielgrzymką do któregoś z tych miejsc. Oprócz tego oczywiście

musieli zadośćuczynić ofierze albo jej rodzinie.

W okresie oświecenia ruch pielgrzymkowy niestety zanikł. Jednak w XX wieku znowu obserwuje się jego rozkwit. Restaurowane są stare szlaki oraz schroniska. Obecnie często obserwuje się ludzi, którzy nie z powodów religijnych, tylko dla sportu, przygody i turystyki udają się do Santiago. Niestety grozi to zalewem komercji, dlatego ceny rosną, bo wszystko zostaje podporządkowane bogatym „turystom-pielgrzymom”. Rozwija się cały „przemysł pielgrzymkowy”, który jest nastawiony tylko na zyski i konsumpcję. Trzeba w tym wszystkim odnaleźć jakiś

złoty środek, żeby *Camino* nie umarło i nie zatraciło swojego duchowego znaczenia, jakie miało przez wieki.

Wracając do wysiłku, jaki podejmujesz. Można powiedzieć, że jesteś bar-

dzo wytrzymałym człowiekiem, odpornym na różne temperatury, bo zdarzało ci się iść przez Alpy, kiedy zalegał lód i śnieg.

Parę razy przechodziłem przez Alpy, ale nie szedłem zimą, tylko wiosną i jesienią. Czasami zalegał jeszcze, albo już śnieg. Ale dzięki Bożej Opatrzności udało mi się to przeżyć, tak samo jak wielkie ulewy, burze z błyskawicami, czy potężne upały na pustyniach w Izraelu, czy w Hiszpani, a także spotkania ze zwierzętami.

**Pan Bóg się o ciebie
troszczy i jak potrzebujesz
pieniądze, to ci je daje.
Na dobrą sprawę
to bym z domu nie mógł
wyjść jak bym się
martwił o wszystko.**

Pokonujesz te dziesiątki kilometrów codziennie, wytrwale a z drugiej strony też jesteś takim jakby „ekstremalnym chrześcijaninem”. Bierzesz na serio wyzwania ewangeliczne, żeby być świętym.

Przecież każdy powinien tak żyć.

Jakby na to spojrzeć inaczej: nie stosujesz używek. Ktoś doda, że nie korzystasz życia, że wszystkiego trzeba spróbować. Jak to jest?

Jakoś nie czułem potrzeby, żeby palić, pić czy brać narkotyki. Po prostu uciekłem przed tym wszystkim. Wiadomo, że każdy odczuwa jakiś ból istnienia i ucieka od tego bólu w alkohol, narkotyki, papierosy czy tam coś, żeby rozładować jakieś problemy dnia codziennego. A może ja właśnie idę, żeby to jakoś, jakieś napięcie które jest we mnie rozładować.

Czy można powiedzieć, że pielgrzymka jest takim pozytywnym uzależnieniem?

Może coś w tym jest. W sumie żadne uzależnienie nie jest pozytywne ale, hm...

A nie jest ucieczką?

Może nie ucieczką tylko próbą nadania sensu swojego istnienia.

Niektórzy ludzie uciekają w pracę i liczy się dla nich tylko praca. Ja też pracuję, ale praca nie jest wszystkim, dla czego człowiek istnieje.

Dla mnie też pielgrzymka jest czymś takim. Może dlatego nie mam pracy, bo nikt mnie nie chce na stałe zatrudnić bo...

Nie wie, kiedy wyjdiesz i kiedy wrócisz?



Pracuję, założmy 10 miesięcy i wychodzę na dwa miesiące i później wracam. Jak pracodawca jest w porządku to wracam i dalej pracuję, a czasami mówi: „Nie ufam ci, bo nie jesteś dobrym pracownikiem, bo sobie wychodzisz” i zatrudnia kogoś innego, na którego może liczyć 24 godziny na dobę.

Ty masz inne priorytety.

Najważniejszy jest tutaj Pan Bóg, że idę na Jego chwałę a nie siedzenie u kogoś w jakimś zakładzie i dłuwanie dla niego jakiś pierdolek.

Z drugiej strony na wyprawę trzeba zarobić.

Żeby wyjść nie trzeba mieć jakiś wielkich pieniędzy. Założmy żeby dojść na Nordcapp, Przylądek Północny w Norwegii, miałem jakieś tysiąc złotych, no i udało mi się dojść.

Da się przeżyć za tysiąc przez dwa miesiące?

Wiadomo, że czasami więcej bierziesz, jeśli akurat więcej zarobisz. Czasami też pieniądze ci spadają z nieba. Może to zabrzmieć jakoś tak, jak bycie lekkoduchem. No ale Pan Bóg się o ciebie troszczy i jak potrzebujesz pieniądze, to ci je daje. Na dobrą sprawę to bym z domu nie mógł wyjść jak bym się martwił o wszystko.

Czy myślisz, że Bóg każdego obejmuje swoją troską? Czy ciebie w jakiś szczególny sposób?

No nie wiem czy każdego, czy tylko mnie. Wiadomo, że jest napisane, że Pan Bóg pamięta o każdym wróble, i że każdy włos jest na naszych głowach policzony. „Nie troszcz się o dzień następny, bo Pan Bóg się o niego zatroszczy”. Przecież jest w Ewangelii tak napisane, to wystarczy o tym pamiętać. Niektórzy o tym zapominają i się martwią.

Te twoje pielgrzymki są chyba właśnie potwierdzeniem tej Bożej opieki. Ile tych kilometrów zrobiłeś na nogach przez te 33 lata?

Nie mam pojęcia. W Częstochowie byłem ze 40 razy, licząc po 300 km, to sama Częstochowa to jest 12 tysięcy. W 1988 wyszedłem pierwszy raz ale czasami dwa razy w roku szedłem, na pielgrzymkę poznańską i warszawską. Licząc wyjścia za granicę, myślę, że tak 60–70 tysięcy.

Mówiłeś o pierwszej pielgrzymce na Jasną Górę, która była Twoją pierwszą i przyniosła ci wiele pozytywnych wrażeń. Mijają lata a ludzi na pielgrzymkach pieszych jest coraz mniej. Nie wiem czy tam jest wciąż ten sam zapał? Co się zmieniło przez te 30 lat?

Nie wiem, może wtedy właśnie oni uciekali przed komuną. To był dla nich „wentyl” bezpieczeństwa i uciekali właśnie na pielgrzymkę. Teraz jest dosyć duża komercja i konsumpcjonizm. Ludzie są wygodni i za bardzo się nie chce. Może dlatego w tym roku nie było takiej oficjalnej pielgrzymki, w sensie całosciowej, tylko była sztafeta, bo stwierdzono, że ludzie nie dadzą rady

ić z namiotami, tak jak idzie np. warszawska pielgrzymka. Ze względu na to, że jest pandemia, nie mogli spać normalnie u ludzi. Dlatego jedni szli i wracali wieczorem do domu; następnego dnia inna grupa dojeżdżała na miejsce, do którego tamta doszła. Ja ze znajomymi w piątkę przeszliśmy całą drogę z namiotami.

Co czujesz, kiedy dochodzisz na Jasną Górę? Co się dzieje w twoim sercu, kiedy widzisz obraz Matki Bożej?

Radość, spokój że się udało, czuję wdzięczność do Pana Boga i oczywiście zmęczenie. Nie wiem jak to nazwać... Czuję satysfakcję, że udało się dojść, i że można już wrócić do domu. Wszystko jest jakoś tak połączone. Oczywiście też jakiś taki smutek, że to już się kończy, i że teraz trzeba wrócić do szarej rzeczywistości.

Pewnie wielu ci w jakimś sensie zazdrości, bo nie umie pokonać barier swojego strachu przed wyjściem na pieszą pielgrzymkę. Są też niepełnosprawni, starsi albo chorzy. Albo mają małe dzieci. Albo są w więzieniach. Jednocześnie chcieliby poczuć, to co ty czujesz na pielgrzymce, może przez to nawiązać szczególną relację z Panem Bogiem. Co byś powiedział takim ludziom?

Że muszą wejść w swój wewnętrzny świat, wspomnienia z dobrych dni, które przeżyli, z dzieciństwa, z czymś co im się dobrze kojarzy. Wiadomo, że każdy w życiu, jeżeli nawet to życie ma złe, to na pewno miał jakieś jasne stro-

ny. Trzeba wracać do tych jasnych stron, kiedy czuli działanie Pana Boga w swoim życiu. Niektórym by pomogły modlitwa i słowa z Pisma Świętego.

jakimi modlitwami się modlisz?

Oczywiście różaniec, koronka, godzinki z rana. Najlepsze są godzinki. Rzeczywiście jak się wstanie i jeszcze się idzie, kiedy słońce wschodzi. No ale jak ktoś siedzi w zamknięciu, to ciężko jest tego doświadczyć. Cóż mogę poradzić?

Masz ciekawe życie, ale... czy nie masz poczucia, że twoje życie nie przypomina losu przeciętnego Kowalskiego? Który ma ustabilizowane dochody, pracę od 8 do 16, rodzinę, dzieci, a od czasu do czasu urlop, choć świat zna bardziej z telewizji?

W sumie ja nie żyję w drodze 12 miesięcy w roku. Wychodzę na miesiąc lub dwa, a tak to też prowadzę normalne życie.

Ale piwka nie wypijesz, papierosa nie zapalisz, na imprezę nie pójdziesz, żony nie masz.

No właśnie, nie wiem. Do tej pory się jakoś się nie zdarzyło. Może z tego względu, że może ewentualne kandydatki boją się tego, że wstanę i pójde sobie w świat. Wiadomo, że gdybym miał takie zobowiązania, to bym był w domu. Może jest to też, jakaś łaska od Boga, że mogę wyjść w świat.

Może Bóg chce z tobą przebywać sam na sam?

Może tak wszystko się układa, że można powiedzieć: „Nie masz żony, nie masz dzieci, co robisz na tym świecie?”. Może właśnie nie mam tej żony i dzieci, żeby po prostu móc chodzić na chwałę Pana Boga. A może jeszcze spotka mnie miłość?

Nie masz tego, co ma Kowalski, ale czy jesteś szczęśliwym człowiekiem?

Jestem szczęśliwy, wydaje mi się, że jestem. Żyję i mogę chodzić. Trzeba się cieszyć każdym dniem. Trzeba w najmniejszych radościach odnajdywać szczęście. Nie, że tutaj się teraz będę dołować, że np. czegoś nie mam, coś mi uciekło. Trzeba po prostu się cieszyć, że słońce świeci, że mogę oddychać, że

mogę chodzić. Nawet jeśli jestem w jakiejś ograniczonej przestrzeni, to wiadomo, że później mogę wyjść na zewnątrz i pójść gdzieś dalej.

Tutaj mówimy o jakichś sytuacjach, ale jak ktoś przebywa w więzieniu, to właśnie musi sobie stworzyć taki wewnętrzny świat, taki azyl, taką strefę wolności. Opartą na jakichś wspomnieniach, marzeniach, żeby coś go trzymało. No i oczywiście w oparciu o Pana Boga. Można się dołować, żyć nienawiścią ale po co? To do niczego nie prowadzi. Tylko Pan Bóg daje wolność, poprzez swoją Miłość.

Pozdrowienia dla wszystkich!

Dziękuję za rozmowę.

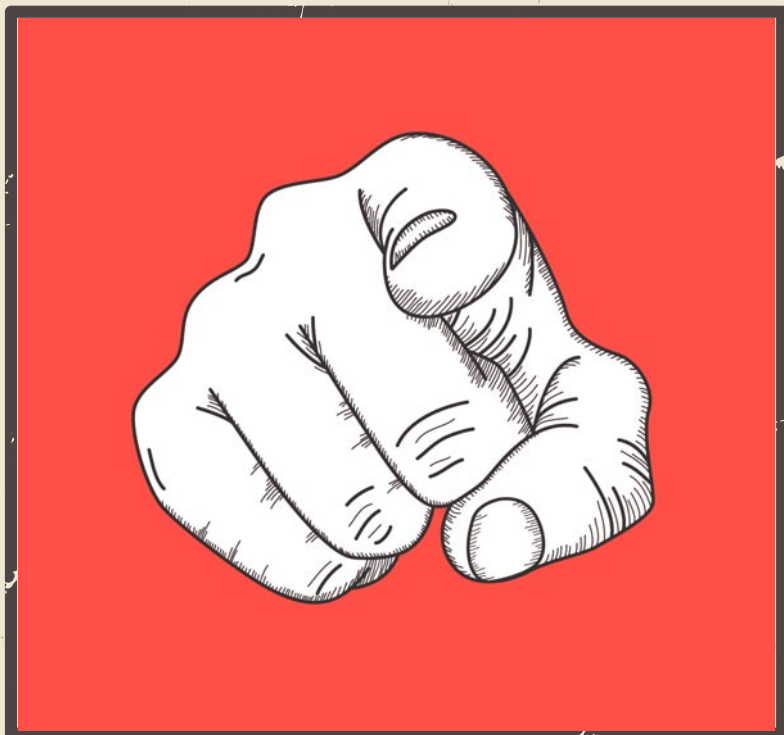
Rozmawiał Marek Woś



Trzeba po prostu się cieszyć, że słońce świeci, że mogę oddychać, że mogę chodzić. Nawet jeśli jestem w jakiejś ograniczonej przestrzeni, to wiadomo, że później mogę wyjść na zewnątrz i pójść gdzieś dalej.

WANTED

Twoja opinia ma znaczenie!



Czekamy na list od Ciebie

Napisz na adres redakcji:

- jakie treści powinny się znaleźć w kolejnych wydaniach pisma?
- które artykuły uważasz za przydatne, a które za niepotrzebne?
- czekamy też na Twoje świadectwo, historię życia, przemyślenia!

OD NOWA

Fundusz wydawniczy ludzi dobrej woli

Drodzy Czytelnicy!

Pierwszy numer czasopisma ukazał się po niemal dwóch latach starań, nie dzięki rządowym czy unijnym dotacjom, ale dzięki hojności 349 darczyńców. Zebrane środki pozwoliły pokryć koszt druku i wysyłki. Czasopismo wysyłamy bezpłatnie wszędzie, gdzie jest potrzeba.


Prace redakcyjne są wykonywane na zasadzie wolontariatu. Nie zarabiamy na czasopiśmie.


Jeśli uważasz, że warto kontynuować tę misję, wesprzyj wydanie drugiego numeru dowolnym datkiem na stronie www.wdowigrosz.pl albo wpłatą na poniższe konto.

Dziękuję.

Marek Woś
Redakcja „Od nowa”

 www.odnowa.edu.pl  info@odnowa.edu.pl

 Konto bankowe: 87 7065 0002 0651 8035 8904 0001

 Fundacja KRS, Skrytka Poczтовая nr 50, ul. Grochowska 79, 60-953 Poznań 38

Przechodź spokojnie przez hałas i pośpiech,
i pamiętaj, jaki spokój można znaleźć w ciszy.

O ile to możliwe, bez wyrzekania się siebie
bądź na dobrej stopie ze wszystkimi.
Wypowiadaj swoją prawdę jasno i spokojnie,
wysłuchaj innych, nawet tępych i nieświadomych,
oni też mają swoją opowieść.

Unikaj głośnych i napastliwych – są udreką ducha.
Porównując się z innymi możesz stać się próżny i zgorzkniały,
bowiem zawsze znajdziesz lepszych i gorszych od siebie.

Niech twoje osiągnięcia zarówno jak plany
będą dla Ciebie źródłem radości.
Wykonaj swą pracę z sercem – jakkolwiek byłaby skromna,
ją jedynie posiadasz w zmiennych kolejach losu.
Bądź ostrożny w interesach, na świecie bowiem pełno oszustwa.
Niech Ci to jednak nie zasłoni prawdziwej cnoty;
wielu ludzi dąży do wzniosłych ideałów
i wszędzie życie pełne jest heroizmu.

Bądź sobą, zwłaszcza nie udawaj uczucia.
Ani też nie podchodź cynicznie do miłości,
albowiem wobec oschłości i rozczarowań ona jest wieczna jak trawa.
Przyjmij spokojnie co Ci lata doradzają
z wdziękiem wyrzekając się spraw młodości.

Rozwijaj siłę ducha, aby mogła cię osłonić w nagłym nieszczęściu.
Lecz nie dręcz się tworam wyobraźni.
Wiele obaw rodzi się ze znużenia i samotności.
Obok zdrowej dyscypliny bądź dla siebie łagodny.

Jesteś dzieckiem wszechświata nie mniej niż drzewa i gwiazdy,
masz prawo być tutaj.
I czy to jest dla ciebie jasne, czy nie –
wszechświat bez wątpienia jest na dobrej drodze.

Tak więc żyj w zgodzie z Bogiem, czymkolwiek On ci się wydaje,
czymkolwiek się trudzisz i jakiegokolwiek są twoje pragnienia,
w zgiekliwym pomieszaniu życia zachowaj spokój ze swą duszą.

Przy całej swej złudności, znoju i rozwianych marzeniach
jest to piękny świat.
Bądź pogodny. Dąż do szczęścia.

Max Ehrmann, *Dezyderata*



CZASOPISMO BEZPŁATNE